

JANUSZ KORCZAK

---

# Koszałki Opałki

JANUSZ KORCZAK

# *Koszatki Opatki*

BŁAZEN

Przez tydzień cały głośiły jaskrawe afisze o niebywałym występie błazna, ulubieńca stolicy jedynego w swoim rodzaju.

Magnaci, hulacy, robigrosze, urzędnicy, dziennikarze, artyści, pracownicy i próżniacy, cnotliwi i hultaje, ich żony i kochanki, cały Paryż zgromadził się w cyrku — mrowiem głów, kapeluszy z piórami, mundurów, palt i lornetek.

Zalegli łoże, krzesła, galerie dwóch pięter, amfiteatr cały, od areny w górę, kołami aż do sufitu.

Program w szybkim tempie zbliża się ku końcowi.

Antrakt. Koń tresowany. Dzwonek... Si-  
łącz. Gimnastyk. Znow pauza. Dzwonek... Szmer.  
Cisza.

Wychodzi oczekiwany. Na piasek areny rzu-  
ca niedbale biały kwadrat dywanu. Siada, w stro-  
ju błazeńskim, łokcie wsparł na kolanach, na  
dłoniach czoło i zastygł.

Ktoś pierwszy uderzył w dłonie, ktoś drugi  
klasnął w ręce, ktoś trzeci, dziewiąty, dziesiąty  
i wszyscy zaczęli bić brawo, zerwał się huragan  
oklasków i okrzyki nawoływania.

Błazen siedział pochylony, nieruchomy na  
dywanie areny, czoło wsparłszy na dłoniach,  
i ani się dziwi, ani dziękuje — zamarł w za-  
dumie.

Zamilkli i oni: magnaci, hulacy, robigro-  
sze i dziennikarze, cnotliwi i hultaje, ich żony,  
córkki i kochanki — zamilkli i czekają.

Czekają.

Zaczęli się niecierpliwić, w duchu, potem w szmerze cichym, potem głośniej i głośniej, wołając, złorzeczając i rozkazując.

Biją laskami w podłogę, uderzają lornetkami o poręczce, tupią nogami i krzyczą.

Błazen wstał.

Cisza.

Wyprostował się, ręce w tył złożył i poglądał na widzów: na cnotliwych i szubrawców, ich żony i kochanki. — Błazen wodzi czarnymi oczami — chłodno i stanowczo — patrzy na tych, którzy w łóżach parterowych, obraca się powoli i na każdego z osobna, potem na tych, którzy w krzesłach półkolem, rząd po rzędzie, potem na tych, którzy wyżej i wyżej, na wszystkich uczciwych i nicponiów, po kolei, na każdego z osobna — coraz to o stopień wyżej, a do sufitu.

I począł się śmiać.

Śmiał się zrazu głośno i pogodnie, długim pasażem śmiechu. Potem ciszej, śmiechem stłumionym, dyskretnym. Potem całym gardłem

wyrzucił kaskadę zjadliwego śmiechu. To strze-  
lił pojedynczym tonem, to tonął w dźwięcz-  
nych akordach.

Roześmiał się pierwszy, drugi, dziewiąty i dzie-  
siąty, i wszyscy robigrosze, i kobiety, i utracju-  
sze, i właściciele browarów, i aktorzy, i malar-  
ze, i urzędnicy, lokaje i sam dyrektor cyrku,  
wszyscy się śmieją wraz z błaznem.

A on zatacza się, śmiejąc, głową trzęsie, rę-  
kami wywija, biega i kręci się w kółko, ude-  
rza się w czoło, w plecy, klepie po brzuchu,  
przysiada, przegina, podskakuje, pada na dy-  
wan, tacza, zrywa się, by znów upaść, wije się  
w śmiechu kurczowym, wyje, szaleje.

Bajeczny! niezrównany!

Oklaski mieszają się z porywem radości,  
hałas rośnie, wybucha i milknie, zrywa się wi-  
chrem i bije o ściany, opada i wznosi, szarpie,  
dusi, kaleczy...

A błazen nowe tony wplata do śmiechu,  
dziwne, nieznanne, niemiłe.

Tłum bez lornetek patrzy, brwi wzniosłszy  
do góry i słucha.

I jeden jęk świsnął w śmiechu błazna. I sam się zdziwił, wstał, wsłuchał. I znów się śmieje, ale wszyscy milczą. I znów się śmieje, ale sam tylko jeden.

Błyskawicą spojrzenia objął w zdumieniu widzów: magnatów, hulaków, robigroszów, dziennikarzy, urzędników i artystów, pracowników i próżniaków, łotrów i cnotliwych, skąpców i głupców, i leniuchów, i śmiesznych, i nieszczęśliwych, i kupców, i dobrze wychowanych, ich żony, córki i kochanki.

I zapłakał.

I wszyscy widzieli łzy.

I błazen płakał skargą, a potem smutkiem, a potem współczuciem, a potem gniewem, a potem litością.

Chwilami śmiechem płacz załamywał, ale już zaraz znów płakał.

Ktoś pierwszy łzy poczuł pod powiekami, zawstydzził się i spojrzał w ziemię. Ktoś drugi w kącikach oczu łzy poczuł. Ktoś trzeci czuł, że mu chłodne krople po gorących spływają policzkach, ktoś czwarty, ósmy, dwudziesty.

A błazen płakał, zawodził.

Chustkę kraciastą wyjął z kieszeni, oczy ociera, chlipce, płacze coraz głośniej, jęczy, chwieje się, przykuca, usta wykrzywił, mociuje się z bólem, wreszcie wybucha.

Pada na dywan areny, tarza się, wije, skowyczy, powykradał dźwięki bolesne wszystkich zwierząt i króla-człowieka.

I nikt już się teraz w tłumie nie wstydził: ani fabrykanci cygar, ani akcjonariusze plantacji buraków, ani dziennikarze, ani ajenci<sup>1</sup> policji śledczej, ani bankierzy, ani prokurenci biur komisowych, ani kasjerzy, urzędnicy, nauczyciele, adwokaci, chemicy, ani przedsiębiorcy robót miejskich, ani komornicy, ani cnotliwi, ani nikczemni, ani ich córki, kochanki, żony, teściowe i kuzynki.

Wszyscy płakali głośniej lub ciszej, lub bardzo głośno, niektóre kobiety z łóż, krzeseł i amfiteatru drżały w spazmach, a nawet mdlały.

Nikt dobrze nie wiedział, dlaczego za ukazaniem się błazna bił mu oklaski, dlaczego mu

---

<sup>1</sup>*ajent* — dziś raczej: agent. [przypis edytorski]

potem złorzeczył, dlaczego się śmiał do rozpuku, a teraz płacze. Zarówno jak komornik nie wiedział dobrze, czemu jest komornikiem, chemik, czemu jest chemikiem, nicpoń, czemu jest nicponiem.

I po raz pierwszy o pułap cyrku tłukły się łkania.

Aż błazen zamilkł. Łzy otarł. Wstał. Wyprostował się w śmiesznym stroju cyrkowego błazna i czekał.

I łkania publiczności milkły, cichły, malały.

I znów błazen objął ich wszystkich dumnym spojrzeniem zwycięzcy i pośród dużego milczenia rzekł twardym głosem:

— A może ja się urodziłem, by być Napoleonem Pierwszym?

W tejże chwili wszyscy zrozumieli, i zrobiło im się paskudnie na duszy.

Chcecie wiedzieć zapewne, co wszyscy zrozumieli?

Oto, że urodzili się, by być czymś więcej, niż są. Nawet ludziom bardzo zamożnym, nawet dobrze wychowanym, nawet wysoko po-



stawionym, nawet bardzo solidnym, nawet jeżdżącym ostrygi, nawet żonom i córkom bardzo szanowanych mężów i ojców, nawet dziennikarzom i kochankom milionerów, nawet prokurentom i cnotliwym, i nawet hultajom — rozumiecie? — wszystkim, zebrany w olbrzymim cyrku, wszystkim bez wyjątku, przyszło na myśl, że urodzili się, by być czymś innym, niż są, czymś wyższym, niż są.

Może przyszło im nawet na myśl, że urodzili się na to, by być prawdziwymi ludźmi, jakimi być mogli, ale już nie mogą, takimi jak to ja myślę i jak zapewne wielu myśli w chwilach głupiej samoanalizy. Ale żeby tak było z pewnością, nie mogę twierdzić.

Dość, że wszystkim bardzo się paskudnie zrobiło na duszy, kiedy im błazen powiedział.

I poszli wszyscy z cyrku do domów i mieli głupie sny. Ale nazajutrz już znowu było wszystko dobrze.

## NA WYDANIU

Już jak kto nie ma szczęścia, to nie ma go nigdy i nigdzie.

Już jak kto nie ma szczęścia, to nie ma go ani w dzień, ani w nocy, ani nawet we własnym swym łóżku.

Tak... tak.

Ot, śni mi się sen. Ani ja go prosiłem, żeby mi się śnił, ani nic. I żeby to jaki przyjemny sen, albo co...

A śniło mi się, że wychodzę z mieszkania.

— Dokąd idziesz? — pyta mateczka.

— Na spacer — odpowiadam.

— Jak to? O tej porze? — pyta mateczka.

— Bez służącej? — pyta mateczka.

— Jak to: bez służącej? Co to ma znaczyć?  
— dziwię się niepomiernie.

— Dziecko moje — mówi mateczka — nie zapominaj o tym, że jesteś panną na wydaniu, ludzie mogą cię wziąć na języki.

— Kto ma mnie znowu brać na języki? Kto jest panną na wydaniu? — wzrasta moje zdumienie.

— Ty... ty jesteś panną na wydaniu.

— Ja?

— Ty!

Spoglądam po sobie, i lodowy pot występuje mi na czoło. Widzę, że jestem ubrany w suknię do ziemi. Chcę odetchnąć: gorset mnie gniecie. Chcę ręką dotknąć czoła: palce płaczą mi się w grzywce. Kie lichy?

— Ja nie chcę być panną na wydaniu — wołam, bliski płaczu.

— Stało się — mówi mateczka.

— Ależ, moja mamo, mama przecież rozumie, że to nie ma najmniejszego sensu.

— Dziecko moje, ja sama wolałabym, żeby było inaczej.

— Ależ ja się na to żadną miarą nie mogę zgodzić.

Mateczka wykonała ręką jakiś niezdecydowany gest poddania się, czy rezygnacji — i rzekła:

— Obowiązki kobiety są wzniosłe i szczytne.

— Ależ to bardzo wszystko piękne, tylko że mnie to nic a nic nie obchodzi.

— Przyzwyczaisz się, najdroższe dziecko moje, i wiem, że mi wstydu nie zrobisz i do grobu mnie nie wpędzisz swoim postępowaniem. A teraz pozwalam ci wyjść na pół godziny, dopóki się nie ściemni. Marianno! idź z panienką na spacer.

Marianna zarzuciła na siebie chustkę i z głębokim wirem sprzecznych myśli wyszedłem na schody.

Na półpiętrze schwyciłem Mariannę w pół i pocałowałem w buzię.

— Co panienka wyrabia? — dziwi się Marianna.

A ja opuściłem wualkę na oczy, bo nie chciałem, żeby widziała, że płacę: „więc to prawda? więc ja... ja... ja... ja... jestem naprawdę panną na wydaniu”.

Przecież to straszne! to potworne! to zbrodnia!

Wychodzimy na ulicę.

Mężczyźni są dość zajmujący. Ot, ten na przykład, który przeszedł. Oglądam się, on także. Idzie za nami.

— Marianno — mówię strwożony. — Co to będzie, jak on nas zaczepi? Będziemy zgubione!

— Nie trzeba się było oglądać — mówi dziewczyna.

Pędzimy kłusem przez ulicę, wpadamy do bramy, do domu, do mateczki.

— Co się stało?

— Jakiś facet chciał nas zaczepić.

— Dziecko drogie, jak ty się wyrażasz. Kto widział mówić: facet. Mówi się: nikczemnik.

— O tak, nikczemnik!

— Bo panienka się za nim obejrzała — mówi Marianna.

— Dziecko moje! — załamała ręce mateczka. — Jakże nierozważna jesteś: byłabyś zgubiona.

— Zgubiona na wieki! — mówię.

— Bezpowrotnie.

— Nieodwołalnie — dodaję.

— Wychodzić będziesz tylko ze mną.

— O tak, z tobą, najdroższa.

— Ze mną. Jutro rano pójdziemy do cioci Zuzanny i do krawcowej.

— Do krawcowej?

— No tak: jesteś przecież panną na wydaniu.

— Ach tak... tak... prawda.

I nazajutrz byłem z mateczką przed obiadem u krawcowej i u ciotki Zuzanny.

I rozpoczęły się katusze, o których wy, mężczyźni najmniejszego nie macie wyobrażenia.

Nie wolno mi było mówić ani: „do stu par diabłów”, ani: „niech mama głowy nie zawraca”, ani: „akuszerka”, ani „Przybyszewski”, ani „miłość”, ani nic... nic...

Nie wolno mi było ani uśmiechnąć się, ani ukłonić, ani wyjść na ulicę, ani zaczepić kogo, ani iść do cukierni na gazety, albo na bilard, no słowem nic... nic.

Nie wolno mi było rozmawiać z ludźmi, bo mateczka dała mi dwie przyjaciółki, z którymi

mi wolno było zdychać z nudów, a jak mówiła mateczka: żyć.

Musiałem chodzić do Filharmonii na koncerty i w niedzielę na spacer w aleje, i mieć oczy spuszczone, i rumienić się, i nosić ciasne buciki, i grać na fortepianie, i czytać po francusku, i chodzić do krawcowej — i ani kieliszeczka wódki w barze amerykańskim. No, rozpacz.

I chodziłem do ciotek, i byłem tak skromny, że mi się aż czasem kiszki skręcały. Wy, mężczyźni, najmniejszego wyobrażenia nie macie, co to było dla mnie — owo chodzenie do ciotek — i ani jednej partyjki w winta — i ani jednego bilardu, i ani jednego kieliszeczka.

A mateczka mówi:

„Cera”.

Wy nie wiecie, co to jest — cera. Nieee, to coś okropnego.

„Cera, nos, oczy, uszy, usta, ręce, biodra, włosy”, o tym wszystkim mówiono właśnie u ciotek.

— Ślicznie dziś wyglądasz. Wczoraj dobrze wyglądałaś. Obyś jutro dobrze wyglądała. Niechże cię ucałuję: jak ty wyglądasz.

I baby lizały... lizały... lizały mnie... i psuły mi cerę. Oglądały mnie, poprawiały włosy, stanik, pasek, oczy, nos, wszystko.

A ja?

Na jawie ja byłbym się wściekł. Ja wam zupełnie szczerze i bez przesady mówię: wściekłbym się, pokąsałbym mateczkę, krawcowę, cerę, ciotki, wszystkich bym pokąsał.

— Mateczko — powiadam — czy ja, do choroby, już całe życie tak samo?

— Dziecko najdroższe, przyzwyczaisz się.

— Ale ja się nie mogę przyzwyczaić, ja nie chcę się przyzwyczaić. Jeżeli mnie mama chciała trzymać w klatce, to nie trzeba mnie było uczyć czytać — albo trzeba mi było dać coś takiego, coby mi w domu czas wypełniało.

— Dziecko najdroższe, masz fortepian.

— Ja nienawidzę muzyki, ja pluję na muzykę, ja chcę grać w bilard.



— Dziecko, co ty mówisz?

— Ja chcę pić wódkę, palić papierosy, pojechać na uniwersytet, obciąć sobie włosy i mieć dziecko.

Mateczka nie zemdląca.

— Zapowiadam mamie, że od dziś na każde pytanie ciotek stale będę odpowiadała jeden wyraz: „akuszerka”. I już.

Mateczka zemdląca. Ja się rozplakałem. Mateczka się ocknęła i zawołała:

— Cera!

I od stóp do głowy chłodnym oblany potem obudziłem się.

## PIEŚŃ WIOSENNA

Jest w duszy ludzkiej jedna srebrna struna, na której jeden mistrz tylko, jedną pieśń doroczną wygrać potrafi. Mistrzem tym jest Wiosna; pieśnią tą jest Miłość...

Siedziałem na ławce w alejach i patrzyłem na pękliwe główki zielonych świeżych, jasną zielenią — listków. Patrzyłem na zwawą krzątani-

nę ludzi i ptasząt — i taka rzewność opanowała mą duszę, że pragnąłem ucałować wróbelki i ludzi...

Może ja to nie dość poetycznie opisałem, bo to nie moja specjalność, w każdym jednak razie czułem wielką życzliwość dla wszystkiego, co żyje i rusza się na świecie...

Usiadł obok mnie na ławce człowiek o bardzo niemiłej powierzchowności. Opasły, o twarzy bezmyślnej, zmysłowej, mocno sapiący, z oczami bez wyrazu.

I poczułem nagle, że go kocham.

— Panie — rzekłem — nie wiem, czy pan mnie zrozumie. Widzi pan: oto słońce spływa ciepłymi promieniami i natura budzi się do życia. A wraz z tym nowym życiem wkradła się do mego serca miłość. Jesienią może bym na pana nie zwrócił uwagi, ale teraz oto kocham pana. Cóż z tego, że masz niemiły wyraz twarzy; jeżeli jesteś pan głupi i zły, to nie twoja w tym wina. Daj mi dłoń swoją i opowiedz mi o swojej żonie i dzieciach, zwierz mi się z trosk swych i smutków.

— Ależ ja pana nie znam — rzekł nieznamy, odsuwając się i chwytając za boczną kieszeń marynarki.

Dostrzegłem ten ruch nieufny, i gorycz załżała mi duszę.

— Ach — powiedziałem z wyrzutem — masz mnie pan za złodzieja kieszonkowego; tak mi odpłacasz za me szczere, z serca płynące wyrazy?

— Szczere, czy nie szczere, a ja z obcymi ludźmi nie wdaję się w poufale gawędy.

Wstał i poszedł.

— Biedny! — pomyślałem i łzy stanęły mi w oczach...

Po chwili jakaś wiekowa dama zajęła miejsce obok mnie na ławce.

„Ta mnie zrozumie” — pomyślałem.

— Pani — zacząłem. — Masz siwe włosy. Kocham cię za ten kontrast, który stanowi biel twoich włosów z zielenią wiosny. Kocham cię, pani, za te zawody, które w życiu przeżyłaś, za ten spokój, który maluje się na twym obliczu.

(Na obliczu matrony malował się żywy niepokój).

— Pani, mam do ciebie prośbę: ucałuj me czoło i pobłogosław mnie. Zdaje mi się, że twój pocałunek uczyni mnie dobrym, a twoje błogosławieństwo wskaże mi prawą drogę życia i zabezpieczy od pokus. Powiedz mi: „synu, bądź cierpliwy i mężny”.

Matrona drżącymi wargami dotknęła mego czoła i, wzniosłszy dłoń drżącą, rzekła drżącym głosem:

— Synu, bądź cierpliwy i mężny.

— O tak! — zawołałem radośnie — będę cierpliwy i mężny, matko moja. Prawda, że pani pozwoli mi nazywać się matką?

W tej chwili zbliżyli się do siwej damy mężczyzna młody i kobieta — zapewne małżeństwo.

— Ach! jak to dobrze, że jesteście — krzyknęła radośnie staruszka. — Chodźcie, chodźcie stąd... Do widzenia panu.

Szybko się oddalili, przy czym matrona coś im żywo opowiadała. Potem wszyscy troje obej-

rzeli się, ogarnęli mnie pełnym współczucia wzrokiem, pokiwali smutnie głowami, i poszli dalej.

Nie mogłem mieć wątpliwości: sądzili, że jestem nerwowym<sup>2</sup>.

I gorycz zalała mi duszę, i łzy stanęły mi w oczach...

Po chwili siadł na mej ławce młodzieniec lat dwudziestu kilku, o żywych rozumnych oczach, niedbałych ruchach, niedbale ubrany — jeden z tych, którzy mi najbardziej do gustu przypadają.

— Czy zechce pan ze mną porozmawiać?  
— zacząłem tym razem już ostrożniej — pan jest sam i ja jestem samotny. Nie wymieniamy swych nazwisk, bo i po co? Oto wiosna, słońce, zieleni młoda, wróbelki... Wiem, że jedne uczucia grają teraz w naszych sercach. Gdy się widzi to młode życie, gdy się widzi tyle blasku, trzeba koniecznie kochać. My, mieszkańcy miast, tak mało przestając z naturą, zasypani gryzącym pyłem ulicznym, otuleni trującym oddechem fabryk — zatraciliśmy po-

---

<sup>2</sup>nerwowym — tu: wariat, obłąkany. [przypis edytorski]

czucie życzliwości dla ludzi. Ja gorąco pragnął-  
bym tak szczerze porozmawiać z kimś, znaleźć  
w sercu bratnim oddźwięk bratni...

— Tak — przerwał mi młodzian — to wszyst-  
ko bardzo piękne, co pan mówi, ale ja mam  
zwyczaj dobrze poznać człowieka, zanim mó-  
wić z nim zacznę. Nie wiem, kto pan taki, czy  
modernista, czy secesjonista, czy biały, czy czer-  
wony.

— Ach, tak... Ja jestem w kratkę — rze-  
kłem z bolesną ironią.

— A ja się boję ludzi w kratkę — rzekł.  
Wstał i poszedł.

I gorycz zalała mą duszę.

„Więc na to, by ktoś życzliwie dłoń ci uści-  
snął — nie dość być człowiekiem o miłują-  
cym sercu; więc na to trzeba wywiesić koniecz-  
nie szyld swoich przekonań i upodobań arty-  
stycznych, społecznych, politycznych i wszel-  
kich innych. Jak bardzo odbiegliśmy, a może  
dopiero dobiegamy do tego okresu, gdy słońce  
tulić będzie bratnie serca ludzkie”.

I łzy stanęły mi w oczach.

I przez łyzy zobaczyłem chłopaczka, pięcioletniego może, który mi się przyglądał.

— Jak się nazywasz, malutki? — zapytałem.

— Janek — odpowiedział malec.

— Powiedz mi, Janku — nawiązałem rozmowę — czy także masz w swym małym serduszku kasztę, gdzie ludzie jak czcionki drukarskie, posortowani są podług kolorów, zabarwień i odcieni? —

— Mój tatuś ma taką samą laskę, jak pan — odpowiedział malec.

— O dziecię — mówiłem — to naiwne zdanie starczy mi za odpowiedź. Ty dzielisz ludzi tylko na dobrych i złych, których odróżniasz proroczą intuicją dziecka. Ale przyjdzie życie i nauczy cię...

— Mamusia wyrzuciła mademoiselle, bo ona poszła i nie wróciła na noc — zaszczebiotał Janek.

— Tak, moje dziecko, tak.

I taka żałość ogarnęła mną, że malca pocałowałem w czoło.

W tej chwili zbliżyła się ku nam niewiasta.

— Janek, chodź mi zaraz... Jakim prawem pan mi dziecko liże?

— Pocałowałem je w czoło.

— To jest brutalna niedelikatność obce dziecko całować... Zarazisz mi pan dzieciaka i unieszczęśliwisz na całe życie!

Janek dostał w kark, mnie łzy w oczach stanęły. I mimo goryczy, która duszę mą przepęłniła — przyznałem matce słuszność. Ona mnie nie zna.

Usiadła obok mnie dziewczyna upudrowana.

— Czy można do pani przemówić? — zapytałem.

— Oj, oj! — odparła i przysunęła się bliżej.

— Powiedz mi — zacząłem smutnie — powiedz mi, czy ta świeżość budzącej się do nowego życia natury, nie przypomina ci twego dzieciństwa? Gdyś była mała i czysta, gdyś tuliła białe czoło do ust swojej matki? Gdyś nie wiedziała, że są źli ludzie na świecie, że tyle brudu i krzywdy szerokim korytem niesie męt-



na fala życia? Oto budzi się w duszy twojej echo odległych wspomnień i zapomnianych żalów.

— Pewnie, że się budzi — odparła smętnie — ale może by mi pan tak fundnął kolację, co?

— Przenigdy — odparłem mrocznie — czyż chcesz, bym smrodliwymi wyziewami gar-kuchni płoszył błękit mych wiosennych dumań? Przenigdy, jednak gotów ci jestem wybaczyć ten brutalny okrzyk, mącający niezamaconą jasność tych tonów, które wiosna na srebrnej strunie mej duszy wygrywa. O, biedna, upadła istota, pogrążona...

— Na trajlowanie mnie pan nie weźmiesz, bom nie frajerka... Patrzajcie go...

Wstała oburzona, a odchodząc rzuciła mi w pożegnaniu jeden wyraz:

— Idiota.

I gorycz zalała mą duszę. I wiosnie posłałem wyrzut bolesny.

— O, wiosno, czemu kłamiesz?...

Aż oto usiadło na mej ławce dwoje dziewczątek. Uśmiech krasił im lica, rumieniec umajał wesołe twarzyczki. Rozmowa ich musiała

być zwierzeniami, bo szeptały cicho, a zwierzenia były zapewne radosne, bo śmiały się bezustannie.

Jasne promienie słońca, zieleń młodych listków, wróbelki i te dwie wiosniane postacie — tworzyły sielankę.

I w sercu mym głośniejsz zadzwoniła moja pieśń słoneczna.

— Miłe dziewczątka — szepnąłem nieśmiało — pozwólcie mi skostniałe w szronie życia serce rozgrzać w promieniach waszej majowej swobody. Niech odtają sopte życiowych zawodów mej duszy, niech pod czarodziejskim blaskiem młodości waszej zatli się w mym sercu iskierka dawnych nadziei i mistycznych rojeń. Rozmawiajcie głośno, a ja siedzieć będę cichutko i słuchać będę, a może z suchego oka łza rozrzewnienia spłynie i zrosi pofałdowane troską czoło.

Wiedziałem, że łza nie może spływać na czoło, ale wiedziałem także, że nie przysłuchuje mi się czułe ucho przeżytego krytyka, lecz

młodość świeża zielonych listków, słońce, wróbelki i... owe dziewczątka.

Patrzyły na mnie rozrzewnione, strwożone.

Gdy nagle zbliżył się krokiem zamaszystym mężczyzna w sile wieku i, ilustrując pełne grozy wyrazy, silnym potrząsaniem grubej laski, rzekł:

— W biały dzień, o trzy kroki od rodziców, żeby zaczepiać niedorostków, na to trzeba być cynikiem w najgorszym gatunku. Maniu, Zosiu — wracamy do domu; dosyć tych spacerów...

Załkała srebrna struna ostatnim jęśliwym akordem, i skończyła moja wiosenna pieśń miłości.

Słońce w dalszym ciągu świeciło na niebie bez chmur, ale już mi ludzie nie byli braćmi, niczyjego serca życzliwego nie pragnąłem...

O pieśni! uczyniłaś mnie złodziejem kieszonkowym, nerwowym, agentem śledczym, trędowatym, idiotą i cynikiem, bom się garnął do ludzi...

Gdybym był modernistą, zakończyłbym ni-  
niejsze opowiadanie tak:

„Czarny kot... Oko Ramzesa... Hydra... Cy-  
kuta... Życie... Siedziałem na ławie samotny,  
jak piorun... Słońce sypało na mnie sadze zwąt-  
pienia”.

I byłby nastrój.

## OKRUTNIE ŚMIESZNY

Gospodarz chciał wprowadzić w świat córkę<sup>3</sup>,  
a syna — wysłać za granicę dla dokończenia  
nauk.

I rzekł:

— Podwyższam komorne wszystkim loka-  
torom mego domu.

I podwyższył.

---

<sup>3</sup>wprowadzić w świat córkę — w XIX w. nie było przyjęte, by kobiety z zamoż-  
niejszych warstw społecznych same zarabiały na swoje utrzymanie, każda musiała  
więc znaleźć dobrze sytuowanego męża. Dlatego rodzice dbali, aby ich córka do-  
skonała salonowe umiejętności (taniec, gra na fortepianie, prowadzenie błysko-  
tliwych rozmów po francusku itp.). Kiedy osiągnęła odpowiedni wiek, kupowali  
jej kosztowne stroje i zaczęli bywać z nią na balach, w teatrze (który był wów-  
czas także formą spotkań towarzyskich) i w kurortach. Musieli także przygotować  
dla niej okazałą sumę jako posag. [przypis edytorski]

I poczuł zadowolenie, jakie jest udziałem ludzi, którzy spełnili swój obowiązek.

I tu zaczyna się cały sznur niezmiernie śmiesznych wypadków...

W owym domu był sklep z bielizną, krawatami, laskami — galanterią. Właściciel sklepu zmartwił się, że mu podwyższono komorne; potem długo rozważał, liczył, myślał, kombinował, aż postanowił:

— Odprawiam jednego subiekta<sup>4</sup>. Za robotę koszuli płacę od dziś o dziesięć kopiejek mniej. Za robotę krawata płacę od dziś o pięć kopiejek mniej. Gratyfikacji w roku bieżącym nie daję.

I kamień spadł mu z serca.

Od owego dnia, siedm<sup>5</sup> szwaczek i trzy krawaciarki musiały już o godzinę dłużej pracować, żeby zarobić tyle pieniędzy, ile dawniej. Służący ze sklepu westchnął, że nie będzie mógł swym dzieciom kupić choinki. Subiekt założył własny sklep z materiałami piśmiennymi i w trzy

---

<sup>4</sup>*subiekt* (tu daw.) — sprzedawca, ekspedient. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*siedm* — dziś popr.: siedem. [przypis edytorski]

miesiące stracił posag żony i własny kapitalik, po czym sprzedał wszystko i wyjechał z żoną i dzieckiem do Mandżurii.

W onym<sup>6</sup> domu był inny sklep: spożywczy. Właściciel sklepu spożywczego zmartwił się, że mu podwyższono komorne, potem myślał, myślał, aż postanowił:

— Dobre są wędliny od Serdelkiewicza, ale procent mały; podłe są wędliny od Salcesona, ale zarabia się na nich pół na pół. Na pieczywie Strucel daje większy procent niż Kajzerski. Na gatunku mąki i soli i tak nikt się nie zna; a mleko z krochmalem i wodą ma również kolor biały. W handlu nie ma sentymentów...

Na pierwszym piętrze od frontu mieszkał adwokat. Adwokat zmartwił się, że mu podwyższono komorne, i złą wieść zakomunikował żonie; a pani adwokatowa postanowiła:

— Wykreślam się z liczby członków towarzystwa kolonii letnich. Nauczycielce płacić będą tylko sześć rubli na miesiąc, korepetytorowi Zygmunta — siedm. Przestaną prenume-

---

<sup>6</sup>on (tu daw.) — ten. [przypis edytorski]

rować dla dzieci „Moje pisemko”, a dla siebie „Przegląd pedagogiczny”; namówię męża, żeby rzucił „Zdrowie”, które nie jest potrzebne adwokatowi. Tapicer dostanie tylko dwa złote za firanki od jednego okna, a za Żelazną Bramą będę się targowała z przekupkami do upadłego.

Nauczycielka sześćiorublowa musiała przyjąć jedną nadprogramową jeszcze lekcję i porzuciła jedną lekcję bezpłatną, którą dawała dziecku stróża domu, gdzie mieszkała. Korepetytor Zygmunia powiedział: „nie chcieli dać więcej, proszę mamy, ale i tak na wpis starczy, a zimowy szynel<sup>7</sup> wcale mi nie jest potrzebny, bo zima pewnie będzie ciepła”. A przekupki na targu wzdychały, że handel upada, bo teraz każdy chciałby kupować wszystko za darmo...

Na trzecim piętrze w lewej oficynie mieszkał buchalter — korespondent. Ten, dowiedziawszy się o podwyższenia komornego, pobiegł natychmiast do swego przyjaciela i powiedział: „mówiłeś mi wczoraj o tych dwóch

---

<sup>7</sup>szynel — daw. męski płaszcz. [przypis edytorski]

wieczornych godzinach; rozmyślałem się i przyjmę”. Przyjaciel odparł: „zdaje mi się, że tam już kogoś znaleźli, ale postaram się to zrobić”. I zawiadomili kandydata, że posada zajęta, a kandydat przyniósł tę wieść matce siwej, wdowie bez własnych funduszów...

Lekarz z drugiego piętra poprzecznej oficyny wezwany został do chorego przy ulicy Szczygłej i wziął rublowe honorarium, boć nie można się bawić w filantropię, gdy gospodarz podwyższa komorne. A żona chorego, wydawszy ostatniego rubla na poradę, nie miała już na lekarstwo i zaniósła chustkę do lombardu, i chustki tej już nie wykupiła.

Urzędnik z trzeciego piętra lewej oficyny postanowił, że nie należy pozować na Katona<sup>8</sup>, gdy warunki życia stają się coraz trudniejsze. Trudno: trzeba zacząć brać, gdy dają — łapów-

---

<sup>8</sup>*pozować na Katona* — starać się zachować honor, pozostać niezłomnym, na wzór Katona Starszego (234–149 p.n.e.), rzymskiego wojskowego i polityka, nieprzejednanego orędownika wojny z Kartaginą i ograniczania wpływów greckich, nieufnego wobec nie-Rzymian, piewcy cnót obywatelskich i republiki. [przypis edytorski]



ka brzydko się nazywa, ale posiada wiele stron dodatkich...

W teatrze na operze jedno z krzesel galerii szczytowej było puste: tam byłby siedział lokator czwartaka, gdyby nie podniesione komorne...

Biuro mieszczące się w drugim podwórzu, na skutek zwiększonych kosztów administracji, zmniejszyło personel, uwolniwszy jednego z dwóch woźnych. Woźny miał troje dzieci. Nie było rady, został roznosicielem jakiejś gazetki, a zarabiając teraz o połowę mniej, odnajął w swej izbie mały kącik za rubla młodemu ogrodniczekowi. Ale ogrodniczek odwiedzał siostrę, której dzieci chorowały na dyfteryt<sup>9</sup>, i przyniósł zarazę dzieciom woźnego, i pomierały w ciągu tygodnia, jedno za drugim wszystko troje...

W suterenie owego domu mieszkał szewc. W tej samej chwili, gdy rządca przyniósł wieść smutną o komornym, ośmioletnia Staśka po-

---

<sup>9</sup>dyfteryt a. błonica — groźna bakteryjna choroba zakaźna; dziś w Polsce spotykana rzadko dzięki powszechnym szczepieniom. [przypis edytorski]

prosiła ojca o szóstkę na kajet<sup>10</sup>. Szewc odparł: „dosyc tej nauki dla dziewczuchy” i oddał ją do baletu do nauki. Szwagra miał w teatrze. I szewc terminatorom począł udzielać nieco skąpszych porcji...

I wiele, bardzo wiele pociesznych faktów miało miejsce. Owych pociesznych faktów było nie tysiąc i nie trzy tysiące. I następstwa tych faktów będą się ciągnęły aż do końca świata.

Woźnemu umarło troje dzieci, więc umarły i dzieci tych dzieci, i wnuki ich, i prawnuki, którzy by grali pewną rolę w życiu pewnych rodzin, a więc pewnego ułamka ludzkości.

Zapytacie:

— Co w tym jednak autor widzi śmiesznego?

— Ależ ogromnie wiele śmiesznego tu widzę.

Dla córki gospodarza, którą papa chce wprowadzić w świat, dla synka, który ma dla dokończenia edukacji wyjechać za granicę — zupełnie ich nie znając, pracują na drugim końcu

---

<sup>10</sup>kajet (daw., z fr. *cahier*) — zeszyt. [przypis edytorski]

miasta zamieszkałe szwaczki. Dla nich terminatorzy mają gorszy posiłek, dzieci służącego sklepu nie będą miały choinki, uczniaczyna<sup>11</sup> szynela. Dla nich pisma straciły prenumeratorkę, towarzystwo kolonii letnich — członkinię, teatr — jedno miejsce na operze, przekupki z Żelaznej Bramy — część zarobku, syn wdowy — posadę, na którą czekał od roku.

Dla nich umarło troje dzieci. Jedno dziecko oddane zostało do baletu. Dla nich kupujący w sklepiku — mieć mają gorszą mąkę i więcej wody w mleku. Przez nie uczciwa piekarnia i masarnia straciły odbiorcę.

Czy nie śmieszne?

Dla wprowadzenia w świat jednej panny i dokończenia edukacji jednego młodzieńca, duży odłam ludności pozbawiony został całego, lub części, zarobku, uczciwości, nauki, zdrowego pokarmu, nawet życia.

Dla nich dziecko oderwano od kajetu i oddano do baletu.

---

<sup>11</sup>*uczniaczyna* — derywat od wyrazu *uczeń* z formantem słowotwórczym uzupełniającym jego znaczenie o cechę: mizerny, godny litości. [przypis edytorski]

Śmiesznym jest i to, że gospodarz ani jego dzieci wcale o tym wszystkim nie wiedzą, zdumieliby się, gdyby im doniesiono, że ktoś gdzieś, o całą długość Warszawy, biedna szwaczka poświęca się dla ich dobra.

To jest tak nieprawdopodobnie śmieszne, że nawet humorysta serdecznie by zapłakał.

A łzy humorysty są chyba również bajecznie śmieszne?

## DOBROCZYŃCY

Jakie to wielkie szczęście móc myśleć, że mądrzy są mądrzy, że wielcy są wielcy, że szczęśliwi są szczęśliwi, że uczciwi są uczciwi, że cnota jest cnotą, że wiara jest wiarą, że wiedza jest wiedzą — i tak bez końca.

Tak... tak.

Przyjdzie jeden głupi mądry, rzucisz okiem na małego wielkiego, otrzesz się o nieszczęśliwego szczęśliwego, spotkasz nieuczciwego uczciwego, zahaczysz o cnotę niecnotę, ujrzysz wiarę niewiarę, zawadzisz o wiedzę niewiedzę.

Tak... tak.

Przecież to bardzo paskudne, opiekunowie i opiekunki ochron urządzają doroczne uroczystości przedwakacyjne z pierniczkami.

Gdybym ja w przystępie szału zgodził się na wzięcie udziału w uroczystości przedwakacyjnej w ochronie lub szwalni<sup>12</sup>, i gdyby o tym napisano w kurierze, tobym po powrocie do przytomności tak się zarumienił, jak nie umieją się rumienić ani humoryści, ani konie wyścigowe, ani Battistini<sup>13</sup>.

A gdyby jakie blade bardzo, ale umyte na uroczystość dziecko, wychowane w ciemnej izbie dusznej, ale na uroczystość oblane potokami słońca, ponure, ale na uroczystość uśmiechnięte, syte w maju, bo ojciec robi w naprawie bruków lub w domach przedsiębiorcy Hausfelera, ale głodne w zimie, gdyby takie blade dziecko

---

<sup>12</sup>*ochrona lub szwalnia* — instytucje dobroczynne, w których wychowywano i dokarmiano dzieci z biednych rodzin; młodsze przebywały w przedszkolach zwanych ochronkami, starsze przyuczano do prostych prac, np. w specjalnie zorganizowanych szwalniach. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>*Battistini, Mattia* (1856–1928) — sławny włoski śpiewak, zwany królem barytonów, był częstym gościem w Warszawie na początku XX w. w czasie swoich licznych *tournees* po Rosji. [przypis edytorski]

z niebieską wstążeczką i umyte na uroczystość, powiedziało do mnie, a choćby nie tylko do mnie, ale do nas wszystkich:

— Dziękuję wam, szlachetni dobroczyńcy — i tak dalej, tobym umarł, całkiem umarłbym ze wstydu.

Bo ja bym sobie zaraz tak pomyślał:

— Jedna suknia balowa mojej żony, jeden mały wieczorek w szczupłym gronie rodziny i przyjaciół, jedno cygara w sezonie zimowym, jeden nieudany wieczór przy zielonym stoliku, lub jedno popołudnie przy zielonej murawie toru wyścigowego, kosztuje mnie więcej, niż ta ochrona cała... Więc, moje dziecko, jeżeli ty naprawdę myślisz, że jestem dobroczyńcą, toś głupie, a ja — oszust; jeżeli nie myślisz, że jestem dobroczyńcą, toś obłudne, a ja — deprawator.

Ochrona jest ciasna, wychowawczyni wazsa skromnie wynagradzana, przybory do nauki freblowskiej<sup>14</sup> bardzo ubożuchne; ale ja prze-

---

<sup>14</sup>*freblowski* (daw.) — przedszkolny. Nazwa pochodzi od systemu pedagogicznego, którego twórcą był Friedrich Fröbel (1782–1852). Podkreślał on specyficzne potrzeby dziecka i postulował edukację przedszkolną przez zabawę, śpiew i taniec, opracował też projekty zabawek edukacyjnych. [przypis edytorski]

cież nie mogę żonie nie sprawiać sukien balowych, a sam nie mogę nie palić cygar. A to, że tam coś tego, na ochronę, tom jeszcze nie opiekun, a tym bardziej — dobroczyńca, tylko... tak sobie.

Tak bym sobie pomyślał i umarłbym zupełnie ze wstydu...

Ale nie tylko o tym chciałem powiedzieć.

Utarł się zwyczaj, że ludzie składają ofiary zamiast wieńców. I to bardzo się podoba ogólowi. A jak jeszcze ktoś zastrzeże w ostatniej woli, że nie chce kwiatów, to jest już zupełnie w dobrym tonie i modne.

Nie chcę, żeby mnie źle zrozumiano. Owszem, więcej korzyści przyniosą pieniądze, złożone bodaj na towarzystwo ratowania tonących, niż zwana wieńcem dziura, oblepiona zielskiem. Ale niech się owym ludziom nie zdaje, że są dobroczyńcami. Boć ostatecznie koszt ten sam, a ma się drukowane nazwisko nie tylko swoje, ale i nieboszczyka, czyli, że dziesięć rubli rozkłada się na dwie pięćiorublówki, dla siebie i nieboszczyka — po połowie.

Doprawdy, ja nie chcę nikogo urazić. Raz jeszcze powtarzam, że to mi się bardzo podoba, że tak, moim zdaniem, wszyscy powinni postępować. Jeżeli mam coś do nadmienienia, to tylko — że ogłoszenia podobne kwalifikują się raczej pod rubrykę „interesy handlow. i majątk.” niż: „ofiary”.

A wreszcie jest to wszystko jedno. Tylko to nie jest dobroczynność!...

Tak... tak...

Jeszcze jedna bardzo poważna sprawa wymaga wyjaśnienia, a mianowicie — testamenty.

Jest sobie w ubogiej rodzinie, bogato rozgałęzionej, albo nawet odwrotnie — bogatej rodzinie, ubogo rozgałęzionej — jeden bardzo bogaty i bezdzielny członek, zaawansowany w latach.

Opiekują się nim wszyscy. Siostrzeniec codziennie towarzyszy mu na przechadzkach, bratanek robi dla stryja ulubione soczki. Odwiedzają samotnika krewni z dziesięciu linii, żrą się między sobą, prześcigają się w dogadzaniu



wszystkim jego niewygasłym zmysłom. Ten da kwiatek (powonienie), ta przyniesie własną rączką wyszyte pantofle (dotyk), tamten wykosz-  
tuje się na jakiś gracik: figurkę, wazonik, lub coś podobnego (wzrok); o ulubionym soczku lub konfiturkach już mówiłem (smak); nawet mu ktoś z linii dziewiątej zagra coś, panie, napoleońskiego, na skrzypcach lub fortepianie (słuch).

A stary pyta obłudnie:

— No, i po co to to dla mnie, starego?

Albo tylko dziękuje.

A tam gdzieś u rejenta spoczywa papier, który ma zwalić wszelkie nadzieje, który ma dowieść, że podstęp w duszy ludzkiej rozrosnąć się może do potwornych rozmiarów; stary dziewięć dziesiątych przeznaczają na cele dobra ogólnego.

Znam tragedie podobne.

— Jakim prawem ten człowiek rozporządza majątkiem swych spadkobierców; jakim prawem zmusza on ich do ofiar na cele, przez siebie upatrzone. Jakim prawem zbiera zaliczki w formie życzliwości, usług a nadto prezentów? Ja-

kim prawem sprowadza on klątwy na instytucje, przez siebie obdarowane, skądinąd pożyteczne bardzo i zasługujące na cześć i błogosławieństwa?

(Może taka klątwa właśnie ciąży na instytucji kolonii letnich; że nie może wysłać, z powodu braku funduszków, takiej liczby dzieci, jaką należy i pragnęła?)

I znów muszę nadmienić, że nikogo nie chcę urazić, że legaty uważam za bardzo pożądane przedsięwzięcia, że daleki jestem od twierdzenia, by każdy zapis dobroczynny miał głosić: „naści, niebożę, co mi już służyć nie może”. Idzie mi tylko o wszechstronne wyświeślenie kwestii.

Boduen był dobroczyńcą, a nic po śmierci nie zapisał, bo rozdał za życia, co jest tym bardziej znamienne, że prawie nic nie miał.

Znam rodzinę, która przebywa w pogaństwie judaizmu, nie chcąc drażnić zachowawczego spadkodawcy, protoplasty. Zawód dla ludzi tych byłby tragedią. Znam wypadki, gdzie wstrzymywano małżeństwa, odrzucano posa-

dy, gdzie owa tajemnicza koperta z czerwoną pieczęcią do gruntu zmieniała losy wielu rodzin.

Tak... tak.

Dobroczyńców jest mało: historia, ale nie szkolna, imiona ich zanotowała. Tuła się tam trochę bezimiennych, o których ani ja nie wiem, ani nawet „Biesiada literacka”<sup>15</sup> nie podejrzewa ich imienia...

Znam ludzi, którzy, mając w kieszeni dwa ruble, złotych cztery i dwa grosze<sup>16</sup>, wzruszają się na dwa grosze, lub na grosz tylko (a grosz reszty).

Znam, którzy mając srebrnego rubla i miedzianą dziesiątkę — potrafią się nawet za dziesiątkę wzruszyć.

Tak... tak. Ci są już lepsi, ale nie dobroczyńcy. I oto mi właśnie idzie...

---

<sup>15</sup>*Biesiada literacka* — pismo literacko-polityczne o profilu narodowo-demokratycznym, wychodzące w Warszawie w latach 1876–1917. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>*dwa ruble, złotych cztery i dwa grosze* — w XIX w. w tej części Polski, która znajdowała się pod zaborem rosyjskim, funkcjonował faktycznie podwójny system monetarny: obok rubli, dzielących się na kopiejki, w obiegu były również złote i grosze, przy czym (przynajmniej w pewnych okresach) jeden złoty wart był pół rubla i dzielił się na 30 groszy. [przypis edytorski]

Powódź, pożar, nieszczęście, bez dachu, tyfus, nędza w izbie piwnicznej, czworaczki, tragedia, nauczycielka, suchoty, maszyna do szycia, student, wpis, filar, chwała narodu, wieszcz, pomnik, aktorka, trojaczki, tego, owego, efektowny opis, miękkie serce, dwie łzy — rubel.

Owszem, to bardzo ładne. Tak właśnie potrzeba. Lepsze nawet dwa ruble i łza, albo trzy ruble bez łez zupełnie...

Zabiłeś wronę — grosz, spudłowałeś do zająca — dwa grosze, trafiłeś w psa własnego, zamiast w lisa — trzy grosze. Razem, sto strzałów — sześćdziesiąt kop.<sup>17</sup> srebrem na moralnie zaniedbane dziewczęta lub towarzystwo racjonalnego myślistwa...

Pula — dziesiątą część na stronę, znów pula — znów rubelek na bok.

Bardzo pięknie. A potem na kasę wdów po lekarzach, w połowie warszawskich, a drugiej — prowincjonalnych...

---

<sup>17</sup>*kopiejka*, w skrócie *kop.* — rosyjska jednostka monetarna, jedna setna rubla.  
[przypis edytorski]

Kieliszek wychyliłeś, rzuć do skarbony, a potem na kasę literacką...

Mile ci upłynął wieczór w gabinecie w miłym sam na sam — pomyśl o kasie kobiet bezdomnych lub — pracujących moralnie...

To są wszystko tak piękne obrazki, jakie zdarzało mi się widzieć, tylko na pudełkach od czekoladek i w fejletonach<sup>18</sup> dzienników w owych błogich czasach, gdy podobna dobroczynność cieszyła się nawet dużą sympatią...

Ja bardzo proszę pisma nasze, jeżeli im to różnicy nie zrobi, żeby, nie wymieniając źródeła, zwróciły się do młodzieży, aby zamiast uczt pożegnalnych — składali zebrane pieniądze na cele, jakie im do serca najbardziej przypadają.

Mogą z nich być w przyszłości lekarze. Może zjadą się do Warszawy na narady w sprawie higieny miast, miasteczek i wsi. Może i wówczas nie urządzą uczyty z winem i toastami, ale tak bardzo potrzebne grosze na inny cel przeznaczą.

---

<sup>18</sup>fejleton (z fr. *feuilleton*) — dziś popr.: felieton. [przypis edytorski]

Tylko ani oni, ani nikt, niech ich nie nazywa dobroczyńcami. To będzie tylko fakt uczciwy, pierwsza rata w spłacie obowiązku.

Obowiązek — to bardzo, bardzo rzadko używany wyraz. Bo, gdy kto tylko weźmie się do regulowania z nim rachunku na warunkach niewypłacalnego dłużnika — na dwa, trzy, cztery, najwyżej pięć procent — już wrzeszczy zdziwiony tłum:

— Dobroczyńca.

A bankruta, który zapłacił część należności, nikt nie nazywa inaczej, niż bankrutem.

Bo wierzyciel — to obowiązek fizyczny (wyrok, komornik, koza<sup>19</sup>), a ten — to tylko moralny (ani wyroku, ani komornika, ani licytacji).

## DZIECI TO...

Rzecz dzieje się przy stole obiadowym w pensjonacie.

---

<sup>19</sup>koza — tu: areszt. [przypis edytorski]

Osób dorosłych jedenaście: z tych, dziecięć zalicza się do — *owszem*, a dwie do — *tak sobie*.

(Na wsi trudno o zupełnie dobrane towarzystwo)...

— Dzieci — to przyszłość narodu — powiada jedna z pań, niosąc do ust łyżeczkę kompotu.

(Mówiło się przed chwilą o dzieciach).

Zalega cisza.

Wszyscy spojrzeli z uznaniem na kobietę, która wypowiedziała tak głębokie zdanie.

(Synek jej jest uczniem pierwszej klasy szkoły wielmożnego Rontalera<sup>20</sup>, a córeczka „chodzi” do pani Tołwińskiej<sup>21</sup> — szczęśliwi malcy, że mają inteligentną mamusię).

— Tak jest — przerwał uroczystą ciszę jeden z panów — dzieci są przyszłością narodu.

I począł ogryzać kostkę pieczonego kuraka.

---

<sup>20</sup>*Rontaler, Edward Aleksander* (1846–1917) — właściciel i dyrektor nowoczesnej szkoły ogólnokształcąco-handlowej powstałej w 1896 r. w Warszawie, wśród jej pedagogów było wielu wybitnych uczonych. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>*Tołwińska, Stefania* (zm. 1909) — właścicielka i dyrektor nowoczesnej pensji dla dziewcząt w Warszawie, istniejącej od lat 80. XIX w. [przypis edytorski]

Pan, który ogryzał kostkę pieczonego kuraka, miał opinię bardzo rozumnego człowieka (5000 rocznie samej pensji) i dwóch synów w piątym gimnazjum — toteż zdanie jego zostało wysłuchane z należytych skupieniem.

— Przyszłością narodu są dzieci — powiedziała druga pani z westchnieniem, nakładając na talerz marchewkę z groszkiem.

Westchnienie, zupełnie na miejscu, spotkało się z zasłużonym uznaniem.

Wszyscy byli zadowoleni z wyniku inteligentnej rozmowy, która miała tę zaletę, że nie nużyła rozwlekłością, a mimo to nie była zwykłą płytką, szablonową paplaniną.

Jeden tylko człowiek zdawał się być niezadowolony. Człowiek ten był *tak sobie*: jakiś nauczyciel, czy coś podobnego, kasał po nocach — nudny i zgryźliwy.

Poruszył się raz i drugi niecierpliwie, co zawsze czynił, ilekroć nieproszony zupełnie chciał zabrać głos, i wybuchnął nagle wśród ciszy:

— Macie państwo zupełną słuszność — tylko że to trzeba rozumieć, trzeba dobrze zro-



zumieć, a inaczej lepiej wcale nie mówić i nie narażać się na śmieszność — chociaż to wcale nie jest śmieszne.

Szmer protestu rozległ się wśród biesiadników — szmer rósł — skośne spojrzenia i zjadliwe uśmiechy skierowały się ku mówcy.

— My rozumiemy, panie profesorze — ozwał się dobitnie i powoli rozumny (5000 rubli rocznego dochodu), ogryzając kostkę piezonego kuraka.

— Nie — zaprotestował impertynencko ów *tak sobie*, i z impetem odsunął talerz.

Ten człowiek stanowczo nie umiał pogodzić tych dwóch czynności: mówienia i jedzenia.

— Ależ zapewniam pana profesora, że rozumiemy — ciągnął spokojnie (5000 samej pensji).

— Nie — huknął *tak sobie*. — Myśleć należy obrazami. Gdybyście państwo rozumieli, tobyście nie mogli z takim stoickim spokojem zajadać kompotów, kurczaków i marchewki.

W ostatnich czasach rozrosła się wstręt-  
na kategoria ludzi, których przez grzeczność  
zwą przeczulonymi, lub nadczułymi. Ludzie ci  
wszystko biorą zbyt serio i wszystko ich drażni.  
Ludziom podobnym wydaje się, że nie wolno  
mówić przy majonezie o powodzi, lub na kon-  
cercie o doli podrzutków.

— Dla mnie wyraz: potomni — jest ob-  
razem, proszę pana. To znaczy: widzę siebie  
w grobie, spróchniałego, zgniłego, toczonego  
przez robactwo.

— Zaczyna się — ozwał się czyjś głos nie-  
cierpliwy.

— A owych malców rocznych i trzyletnich  
widzę, jako dorosłych mężczyzn — ojców i do-  
rosłe już matki — kobiety.

— I to panu odbiera apetyt? — zauważył  
ktoś ironicznie.

— I widzę, jak oni za krótkie lat trzydzie-  
ści będą zajadali kurczęta, zabawiali się flirtem,  
zajmowali synekury, urządzali bale i koncer-  
ty, nosili tiulowe suknie z dyskretnymi dekol-  
tami; będą czytali gazety i głupie powieści

i prowadzili płytkie rozmowy... Ten dwuletni Kazio, czy Jasio, będzie wywąchiwał duże posagi, a dzisiejsza dwuletnia Mania, Zosia, Jadzia czy Helcia będzie starała się na wędkę swych wdzięków pochwycić rybkę — sukniodajnego męża... Ten roczny Józio, Stasio czy Władzio będzie umizgał się do leciwych mężatek i poządliwie uganiał za łatwymi zdobyczami na bruku wielkiego miasta, a złotowłosa, szczebiocząca dziś zabawnie Jania, Henia czy Bronia będzie może pokutowała za kawalerskie grzechy męża.

— Panie, tego za wiele!

Sześć zupełnie zgorszonych osób usunęło się od stołu.

— I czegoż się państwo oburzacie? Nie mówiłbym wam tego, gdybyście mnie tak solennie nie zapewniali, że rozumiecie, co znaczy wygłaszany przez was frazes: dzieci — to przyszłość narodu... Czas szybko płynie. Dwadzieścia lat — okres bardzo krótki... Toć pamiętamy doskonale nasze krótkie spodenki i sukienki do kolan. Bacik<sup>22</sup>, lalka — prawda — zdaje się

---

<sup>22</sup>*bacik* — daw. zabawka dla chłopców. [przypis edytorski]

nieledwie, żeśmy je wczoraj dopiero porzucili?...

Znów dwie osoby opuściły swe miejsca przy stole, a pozostałe z niesmakiem odsunęły talerze.

— Nie znoszę frazesów, zdań niewyczu-tych, które wiszą jak szyldy jaskrawe, których jednak nikt nie widzi, bo przechodzi obok po kilkanaście razy na dobę; zdań, które przypominają mi szlak na misce, w której się myje, albo kwiat na dzbanku od wody, lub na innym naczyniu...

— O, tego już zanadto, panie profesorze — zaprotestował po raz drugi ogólnie szanowany (5000 rocznie). — Trzeba się liczyć ze słowami.

— Przepraszam, nie powiedziałem nic ponad to, co się mieści w przyjętym z takim szacunkiem przez was zdaniu: dzieci — to przyszłość narodu. Gdyby pan powiedział, ogryzając kostkę pieczonego kuraka: „dziecko — to bardzo kosztowna, ale zarazem miła rozrywka” — byłoby mnie niezmiernie przykro, ale mimo to milczałbym, jak mur. Gdybyś pan po-

wiedział: „ma się dzieci, boć człowiek żonaty zwykle ma dzieci, bo tak jest przyjęte, i to jakoś samo z siebie się robi” — nie przerwałbym ciszy nawet westchnieniem.

— Jesteś pan człowiekiem krańcowym.

Pozostali przy stole biesiadnicy — opuścili swe miejsca.

Do nauczyciela zbliżył się inny *tak sobie* i łagodnie położył mu rękę na ramieniu.

— Opowiem panu bajkę — rzekł:

Był w Ameryce pewien wielki kaznodzieja i znakomity mówca. Arystokracja New Yorku wymogła, by wygłosił kazanie w jednej z najwspanialszych świątyń stolicy. Przybył cały wielki świat; panie postrojone, panowie, jak na balu. Nastrój był niezmiernie swobodny. Z góry się już cieszą spodziewaną ucztą. Przypuszczano, że znakomitość wysilać się będzie, by ich olśnić czarem swej wymowy. Wreszcie ukazał się. Cisza. Oczekiwanie. A on im rzekł tylko tak:

„Marne, ułomne, liche owieczki, moje! Po co mam wam mówić, jak postępować należy?”

Wy wiecie, wiecie i beze mnie! Tylko nie chcecie, mili moi, postępować inaczej. Więc szkoda słów”.

I poszedł sobie...

## ZRÓWNOWAŻONY

Człowiek zrównoważony podobny jest do cukierni.

Nad człowiekiem zrównoważonym, jak nad cukiernią, wisi szyld, mniej lub więcej jaskrawy, głoszący dobitnie, bez wahań, bez wątpliwości:

„Cukiernia. Kawa, herbata, lody, ciastka”.

I każdy wie od razu, z czym ma do czynienia.

Z frontu, człowiek zrównoważony, podobnie jak cukiernia, urządzone jest dość mile i z pewnym komfortem. Nie ma tam nic, co by przykuwało wzrok, co by głębiej rozsiadło się w duszy, aleć<sup>23</sup> tego nikt nie wymaga; cała rzecz, by

---

<sup>23</sup>aleć (daw.) — ale; ale przecież. [przypis edytorski]

nic nie raziło, nie drażniło niemile wzroku lub powonienia.

W kuchni cukierni i u zrównoważonego człowieka — jest cokolwiek nieczystości, to być musi. Ale się ją skrzętnie ukrywa, bo po co kto ma wiedzieć? Widok brudu dla ludzi wytwornych jest bardzo niemiły i psuje apetyt.

W cukierni można grać w bilard, w szachy i czytać gazety. Nie są to rozrywki ani wyso-ko kształcące, ani bezwzględnie szkodliwe, o ile im się nie przypisuje zbyt wielkiego znaczenia i nie poświęca zbyt wiele czasu. Zarówno — towarzystwo zrównoważonego człowieka zapycha czas, przynosi pewien pożytek, daje chwilę wypoczynku, a to jest przecież dobre.

Człowiek bardzo głodny nie pójdzie do cukierni, bo chcący tam głód ukoić — naraziłby się na mdłości: ciastka są za słodkie. Silnych wzruszeń również cukiernia mu nie da, ale od tego jest szyld, który wyklucza je zgoła. Toż samo — ma się z człowiekiem zrównoważonym.

Ale istotna, prawdziwa i głęboka analogia między człowiekiem zrównoważonym a cukier-

nią — kryje się w tym jeszcze, że jedno i drugie — funkcjonują prawidłowo, regularnie, bez kaprysów, bez wahań, skoków i zboczeń.

Dyn, dyn! Cukiernia otwarta. Wchodzą, wychodzą — wychodzą i wchodzą. Ruch — nie gorączkowy wprawdzie — ruch normalny, prawidłowy — bez wzruszeń, komplikacji zawiłych — bez napięcia lub natchnień, lub silnych dreszczy zmysłowych. Dyn, dyn! Goście opuszczają cukiernię, ani zbyt chętnie, ani z ociąganiem. I zakład zostaje zamknięty — aż do dnia następnego.

Firma istnieje wiele lat, ma coraz więcej życzliwych, skromna działalność rozszerza się. Aż kiedyś ktoś tam nogę podstawia, lub wskutek zmiany warunków — zostaje zwinięta lub sprzedana.

Pokiwa ten i ów głową, westchnie życzliwszy, wspomni dobrym słowem jej pączki lub babki śmietankowe — ot i ludziska zapomną.

Nikt nie przeklina, ani unosi się zbyt, z rzadka ktoś sarknie na cenę wysoką lub opieszłą usługę.



Znałem człowieka zrównoważonego.

Było to w tym głupim okresie życia, gdy się krowiankę<sup>24</sup> swych ideałów chce szczepić na prawo i na lewo, wszystkim i każdemu z osobna, gdy się pięści wściekle zaciska, gdy ktoś powie: „Nie chcę” albo „już jestem szczepiony”, albo: „nie przyjmuje się, panie kochany; już próbowali”.

Nic dziwnego, że człowiek ten zrazu wstręt we mnie budził:

— Jak pan możesz tak żyć? Zaręczam panu, że frenologia<sup>25</sup> podniesie pana duchowo, da panu cel w życiu, nauczy pana myśleć — da panu szczęście. Dlaczego pan nie chcesz? Co panu to szkodzi?

A on odpowiedział spokojnie:

— Mój panie, każdy, co wie, to wie — co tu dużo gadać?

---

<sup>24</sup>*krowianka* — wirus wywołujący chorobę skóry bydła domowego, używany w XIX w. jako pierwsza szczepionka u ludzi. Przejście tej niegroźnej choroby uodparniało organizm na śmiertelny wirus ospy prawdziwej (czarnej ospy), dziś już niewystępującego. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>*frenologia* (z gr. φρήν, *phrēn*: rozum, umysł) — daw. teoria naukowa, szukająca związków między cechami psychicznymi człowieka a fizyczną budową czaszki i mózgu. [przypis edytorski]

I nie chciał.

W lat parę chciałem go wciągnąć na członka towarzystwa racjonalnej hodowli szpinaku.

— Szpinak zawiera żelazo, w szpinaku kryje się źródło zdrowia narodu. Szpinak zastąpi kiedyś kapryśne kartofle, i zboże, i mięso. Szpinak zwalczy gruźlicę, rozwiąże wszystkie kwestie społeczne. Bułki ze szpinaku, szpinakowe ubrania, domy ze szpinaku... Panie! zrozumie to pan!

A on odpowiedział spokojnie:

— Mój panie, szpinak — to jest szpinak, i basta.

Omiał go nie zastrzeliłem.

Znów lat parę minęło. Ujrzałem go na pogrzebie mojej nieboszczki żony.

— Życie, mój panie, to jest tylko życie — i uścisnął rękę moją serdecznie.

Ucałowałem go. To proste zdanie było tak pocziwie powiedziane, tyle zawierało ciepła.

Postanowiłem częściej się z nim widywać. Początkowo interesował mnie, jako obiekt, po-

tem łączyło mnie z nim przyzwyczajenie, wreszcie przywiązałem się do niego, jak do cukierni.

Pamiętam, mówiłem raz z nim o wierze. Rozpatrywałem wiarę i religię ze strony historycznej, społecznej, filozoficznej, metafizycznej, materialistycznej, etnograficznej.

On słuchał uważnie, oczami zwiślał na moich ustach, a gdy blady i wyczerpany zamilkłem — on uśmiechnął się jakoś bezbarwnie i rzekł:

— Mój panie! Wiara — to jest wiara... i basta.

Raz wzburzył mnie fakt bezprzykładnej podłości ludzkiej.

— Ludzie — wołałem, to — szakale. Człowiek to twór najnikczemniejszy. Każde zwierzę ma coś dobrego wrodzonego, jemu tylko właściwego. A człowiek umie rozumować; człowiek wyrozumuje każdą podłość, każdą nikczemność...

On położył mi rękę na ramieniu i powiedział dziwnie poważnym głosem, uroczystym:

— Człowiek jest tylko człowiekiem.

Innym razem gromiłem stosunek rodziców do dzieci.

— Co ojciec lub matka daje dziecku, prócz truskawek, czystych chustek do nosa, korepetytora i żółtych bucików? Czy starają się ostawiać swe dzieci hartowną zbroją — na ciężki bój życia? Czy wmyślają się w jaźń duchową dziecka — człowieka? Czy w dniu zaręczyn i kupowania wyprawy myśleli o nim, jakie cechy ciała i duszy mu przekażą? Nie. Dziecko — to lalka, piłka, krokiet, to flirt rodziców... Za co im się wdzięczność należy?

Pokiwał głową.

— Cóż? Rozumie się, że pan się ze mną nie zgadza?

— Owszem... owszem... ale widzi pan... Rodzice — to rodzice, a dziecko — to dziecko. Co tu dużo gadać?

I zdanie to, proste w swej myśli i budowie, podziałało na mnie łagodząco, jak porcja lodów śmietankowych w żarny dzień letni...

Szalałem niemal, widząc wokoło siebie taki rozpaczliwy brak inicjatywy, brak pomysłowości, brak myśli społecznej.

— Rutyna głupia, ślimacza, zakatarzona, zaspana, mdła, duszna, ślepa i głucha! Ruszyć tę masę drzemiącą, rozbudzić raketami górnych myśli, ostrogami bodaj zmusić do porzucenia tego końskiego stępa. Niech to się do pioruna nie rusza tak ociężale, z tymi świstami astmatyka i niezdarstwem tłustej świni, ryjącej się w gnojówce... Błyskawice wieszczych natchnień i gromy pobudki społecznej mają ten skutek zaledwie, że oczy zmuszą do zmrużenia powiek i przerwą jedno szerokie ziewnięcie... I cóż na to poradzić — no mów pan!...

A on potarł czoło i rzekł:

— Panie kochany! Co można — to można, a czego nie można — to nie można. To trudno!

Porwałem kapelusz i uciekłem, i unikałem go przez czas pewien.

Ale ciekaw byłem, jak ten człowiek zapatrauje się na młodzież. Sądziłem, że młodzież go

drażni swą pełnią życia, swym lekkomyślnym bezkrytycyzmem.

Nie! On i tu miał gotową myśl, która zupełnie mu wystarczała, by zrozumieć, określić i rozgrzeszyć:

— Co pan chcesz, panie? Młodość — to jest młodość... Nic pan na to nie poradzi, mój panie.

„Człowiek jest człowiekiem!” — „Wiara — to jest wiara!” — „Życie — to jest tylko życie”.

A w cukierni:

„Uprasza się o niepalenie”. — „Uprasza się o płacenie w kasie”.

Krótkie, treściwe, zrozumiałe...

Widziałem go, gdy konał, otoczony rodziną. Był spokojny:

— Dzieci, pamiętajcie, że obowiązek — to jest obowiązek, i że uczciwość — to jest uczciwość.

Zauważył mnie. Wyciągnął rękę:

— Postaraj się tam pan o emeryturę dla żony, choć coś. Bo pan ma trochę znajomości, no a oni — to tak, jak oni.

Tak brzmiała ostatnia jego skarga na zwierzchników.

— Ależ pan będzie żył — próbowałem go zapewnić.

Machnął ręką.

— E, nie, panie, śmierć — to jest śmierć.  
I umarł.

## MÓJ SEN

I stało się, że nadszedł miesiąc wrzesień.

I stało się, że ubyło dnia godzin dwie i minut czterdzieści.

I stało się, że powrócili mieszkańcy miast do swych zimowych legowisk...

Powrócili mieszkańcy miast, by jak co roku, zdejmować pokrowce, odprawiać i przyjmować służące, zawiązywać, odnawiać i utrzymywać stosunki, umieszczać dzieci w szkołach i trzepać meble.

Powrócili mieszkańcy miast, by kupować materiały na ubrania jesienne, chodzić na koncerty, wprowadzać panny w świat, zalepiać wa-

tą okna na zimę, kształcić dzieci i wyjmować dywany z naftaliny.

Powrócili mieszkańcy miast, by się odwiedzać i obgadywać wzajemnie, czytać modne powieści, łągać na prawo i na lewo, zakładać firanki, czyścić srebro i platerę, pić fałszowane mleko, brać udział w dobroczynnych widowiskach, mówić o mądrych rzeczach, zaprawiać podłogi, oddawać dzieci do szkół i ścierać kurze.

Powrócili mieszkańcy miast, by czynić to wszystko, co czynią od wielu lat i co, ich zdaniem, ma wielki sens...

Wszystko cokolwiek czynimy, o czym myślimy, co się wokoło nas dzieje, albo ma sens, albo nie ma sensu.

Palenie papierosów, noszenie gorsetów<sup>26</sup>, pisywanie fejletonów<sup>27</sup>, zbieranie pocztówek, zakładanie nowych dzienników, wygłaszanie toastów, urządzenie uczt powitalnych i pożegna-

---

<sup>26</sup>*noszenie gorsetów* — w XIX w. w wyższych warstwach społecznych kobiety nosiły gorsety, sznurowane ciasno w talii i ponad nią, aby ich ciała wydawały się węższe w pasie; moda ta była krytykowana jako bardzo szkodliwa dla zdrowia. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>*fejleton* (z fr. *feuilleton*) — dziś popr.: felieton. [przypis edytorski]



nych — wszystko to nie ma sensu, a jednak istnieje.

Czyż wobec tego mój dziwny sen, niezależny od woli i chęci — nie da się usprawiedliwić?

A śniło mi się, że mam syna...

Śniło mi się, że mam syna, który przez całe lato pisał dyktanda ze Smirnowskiego<sup>28</sup>, umie cztery działania, zna rozbiór, dużo prawideł i wyjątków; ma lat dziewięć, sieć niebieskich żyłek na skroniach, bardzo rozwiniętą wyobraźnię — i jest roztrzepany.

Śniło mi się, że idę ulicą, trzymając syna za rękę, i mówię:

— Tylko bądź uważny.

Obok mnie idzie pokornie korepetytor chłopca i mówi:

— Pamiętaj: bądź uważny.

---

<sup>28</sup>dyktanda ze Smirnowskiego — w zaborze rosyjskim w II poł. XIX w. i na początku XX w. nauka w szkołach była prowadzona obowiązkowo po rosyjsku. Tu mowa zapewne o zbiorze dyktand *Курсы систематического диктанта для средних учебных заведений* (1881), którego autorem był Piotr Smirnowski (ros. Пётр Владимирович Смирновский; 1846–1904), filolog, nauczyciel gimnazjalny z Petersburga. [przypis edytorski]

Idziemy obaj, drżąc, potykając się, ślaniając, i mówimy:

— Chłopcze, bój się Boga, bądź uważny.

A on, z tutką<sup>29</sup>, zawierającą bibułę, dwa arkusze papieru w dwie linie, pióro i trzy stalki<sup>30</sup> na zapas — idzie podskakując, i odpowiada:

— Niech się tatuś nie boi... A czy to prawda, że jak pająk ugryzie słońca w trąbę, to słoń się może wściec?

Staję, jakby rażony piorunem:

— Chłopcze, co ty pleciesz? Co ciebie obchodzi słoń, trąba i pająk?... Ty myśl tylko o wyjątkach.

— O wyjątkach, myśl — głucho powtarza korepetytor.

— O wyjątkach, o wyjątkach — powtarzamy razem, nieprzytomni z przerażenia.

---

<sup>29</sup>*tutka* — papier zwinięty w rożek, w ten sposób noszono dawniej różne drobne przedmioty: ciasteczka, owoce itp. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>*stalka a. stalówka* — w czasach, w których powstała ta książka, pisano piórem, przy czym tzw. wieczne pióra były drogie, więc dzieci w szkołach używały zwykle pióra składającego się z podłużnej drewnianej osadki z zamocowaną metalową stalówką, którą maczało się co chwilę w kałamarzu z atramentem. Długopis został wynaleziony w 1938 r., a do powszechnego użytku wszedł znacznie później. [przypis edytorski]

Chłopiec opuścił głowę ku ziemi i milczy.  
Jesteśmy u celu.

Na podwórzu gmachu szkolnego tyłu ojców, matek i chłopców. Brr! jak ja ich wszystkich nienawidzę — tych kandydatów, tych rywali...

Nagle tłum się rozstępuje, kołysząc, i wychodzi człowiek, w którego rękach spoczywa los mego syna.

Zbliżam się do niego i zginam w pół. Chcę mówić, ale głos mi w gardle zastyga. Daje mi znak, bym się wyprostował. Staję i patrzę, że wszyscy wokoło klęczą. Klękam. Cisza.

I nagle słyszę, jak syn mój, wśród niczym niezamąconej ciszy, mówi zupełnie głośno:

— Tatusiu, ten pan podobny jest do Robinsona Kruzoe na obrazku w mojej książce.

Chwyciłem topór i z wściekłością rzuciłem się na malca, ale mnie powstrzymano.

Kto by tam w snach szukał sensu.

— Bądź uważny. Teraz przynajmniej bądź uważny — proszę go — kupię ci wody z sokiem malinowym i zegarek.

— Z jedną kopertą czy z dwiema?

— Z dwiema.

— I łyżwy?

— I łyżwy.

— I chleb świętojański?

— I chleb świętojański...

Zdał.

Posadziłem chłopaka na wieży ratuszowej  
— wozilem go po całym mieście i wołałem:

— Zdał, zdał, zdał!

A ludzie rzucali czapki w górę i całowali  
mnie po rękach.

Kto by tam w snach sensu szukał...

Aż oto dowiedziałem się, że jest dużo kan-  
dydatów.

W ręku miałem długi nóż, a przed sobą —  
setki matek, ojców i ich dzieci. I rzuciłem się  
w tłum, i zacząłem ich zabijać.

I syn mój zwyciężył...

Żona mówiła mi nazajutrz, że krzyczałem  
przez sen, wymachiwałem rękami, a czoło mo-  
je zroszone było chłodnym potem.

Jednakże nie koniec jeszcze.

Synek mój rósł.

Ze zdziwieniem spostrzegłem, że maleje mu korpus, a rośnie głowa.

Zrazu nie zwracałem uwagi na dziwne zjawisko. Myślałem o rzeczach stokroć ważniejszych: chłopiec mój nie wiedział, gdzie jest Etna i w którym roku urodził się Karol Wielki — wówczas nienawidziłem go, wydrapywałem mu oczy, morzyłem głodem. Gdy przynosił upragnioną czwórkę, zmieniałem się w jego czciciela, uległego sługę, niewolnika. Rozporządzał wówczas osobą moją bez zastrzeżeń.

I tak, raz po raz, to byłem katem jego, to ofiarą.

Aż stało się.

Kto by w snach szukał sensu?

Idzie ulicą mój syn. Na cienkich jak patyki nogach, kołysze się wielka głowa — tułowia ani śladu — z policzków wyrastają mu dwie maleńkie rączki, jak niemowlęcia.

Podtrzymuję go, gdyż patykowate nogi nie są w stanie utrzymać w równowadze potwornie wielkiej głowy.

Idę obok niego i gałązką zganiam z jego twarzy gromady much, które ją obsiadły.

A za nami biegną ulicznicy i wołają:

— O, głupi idzie, głupi, głupi!

I przychodzimy do wrót wielkiego gmachu.

Padam na kolana przed możnym człowiekiem i wołam:

— Dajcie mu synekurę, synekurę, synekurę!

— Zajęte wszystkie — odpowiada możny człowiek.

— Synekurę mu dajcie, bo przecież widzicie, że on jest trochę osłabiony przez naukę.

A tam na dole, tłum wyje:

— Głupi, głupi, głupi.

A syn mój płacze.

A ja się budzę.

A czytelnicy niech przeczytają *Nego Daniłowskiego*<sup>31</sup>, albo niech przeczytają, co chcą, albo niech nic nie czytają...

---

<sup>31</sup>*Daniłowski, Gustaw* (1871–1927) — pisarz, działacz niepodległościowy o socjalistycznych przekonaniach. Jego nowela *Nego* porusza temat dziecięcego cierpienia spowodowanego przez niesprawiedliwego nauczyciela i krytykuje szkołę

# POCZCIWOŚCI CZŁOWIEK

Ten także znowu, panie, z pretensją wyjechał...

Osądźcie sami tylko:

Naczelnik naszego biura jest człowiekiem, który, prócz sześciu tysięcy rocznej pensji i pleców — posiada jeszcze... humory. To znaczy: dobry humor, albo zły humor.

Jeżeli jest w dobrym humorze — chwali, jeżeli w złym — gani. Jest to zupełnie zrozumiałe, albowiem sam najmniejszego nie ma pojęcia o rzeczy i ocenić pracy nie potrafi. Czymże się więc ma kierować? A przecież musi chwalić i ganić na przemian: od tego właśnie jest zwierzchnikiem i pobiera pensję.

Więc kieruje się humorem.

No: racja czy nie?

Posłuchajcie tylko dalej:

Przychodzi raz do biura w złym humorze.

Temu nawymyślał, tamtemu nawymyślał — idzie do mnie.

---

jako instytucję. Tytułowe łac. słówko *nego*, *negare* znaczy: zaprzeczać, odmawiać.  
[przypis edytorski]

Ja jestem poczciwości człowiek. Każdy może zaświadczyć. Robię swoje, w drogę nikomu nie wejdę, wody nikomu nie zamączę.

Przychodzi do mnie: zajrzał do jednej książki, do drugiej — i zaczyna, rzecz naturalna, wymyślać:

— Pan nie umiesz pisać — powiada — pan jesteś niedołągą — powiada — pan nic nigdy porządnie nie zrobisz — powiada — pan darmo tylko pensję bierzesz.

— Ależ, panie naczelniku — powiadam.

— Kiedy ja mówię, to pan milcz — powiada. — Pan mi nie przerywaj — powiada. — Pan nie wiesz nawet, jak się względem mnie zachowywać.

I cóż ja miałem robić?

Nawymyślał mi, za przeproszeniem, od durniów, błaznów i nieuków — i poszedł do swego gabinetu na cygaro i gazetę.

Nie powiem, żeby mi podobnie niesprawiedliwa ocena moich kwalifikacji i osoby była miłą. Toć pracuję już nie pierwszy rok, toć nie



jestem pierwszy lepszy chłystek, którym można bezkarnie pomiatać.

Oburzyło mnie to, ale myślę sobie tak:

Co ja tam będę z nim zaczynał? Przyszedł dziś w złym humorze, więc musiał na kimś wyrzeć swą złość. Ja mu się akurat nawinałem, więc się do mnie najbardziej przyczepił. No trudno.

Ja w ogóle jestem z gruntu poczciwości człowiek.

No: racja czy nie?

Ale w naszym biurze, proszę was, pracuje jeden młodzik. Pracuje, to i pracuje. Ja tam nikomu w drogę nie wchodzę, mnie tam nic nie obchodzi, kto pracuje, kto nie pracuje. Dla mnie tam wszyscy mogą choćby na głowie chodzić, byle się znowu do mnie nie wtrącali.

A on, panie, ten gołowąs, wstaje nagle i powiada:

— Panowie, jak wy się zapatrujecie na zachowanie naszego kolegi?

A że on siedzi akurat obok mnie, więc ot tak sobie zapytałem:

— Jakiego kolegi?

Bo myślałem, że on ma na myśli naczelnika, więc zdziwiło mnie to nagłe koleżeństwo.

— Pan się jeszcze pytasz, jakiego kolegi?  
— odpowiada. — Ja właśnie pytam, czy tu się znajdzie kto taki, co panu po tym wszystkim zechce podać rękę.

— A cóż ja takiego zrobiłem? — pytam zdumiony.

Myślałem na razie, że może rzeczywiście powiedziałem coś niestosownego, tak mnie to zniechęca zaskoczyło.

— A cóż ja, u licha, powiedziałem?

— Właśnie to źle, żeś pan nic nie zrobił i nic nie powiedział.

— A cóż ja miałem robić?

— Reagować na zniewagę, na obelgi...

— O, ta... ta... ta... Reagować!... Byłby mnie jeszcze więcej zwymyślał... Przecież chciałem mu odpowiedzieć, to odpowiedział, że się nie umiem zachowywać.

A ten, panie, chłystek, gołowąs, panie:

— Ja do pana nie mówię.

Dopiero jeden wstał i mówi:

— Panu się zdaje, że to tak można. U nas o dymisję nie tak znowu trudno, a o nową posadę za to — to trudno.

— Więc, zdaniem pana, należy sobie pozwolić w gębę pluć?

— Pluć nie pluć, ale jak kto ma żonę i dzieci...

— Tym bardziej, jak kto ma dzieci — powiada młokos.

Słyszane to rzeczy?

— Jak to: tym bardziej? — pyta ten rozsądny kolega. — To dzieci mają potem z głodu zdechnąć?

— A niech zdechną — powiada.

Słowo wam honoru daję — ja jestem sobie poczciwości człowiek i nikomu wody nie zamączę, ale chciałem go zbesztać od ostatnich.

Moje dzieci mają z głodu zdychać? Taki chłystek, co to nie ma pojęcia, czym jest zrodzone z prawego łóża dziecko, taki, panie, smar-kacz, śmie mi mówić, z czego moje dzieci mają zdychać. On mi będzie nauki dawał. Dlatego,

że mi tam ktoś coś przykrego powiedział, to ja mam... kiedy to i gadać nie warto.

— Mój panie — powiadam do niego — pan jeszcze własną pracą dzieci nie karmił.

A on:

— Ale pan je karmisz nie tylko pracą, ale upodleniem. A dzieci, wychowane kosztem upodlenia ojca, wyrosną na szubrawców, i pan sam nawet nie będziesz miał z nich pociechy. Połajdaczą się panu.

No wiecie; zem go za to nie trzasnął w pysk to doprawdy chyba — że jestem poczciwości człowiekiem.

Racja, czy nie?

— Mój panie — mówię — jeżeli mi mój zwierzchnik tam co powie, to chociaż ja mogę się z nim niezupełnie zgadzać, chociaż moje zapatrywania pod niektórymi względami mogą być różne, to ja muszę słuchać — i basta! — bo na to jest, mój panie — zwierzchność — i już! Ale pan nie ma prawa mi ubliżać, bo nie jestem od pana zależny, bo pan jest na to za młody, żeby mi rad udzielać — i już.

I usiadłem na krześle.

Myślicie, że po tej odprawie on dał za wygranę<sup>32</sup>?

— Ja raz jeszcze — powiada — pytam, co panowie myślicie w tej nad wyraz smutnej sprawie przedsięwziąć?

— Mój panie — powiadam — ja tam nie jestem denuncjantem, ale ostrzegam pana, że o tym naczelnik może się dowiedzieć i wylecisz pan z biura.

— A pan myśli, że ja będę pracował w takim biurze, gdzie panują podobnie świńskie stosunki... Ja tu i godziny nie będę dłużej.

— Ach tak, to rozumiem — powiedziałem. — To pan jest pewnie radykał?

— A tak, radykał.

— Trzeba mi to było od razu powiedzieć. I po co ja dopiero z takim zacząłem gadać? No: racja czy nie?

I wyobraźcie sobie państwo, teraz żyjemy ze sobą w najlepsze. Bo ja tam nikomu w drogę

---

<sup>32</sup>dał za wygranę — dziś popr. forma B. lp: dał za wygraną. [przypis edytorski]

nie wchodzę, tylko nie lubię, żeby się kto do mnie wtrącał...

Jedno mi tylko dziwne:

Dlaczego naczelnik, jak jest w złym humorze, to najchętniej ze mną rozmawia, a z nim — to nigdy?

## BEZ TYTUŁU

Cioteczny brat stryjecznej siostry mojego rodzzonego stryja, znając wielkie i niekłamane przymioty mego charakteru, zaasekurował<sup>33</sup> mnie przed laty na rubli tysiąc, mówiąc:

— Niechże ten nicpoń, który straci na pewno wszystkie ośm<sup>34</sup> spadków wszystkich swoich ośmiu bezdzietnych krewnych, niech otrzyma po dojściu lat czterdziestu tysiąc rubli. Jeżeli do tej pory nabierze trochę rozumu, będzie miał parę groszy na wygrzebanie się z błota, w które wlezie, jeżeli pozostanie pijakiem, niech i tę krwawicę moją przepije, ale dopiero w czterdziestym roku życia.

---

<sup>33</sup>zaasekurować (daw.) — ubezpieczyć. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>ośm — dziś popr.: osiem. [przypis edytorski]

Co zrobiłem ze spadkami, to jest osobistą moją sprawą, z której nie mam najmniejszej ochoty publicznie się spowiadać; stanowczo odmawiam wszelkich wyjaśnień w tej kwestii i żądam, żeby mnie o to nie nagabywano ani bezpośrednio, ani pośrednio. Ładna historia sobie, no! Nigdzie chyba ludzie piszący nie są tak natrętnie podpatrywani, jak u nas, a przecież niejednokrotnie już wyjaśniano, że prywatne życie piszącego należy tylko do niego, a tylko dzieła podlegają sądowi ogółu. Więc raz jeszcze powtarzam, że nikt nie ma prawa nie tylko zapytywać mnie, ale nawet czynić domysłów, co zrobiłem z owymi spadkami. Ale przystąpmy do rzeczy:

Przed pięcioma laty tedy ubiegł termin, w którym posiadałem już niekłamane prawo do sumy, na którą zostałem zaasekurowany — skończyłem bowiem lat czterdzieści.

Biorę drżącą ręką polisę i idę po „krwawicę” wyżej wymienionego dobroczyńcy mego.

— Szanowny panie — mówię do urzędnika towarzystwa asekuracyjnego<sup>35</sup>, który niezmiernie grzecznie poprosił, bym zajął miejsce.

— Szanowny panie, pragnąłbym...

— He, he! zapewne synka lub (przyjrzał mi się uważnie) może wnuczka, choć pan tak młodo wygląda, może wnuczka pan życzy sobie zaasekurować?

— Nie, panie, jestem kawalerem, uważa szanowny pan, i jeżeli nawet...

— A, to może (spojrzał na mnie przenikliwie) może posesyjkę od ognia?

— I to nie.

— A więc może...

Chcąc przerwać indagację, wyjąłem polisę i położyłem ją na biurku.

— Chciałem odebrać przypadającą mi sumę.

— Ach, ta... a... a... k. Dobrze, ale uważa pan, my nie wiemy, czy pan żyje?

— Ależ żyję, mogę panu zaręczyć, że żyję.

— Nie, panie, pan może się mylić przecież.

---

<sup>35</sup>*towarzystwo asekuracyjne* — firma ubezpieczeniowa. [przypis edytorski]



Zdębiałem: a może w samej rzeczy? Wahanie swe ukryłem i raz jeszcze zapewniłem urzędnika, że żyję, że jestem tego pewien, że fakt ten najmniejszej nie ulega wątpliwości.

— Ależ panie, raz jeszcze powtarzam, że pan może mię mylić. Pan mógł już dawno umrzeć, a pan właśnie może być zupełnie ktoś inny.

— A jakże ja się przekonam? — zawołałem zgnębiony.

— Otóż to właśnie; zaraz panu wyjaśnię: pójdzie pan do rządcy i weźmie pan od niego piśmienne poręczenie, które należy zaopatrzyć w markę<sup>36</sup> i dać do poświadczenia w cyrku-  
le<sup>37</sup>. Następnie napisze pan podanie w formie prośby o wypłatę pomienionej sumy; podanie to zechce szanowny pan zaopatrzyć w mareczkę i podpis stwierdzić u rejenta<sup>38</sup>, następnie przyjdzie pan do nas po informacje co do dalszych kroków.

---

<sup>36</sup>*marka* (tu daw.) — znaczek skarbowy (w innych kontekstach także znaczek pocztowy). [przypis edytorski]

<sup>37</sup>*cyrkuł* (daw.; z łac. *circulum*: koło, okrąg) — komisariat policji (w zaborze rosyjskim; w innym znaczeniu także: administracyjna jednostka terytorialna, odpowiednik powiatu). [przypis edytorski]

<sup>38</sup>*rejent* (daw.) — notariusz. [przypis edytorski]

Możecie sobie wyobrazić, jak spędziłem noc, w jakiej piekielnej niepewności, w jakim strachu szalonym: a nuż dowiem się, że umarłem, że ja nie jestem ja, tylko ktoś inny, który się za mnie podstawił. Tonąłem we łzach i w pocie chłodnym. Oczekiwałem rana z zamartwym sercem, oka zmrużyć nie mogłem. Postanowiłem zapisać część tej sumy na cele dobroczynne, byle przekonać się, że żyję. Kilka razy przebiegała mi przez głowę myśl: „a może darować im tę sumę, i nie wywoływać wilka z lasu”. Ale ciekawość ma też swoje prawa.

O świcie dzwoniłem do mieszkania rządcy.

— Panie, błagam pana, daj mi pan świadectwo, że ja nie umarłem, że zamiast mnie nie żyje ktoś inny.

Wiele chwil długich, jak wieczność, minęło, nim zdołałem przekonać zacnego człowieka, że żyję: z początku stanowczo odmówił dania mi świadectwa, potem dopiero udobruchał się i wręczył mi cenny papier.

W dwa dni później uśmiechnięty, rozwiośniony, przestępowałem próg biura towarzystwa asekuracyjnego.

Urzędnik przejrzał papiery, pokręcił głową, uśmiechnął się smutnie i szepnął:

— Tak, panie, mamy już dowód, żeś pan nie umarł, ale musimy mieć dowód, żeś pan się urodził.

Stałem jak piorunem rażony.

— Jak to? więc istnieje wątpliwość? więc może okłamywano mnie tylko, i ja żyłem w tej sieci kłamstw i szalbierstwa? O! nikczemności ludzka! — wołałem.

— Ależ uspokój się pan, może pan się urodził, może to prawda, my tylko dowodu na to nie mamy.

Odetchnąłem.

— A jakież dowód?

— Metryka i książeczka legitymacyjna.

— Ano tak, prawda.

Znów noc całą straciłem. Dziś zupełnie otwarcie wyznać już mogę, że obawiałem się nie na żarty. Wprawdzie słyszałem coś o tym, że mam

tam gdzieś metrykę, ale nuż w ostatniej chwili przekonam się, że mnie łudzono tylko?

Po wielu kosztownych próbach i wycieczkach, otrzymałem tyle upragniony dowód, że się urodziłem.

Wręczyłem dowód ów urzędnikowi towarzystwa asekuracyjnego z miną, która mówiła: „I cóż? aha?”.

Stałem wyprostowany w oczekiwaniu nowego ciosu. Nie dał czekać na siebie zbyt długo.

— Tak, panie, teraz najmniejszej już nie ulega wątpliwości, że osoba, wymieniona w polisie, urodziła się i żyje, ale jakież my mamy dowód, że tą osobą jest pan?

Wyjąłem bilet wizytowy, dwa kwity lombardowe, brzmiące na moje nazwisko, trzy listy, adresowane do mnie, chustkę od nosa z monogramem, dodając przy tym, że pozwalam sprawdzić i inne części mojej garderoby, opatrzone takimże monogramem.

Urzędnik drwiąco patrzył na mnie:

— Nie, panie, my na podobne dowody nie możemy wypłacać pieniędzy. Bilet wizytowy, monogramy i listy, można bardzo łatwo sfabrykować za parę rubli.

Oburzyłem się.

— Panie — rzekłem — torturujesz mnie pan od tygodnia, a dziś robisz mnie pan oszustem, kalasz pan latorośl znakomitego rodu. Tego już za wiele, postępujesz pan niegodnie.

Wysłuchał przemowy mojej cierpliwie.

— Tak — rzekł — rozumiem gniew pański i współczuję z panem, ale ja wymagam to tylko, czego ode mnie żąda moja zwierzchność.

— Jakże ja panu dowiodę, że ja — to jestem ja?

— Drobnostka: uzyska pan podpis sześciu obywateli miejskich i czterech ziemskich.

— Skąd ja ich wezmę?

— Nie wiem, postaraj się pan. To już ostatnia formalność. Suma natychmiast zostanie panu przez kasjera wypłaconą. A przy wypłacie da pan tylko pokwitowanie, poświadczone przez rejenta, i koniec.

Ze zdwojoną energią wziąłem się do pracy... Objechałem pół Królestwa, całą Warszawę, ale w trzy tygodnie niespełna, wydawszy na jazdy około stu rubli, posiadałem żądaną liczbę podpisów.

— Ślicznie — zawołał urzędnik, przeglądając akta mej sprawy (około trzech liber papieru) — teraz pan zechce przedstawić nam poświadczone przez rejenta dowody, że tych dziesięciu obywateli — jest w rzeczy samej obywatelami, że się urodzili i że nie umarli jeszcze.

— Ależ panie, to niemożliwe! — zawołałem z rozpaczą, graniczącą z obłędem.

— No tak, przyznaję, że to jest dość przykre, ale niechże pan sam przyzna, że towarzystwo nie może ufać podpisom ludzi, których nigdy nie widziało, o których istnieniu nic nie wie. No, racz pan przyznać.

— Ano tak, ma pan słuszność, ale bądź co bądź...

Rzuciłem posadę, którą miałem, aby móc oddać się niepodzielnie sprawie tak ważnej i wy-

magającej tak wiele czasu i zabiegów. Szło mi to teraz łatwiej, dzięki doświadczeniu.

W cztery miesiące miałem już żądane dowody, które dwoma wozami frachtowymi<sup>39</sup> sprowadziłem do towarzystwa. Bo trzeba wiedzieć, że urządziłem się nad wszelki wyraz dowcipnie, uzyskując dowody tych, którzy potwierdzali podpisy, a znów wszelkie legitymacje tych, których podpisy znajdowały się na dowodzie złożonym przeze mnie, potwierdzone były przez osoby, których papiery także na wszelki wypadek zgromadziłem.

Miałem jeszcze trochę kłopotu z papierami mego dobroczyńcy, musiałem złożyć akt urodzenia i zejścia, kopię testamentu, dowody o bezdzietności wszystkich moich spadkobierców, dowód, że sam nie mam ani dzieci, ani wnuków, ani prawnuków. Ale to jest już drobiazgiem: łatwiej dowieść, że ktoś nie istnieje wcale, niż że urodził się, nie umarł i że on jest właśnie ten sam.

---

<sup>39</sup>wóz frachtowy — duży wóz ciężarowy, do przewożenia większych ładunków; *fracht* (z niem.) — ładunek. [przypis edytorski]

Bądź co bądź, za miesiąc suma moja ma mi być wypłacona. Otóż, bogaty w doświadczenie, wybrałem sobie, jako sposób zarobkowania na przyszłość, przeprowadzanie formalności wstępnych przy odbiorze sum od towarzystw asekuracyjnych.

## KELNER JEST CZŁOWIEKIEM

Kelner jest człowiekiem!

Ano trudno: napisało się. Trzeba jechać dalej...

Otóż wyobraźcie sobie, że od lat ośmiu jadam obiady w pewnej restauracji, że zasiadam zawsze przy tym samym „moim” stoliku, i że posługuje mi ten sam kelner.

Jak do tej chwili wszystko w porządku.

Wyobraźcie sobie dalej, że przez te ośm<sup>40</sup> lat niejednokrotnie wymyślałem owemu kelnerowi za rozmaite jego przewinienia.

Pieczeń była twarda:

— Dureń jesteś!

Nie było gazety, gdzieś się zapodziała:

---

<sup>40</sup>ośm — dziś popr.: osiem. [przypis edytorski]



— Nie masz pojęcia o służbie!

Zabrakło wykałaczek, albo wydano z kuchni rosół na brudnym talerzu:

— W chlewie tobie usługiwać, a nie być kelnerem.

Nawymyślał mi mój zwierzchnik:

— Albo gospodarz wyrzuci cię na cztery wiatry, albo przeniosę się do innej jadłodajni, bałwanie!

Kelner zwykle nic nie odpowiadał; rzadziej bąknął coś pod nosem, co zapewne było z jego strony protestem przeciw moim uroszczeniom lub usprawiedliwieniem.

A teraz wyobraźcie sobie, że przed tygodniem kelner ów podał mi czarną kawę bez cukru.

— A cukier? — pytam z oburzeniem.

— Ach, zapomniałem — odparł spieszenie.

— Ale napiwka<sup>41</sup> nie zapomnisz wziąć, co?

Po chwili zjawiała się cukiernica.

— Przepraszam pana — powiedział kelner.

— Jak to, przepraszasz?

---

<sup>41</sup>napiwka — dziś popr. forma D. lp: napiwku. [przypis edytorski]

— Ja pana przepraszam, że zapomniałem podać cukier do kawy.

W pierwszej chwili myślałem, że drwi ze mnie.

— Zbogaciłeś<sup>42</sup> się już? Może dom sobie kupujesz?

Spojrzałem na niego ostro.

Patrzę: on jest mężczyzną lat około trzydziestu, z siwiejącymi na skroni włosami; ma nos, oczy, uszy. Właściwie co w tym dziwnego? No nic. Choć na razie zdziwiło mnie, że kelner ma coś więcej nad dwie ręce do podawania obiadu i brania zapłaty i napiwka. Co jednak dziwniejsze: zauważyłem, że kelner ma smutny wyraz twarzy.

— Nie wyspałeś się, czy jesteś pijany? — zapytałem pojednawczo.

— Nie, panie, żona mi chora.<sup>43</sup>

— Jak to — żona?

---

<sup>42</sup>zbogacić się — dziś: wzbogacić się. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>żona mi chora — dziś popr.: moja żona jest chora lub pot.: żona mi choruje. Dawniej pod oznajmieniem, że kobieta jest chora (lub: słaba), mogła się kryć informacja o tym, że rodzi dziecko, jako że mówienie wprost o porodzie było uważane za nieprzyzwoite. [przypis edytorski]

— Moja żona, proszę pana, jest chora.

— To ty masz żonę?

— Tak, proszę pana — i dwoje dzieci, a to właśnie teraz, to trzecie.

Patrzcie państwo: kelner ma nie tylko nos, oczy, uszy, ale i żonę. No, że ma uszy, to jeszcze nic dziwnego: żeby słyszał, gdy na niego dzwonią. Że ma tam nos i oczy, to jeszcze można się z tym pogodzić. Ale po co kelnerowi, u licha, żona i dzieci, i jak to się do niego wzięło<sup>44</sup>?

Postanowiłem rzecz wyświecić.

— Więc powiadasz, że masz żonę i dzieci? No i jakże to ty masz tę żonę?

— Ha, zakochał się człowiek, ożenił, i ot — pan przecież wie, jak to jest?...

— Wiem; no wiem. Juści, że wiem, ale... I zakochałeś się, powiadasz?

— Et, co tam o tym gadać.

— Ale zaczekajże. To mnie zaciekawilo... I cóżeś ty jej powiedział, jakeś się zakochał?

Zawołano go.

---

<sup>44</sup>jak to się do niego wzięło — dziś popr.: skąd to się u niego wzięło. [przypis edytorski]

— Ale słuchaj no, przyjdź tu potem.

Patrzę... patrzę. Oczy szeroko otworzyłem.  
Ten sam kelner i basta.

— Słuchaj no, mój kochany — badam go dalej — a jak ty dawno po ślubie?

— Dziewięć lat.

— Aha... No, i powiadasz, że masz dzieci?

— A mam. Chłopak ma już sześć lat, dziewczyna cztery, no, i to, co będzie. A troje umarło.

— Aha... Więc troje umarło. No, a te, co żyją, to pewnie są kelnerami — co?

— Skąd znowu? Najprzód, że są jeszcze małe. A po drugie, to już wolę, żeby były, czym chcą, tylko nie w tym obowiązku.

— Jak to, „w tym obowiązku”? A czymże mają być?

— Albo ja wiem? Chłopak chętny do nauki.

— Do nauki — powiadasz?

— A tak. Już dobrze składa litery. Dobrego ma nauczyciela.

— Twój chłopak ma nauczyciela? Co też ty mówisz?

— Cztery złote groszy dwadzieścia na miesiąc mnie kosztuje.

Łyzeczka wysunęła mi się z ręki i z brzękiem padła na marmurowy blat stołu.

— Poczekaj no... Co to ja jeszcze chciałem spytać?... Aha... No, a jak na ciebie dzieci wołają?

— No, jak mają wołać? Wołają: ojciec, tata.

— Mój kochany, powiedz mi tak parę zdań. Jak na przykład — chcą czego, to jak mówią?

— Rozmaicie: „niech tata kupi”, albo: „proszę ojca”, albo „mój tatusiu”.

„Kelner! Płacić, do stu diabłów! Ogłuchłeś?”

Znów go odwołano.

Byłem tak zdumiony zrobionym świeżo odkryciem, że mi się nawet cała ta historia nie wydawała na razie śmieszną. I już wtedy błysnęła w mym mózgu myśl, że kelner bądź co bądź jest człowiekiem. Ale nie odważyłbym się

za nic w świecie zwierzyć komukolwiek z tym dziwacznym urojeniem...

Nazajutrz zapytałem, jak się ma żona. Żona ma się lepiej. Dziecko jest chłopcem. On całą noc siedział przy żonie. Teraz przy żonie jest jego matka. Nowe odkrycie: kelner ma matkę. Jeszcze nie koniec. Matka mówi do niego: „synu”, albo „synku”. Dalej: kelner ma bliższych i dalszych krewnych, ma znajomych i przyjaciół.

W dalszym ciągu dowiedziałem się, że on uważa, iż niektórzy goście są ludźmi źle wychowanymi; że wolałby się nieraz i wyrzec napiewka, byle mu nie ubliżano; że czasem ogarnia go takie zniechęcenie (*sic*<sup>45</sup>), iż rzuciłby chętnie wszystko do diabła, ale nie może, bo ma dzieci; że on czytał *Ogniem i mieczem* samego Sienkiewicza i całe noce nie spał i do niczego był niezdolny, tak miał głowę nabitą tymi przygodami; że on uważa, iż prasa za mało zajmuje się wielu sprawami, a za wiele innymi znowu sprawami; że on bardzo potępia Luizę, że rzuciła

---

<sup>45</sup>*sic* (łac.) — tak; tak właśnie. [przypis edytorski]

dzieci dla jakiegoś fircyka; że on by nie przebaczył nigdy żonie, gdyby był jej mężem; że jemu często przykro podawać różne przysmaki, bo zna tajemnice zakulisowe jadłodajni swego pryncypała; że między kelnerami są intrygi; że u nas jest wielka ciemnota i dlatego jest tak źle; że gdyby on miał jakiś kapitalik, toby sobie kupił magle i żyłby sobie spokojnie.

Dowiedziawszy się tylu rzeczy w ciągu trzech dni, zacząłem wyprowadzać wnioski z nagromadzonego materiału.

Przede wszystkim począłem rozumować tak.

Że kelner może mieć żonę, dzieci, lub jedno i drugie razem — o tym wiedziałem i dawniej, tylko jakoś mi to na myśl nie przychodziło. Że kelner ma matkę, ojca, może mieć braci i siostry, a więc krewnych w ogóle, to można sobie było wykombinować *a priori*<sup>46</sup>. Że kelner umie czytać, łatwo odgadnąć, gdyż podaje żądane gazety, pisze rachunki na obrusie itd. — *eo ipso*<sup>47</sup>, mógł czytać też *Ogniem i mieczem*

---

<sup>46</sup>*a priori* (łac.: z góry, z założenia) — tu: bez dalszych badań, przez wnioskowanie z tego, co się już wie. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>*eo ipso* (łac.) — tym samym. [przypis edytorski]

i mógł się tym dziełem zachwycić. Że ma on swój pogląd na ludzi, których widuje, i wypadki bieżące, to również stało się jasnym. Że może kelner być obdarzony inteligencją, łatwo przypuścić, jeśli się zwróci ku życiorysom sławnych ludzi, między którymi wielu pochodziło nie z adwokatów, złotej młodzieży, kancelistów itp. inteligencji. Że kelner może kochać żonę i dzieci, a nawet być smutnym, gdy żona mu choruje, umiera dziecko, wiemy z powieści, nowelek i wierszy, a z drobnych wiadomości w pismach wiemy, że nie tylko lekarze, inżynierowie, aptekarze, reporterzy, dentyści lub handlowcy umieją kochać lub nienawidzić<sup>48</sup>.

Wobec tego, kelner, jako posiadający fizyczne, zewnętrzne rysy i duchową powierzchowność ludzką — jest człowiekiem; co jeśli nie zostanie obalone w polemice — winno wpłynąć — by w restauracjach i cukierniach, obok tablic z napisem: „nie pluć na podłogę” lub „uprasza się o zdejmowanie kapelu-

---

<sup>48</sup>*nienawidzić* (daw.) — dziś popr.: *nienawidzić*. [przypis edytorski]



szy” — umieszczono tablicę: „kelner jest człowiekiem”.

Jest to jednak krok dość ryzykowny. Bo diabeł nie śpi. A nużby w dalszym ciągu się okazało, że człowiekiem jest również posłaniec, dorożkarz, parobek, stróż, służąca, szwaczka, szansonistka itd.?... Musiałoby się to wpłynąć fatalnie na bieg stosunków towarzyskich...

Nie moją rzeczą rozwiązywać tak zawiłą sprawę. Dość przeżyłem wstrząśnień, nim sam zacząłem mówić mojemu kelnerowi: „dzień dobry, proszę pana, dziękuję, do widzenia się z panem<sup>49</sup>”. Wiele mnie to kosztowało sił i zdrowia: toż przyzwyczajenie jest drugą naturą człowieka, jak mówią.

## OŚWIATA

Powiedziałem synowi:

— Oświata, moje dziecko, jest człowiekowi potrzebna.

Powiedziałem córce:

---

<sup>49</sup>*do widzenia się z panem* — dziś: do widzenia panu. [przypis edytorski]

— Oświata, moje dziecko, jest kobiecie także potrzebna.

Powiedziałem obojgu:

— Dzieci, uczcie się!

I ogłosiłem:

„Potrzebna nauczycielka do początków skromnych wymagań. Tamże pokój z samowarem dla spokojnej osoby albo moralnego mężczyzny”.

Przyszła nauczycielka.

— Skromnych wymagań?

— Tak.

— Do początków?

— Tak.

— Ile?

— Dziesięć.

— Sześć.

— Mało: osiem.

— Dużo: siedem?

— Dobrze. Od kiedy?

— Od jutra.

I dzieci moje zaczęły się uczyć...

Pierwszy miesiąc: nie zmądrzały jeszcze.

Drugi miesiąc: uciekają od książek.

Trzeci miesiąc: biorą baty.

Czwarty miesiąc: straciły apetyt.

Piąty miesiąc: blade, oczy napuchnięte od płaczu, zgłupiały do cna.

Pięć razy po siedem rubli równa się trzydzieści pięć rubli...

— Pozwoli pani, że będę siedział przy lekcji i posłucham, czego to pani uczy?...

— Bardzo proszę.

Siadam. Słucham.

— Dzieci, weźcie kajety<sup>50</sup>. Napiszemy dyktando.

Dzieci biorą kajety i piszą dyktando.

— Zaczynam:

„Babka patrzy przez lupkę na mapkę. Bąk się zląkł i uciekł z łąk. Dziecko się maże, że ojciec każe, aby aptekarze nie byli w barze. Kózka podarła Józce bluzkę. Handel herbatą i haftkami narobił na huśtawce hałasu. Nie wierz, że zwierz mógł spaść z wież. Napij się wódki, mój ty krótki, i siądź do łódki. On wsadził lufkę w mufkę i powiedział mówkę. Powstał krzyk,

---

<sup>50</sup>kajet (daw., z fr. *cahier*) — zeszyt. [przypis edytorski]

bo dzieci żądały fig. Kto idzie przez dróżkę, spotka stróżkę i złamie nóżkę”.

— Dosyć. Dlaczego: babka?

— Baba.

— Dlaczego: bąk?

— Bąka.

— Dlaczego: maże?

— Nie wiem.

— Jesteś osioł, dureń, idiota, błazen, nieuk: bo mazać. Dlaczego: kózka?

— Koza.

— Dlaczego wódka?

— Nie wiem.

— Bo: woda.

— A przecież wodą nie można się upić.

— To wszystko jedno. Odmieniaj: babka.

— Babka, babki, babce, babka.

— Znowu nie uważasz, ośle, durniu, idioto, błażnie, nieuku. Kogo widzę?

— Nie wiem.

— Jak to nie wiesz?

— Ja panią widzę.

Uderzenie pięścią w stół.

— Kogo widzę? Babkę widzę. Od początku.

— Babka, babki, babce, bab...

Łzy.

— Czego beczysz?

— Bo się boję.

— Mazgaj jesteś: babkę, babką, o babce. Nie chce ci się uczyć: babki, babek, babkom.

— Wyrośniesz na ostatniego osła: babki, babkami. — Świat cię otoczy pogardą: o babkach.

Łzy.

— Powiedzcie mi teraz, co to jest — kózka?

— Zwierzę, proszę pani.

— Kretyn jesteś: nic nie umiesz. A ty co powiesz: co to jest — kózka?

— Ptak, proszę pani.

— Oślica jesteś. Kózka to jest rzeczownik.

— A co to jest rzeczownik?

— Część mowy.

— Dobrze. Nareszcie wam to zdołałam wbić w łby, ośle głowy. Schowajcie kajety. Teraz arytmetyka.

Łzy.

— Już beczycie? — Pewien ojciec miał sześciu synów. Razem ci synowie mieli 315 lat. Drugi syn był dwa razy starszy od pierwszego, trzeci — dwa razy starszy od drugiego, czwarty — dwa razy starszy od trzeciego itd. Ile każdy z synów miał lat? Takie zadania często bywają na egzaminach. Noo?

Przytłaczające milczenie.

— No, ile części miał pierwszy syn? Prędzej.

— Części mowy, proszę pani.

— Osioł jesteś. Nic nie umiesz. No, a ty?

— Rzeczownik, proszę pani.

— Oślica jesteś. Pierwszy syn miał jedną część lat. Napiszcie jedynekę. Czego wytrzeszczacie oczy? Nie umiecie jedyнки napisać?

Łzy, łzy, łzy!

— A drugi syn miał dwa razy więcej lat. Więc ile drugi syn miał części?

— Trzy.

— Źle. No, a ty co powiesz?

— Dwie, proszę pani.

— Dobrze. Co to się stało? Co ja widzę?

— Babkę, proszę pani.

— Zamiast pleść głupstwa, tobyś lepiej nic nie mówiła. Piszcie: dwie części. No, dwójkę napiszcie. A dalej cztery, pięć, osiem, szesnaście i trzydzieści dwa. Teraz trzeba dodać, rozdzielić — i wypadnie, że pierwszy syn miał pięć lat, a najstarszy — sto sześćdziesiąt.

— To można tak długo żyć, proszę pani?

— Do głupich pytań, to ty jesteś jedyny, ale do nauki, to ani w ząb. Ja wzięłam tak tylko dla przykładu. Ile jest dwanaście razy dwanaście?

— Trzysta.

— Źle.

— Bo ja to wzięłam tylko dla przykładu.

— Będziesz sobie żarty ze mnie stroił, smarkaczu? Przepiszesz za karę na jutro cztery stro-  
nice z książki, No, a ty co powiesz?

— Jaaa?

— Tak: ty. Ile jest dwanaście razy dwanaście?

— Cztery.

— A dwa razy dwa?

— Także cztery.

— Bardzo dobrze. Za karę zrobisz na jutro mnożenie: dziewięćdziesiąt dziewięć tysięcy dziewięćdziesiąt dziewięć przez 99, 999, 999.

Nauczycielka wstaje. Dzieci popłakują.

— Widzi pan, co to się trzeba namęczyć, nagadać? Aż w gardle zasycha.

— A tak: babka, babki. Ale wie pani: babce, kogo widzę? babkę... że ta nauka: babką, o babce... to mi dzieci: babki babek... do grobu wpędzi: babkom, babkami, o babkach.

— A panu się zdaje, że nauka, to co? Ja uczę tak, jak trzeba. Pan sądzi, że ja — to co?

— Chyba rzeczownik, proszę pani.

Trzasnęła drzwiami i wyszła.

A ja powiedziałem dzieciom:

— Jeżeli mi się które z was waży wziąć książkę do ręki, to mu kości połamię.



Bo ja to tak, jak prosty człowiek, ale rozum mam i zdrowe zmysły chyba także.

## MIASTO METAGŁUPIN

Jak sama ekscentryczna nazwa wskazuje, miasto Metagłupin znajduje się w Ameryce, miasto wielkie, ludne, wesołe i głupie.

Miasto owo znajduje się nad rzeką, ale nie nad Wisłą.

Rzeka owa płynie od gór wysokich do morza, a nie odwrotnie, a miasto jest wielkie, ludne i głupie.

Metagłupin, jak każde miasto wielkie i ludne, posiada mieszkańców. Metagłupin posiada mieszkańców wielkich i małych, znanych i nieznanym, zarozumiałym — i takich nawet, którym się zdaje, że Metagłupin nie jest głupim miastem, że Metagłupin, przeciwnie, jest mądrym miastem, że Metagłupin w ogóle jest miastem, które miastem zwać wolno, wypada, należy.

Bo, proszę was, miasto nie tylko tym się różni od pęcherza, że pęcherz jest nadęty, a miasto nie, że pęcherz pływa po morzu czy po rynsztoku i wszystko mu jedno, a miasto nie, że pęcherz wisi na sznurku, a miasto — nie, że pęcherz nie ma Filharmonii i można go napełnić grochem i kotu przywiązać do ogona, ale i tym jeszcze miasto różni się od pęcherza, że ma ono swoje obowiązki kulturalne, które winno wypełniać i wypełnia, że wytwarza opinię, ma ono swoje zdanie w sprawach ogólnych i lokalnych, zdanie, które ma wartość, z którym się liczą.

Bo, proszę was, miasto, które tylko jest nadęte — no, to doprawdy — tylko Metagłupin.

Żal mi was wszystkich, którzy owego miasta — pęcherza nie znacie.

Jak ono stara się, jak zabiega, jak nos zadziera, na szcudła się drapie<sup>51</sup>, jak czyni wszystko, by tylko w świecie wiedziano, że jest na świecie Metagłupin, który ma cyrk, operetkę i reporterów, że jest Metagłupin, który wie, co

---

<sup>51</sup>*drapać się* — tu: wdrapywać się. [przypis edytorski]

nauka, i wie, co sztuka, i wie, co cywilizacja, i wie, co sprawy społeczne.

Uważacie...

I Metagłupin sprowadza: wysortowanych tenorów, zleżałych kapelmistrzów, używane kliksze do pism obrazkowych, wyszłe z mody hasła dobroczynne, wyblakłe towary łokciowe z wystaw magazynów paryskich, i płaci hojnie, po pańsku, jak na Metagłupin przystało, i cieszy się, i pieści, i klepie po brzuchu, i oblizuje, patrząc na plombę z dziurką i szepcze w upojeniu: „zagraniczne, prawdziwe zagraniczne”, i nawet na guzikach i pantoflach własnego wyrobu kładzie napis magiczny: „Paris” lub „Parie”<sup>52</sup>...

Metagłupin chce, on szczerze chce, tylko biedactwo nie wie i nie umie, albo jeszcze gorzej nawet: źle wie i zdaje mu się, że umie.

I proszę was, ot co się dzieje.

Metagłupin wie, że każde miasto wielkie musi mieć wielkich ludzi. Cóż robi Metagłupin? A no, robi tak: zaczyna szukać. Szuka,

---

<sup>52</sup>„Paris” lub „Parie” — gra słów: po francusku nazwa Paryża brzmi tak samo, jak liczba mnoga wyrazu oznaczającego zakładanie się, a *je parie* można przetłumaczyć jako 'zakładam się, obstawiam'. [przypis edytorski]

szuka, szuka, szuka nasamprzód wśród hrabiów, potem o pół centymetra społecznego niżej, jeszcze o pół niżej, a wreszcie już ma. Chwyta go za frak i woła:

— Jesteś wielki.

Zdziwiony początkowo łup, albo zdumiony, albo nawet przerażony, w pierwszej chwili wyrywa się, szamocze, prosi, zaklina, kryje. Nic nie pomaga.

— Jesteś wielki i basta. Musisz być wielki i koniec.

I łup często niewinnie wcale staje się wielki, i już mu inaczej nie pozwolą. I on uwierzy i to tak mocno uwierzy, że potem się gniewa i nawet mocno gniewa, gdy mu ktoś powie, że to tylko na żarty, że tak trzeba dla dobra tłumu, że z nimi on może być szczery, że nie powinien zbyt serio traktować swojej wielkości, że to tylko przecież do czasu.

W ten mniej więcej sposób Metagłupin stworzył sobie wielkich muzyków, finansistów, publicystów, mecenasów sztuki, i w ogóle, higie-

nistów, filantropów, powieściopisarzy i tak bez końca.

I cóż dalej?

Potem, proszę was, stała się rzecz straszna i zgoła nieoczekiwana. Oto wszyscy wielcy zwąchali się między sobą, porozumieli, związali umową, orzekającą:

— My, niżej podpisani, obowiązuje się popierać wzajemnie sławą, wpływami, pieniędzmi i szwindlami, aby nie dopuścić nikogo, kto mógłby nam być niemiły, szkodzić nam, być prawdziwie utalentowanym, niezależnym lub uczonym. Nie tylko popierać go nie będziemy, ale starać się będziemy wszelkimi niekaranymi kryminalnie środkami, by szkodzić mu skrycie, lub jawnie, przemilczać lub szykanować, wypisywać z naszych towarzystw, stowarzyszeń lub instytucji, nie pozwalać zabierać głosu na zebraniach lub w prasie, nie dopuszczać do żadnej pracy dochodowej, tym bardziej synekur, gnębić moralnie i materialnie. Każdy nowy kandydat na wielkiego musi się zobowiązać pod groźą najstraszniejszych, najbardziej wyrafino-

wanych kar, niekaranych kryminalnie, że będzie szedł z nami ręka w rękę, że będzie się zginał przed nami w pas przynajmniej, a im niżej, tym lepiej. Kandydatem na wielkiego może być człowiek, umysłowo i moralnie gorzej niż my od Wszechmądrej Natury obdarzony.

Powiadam: umowa ta była straszną klęską, ale dla kogo? Nie dla mieszkańców Metagłupina, bo oni czytali i wierzyli prasie, pozostającej na usługach tymczasowych wielkich. I nie dla tymczasowych wielkich i ich kandydatów licznych, i nie dla prasy. Umowa ta była na razie straszną dla owych rzeczywistych wielkich, którzy nawet w Metagłupinie, nawet w okresie sprawowania urzędów przez tymczasowych wielkich, zaczęli się karygodnie ukazywać, rozumie się nielicznie, pojedynczo, na ochotnika.

Zrazu wszystko szło dobrze. Prawdziwi albo umierali szybko z głodu, albo w szpitalach dla obłąkanych, albo sami niszczyli swe dzieła, albo uczyli się powoli zginać do pasa. Metagłupin pęczniał z zadowolenia, bo jemu wszystko jedno przecież było, czy ma prawdziwych, czy

tylko na żarty wielkich, byle mieć prawo nazywać się miastem, z Filharmonią, zdezelowanymi, ale z zagranicy, tenorami, bez biblioteki publicznej, zgoła zbytecznej, z kawiarniami na wzór wiedeńskich i... wielkimi.

Dziś Metagłupin przeżywa okres pierwszego dreszczu niepokoju. Jeszcze niby nic się nie zmieniło, jeszcze Metagłupin jest jeszcze Metagłupinem, jak dawniej. Jeszcze żartem, wypadkiem, koligacjami, lub gumowym grzbietem, wielcy — dzierżą w swoich dłoniach zakatarzoną, astmatyczną, rozwolnioną lub chrapającą przez sen uliczną Opinię i duży połec prasę metagłupińską. Jeszcze, powiadam, pozornie wszystko w porządku, ale czujne ucho rozpoznaje już zgrzyty, chwytą przykre pomruki, coś, panie tego... tam do licha... co to będzie?

Szczególniej w sztuce... tam do licha... Jacyś malarze, których zdusić nie można... Jacyś publicyści, pisarze... Tam do licha... co to będzie?...

Coraz trudniej... Trzeba się już chwytac albo kompromisów, albo... paszkwilu... Jedno

i drugie dość przykre... Szczęście, że w nauce jakoś cicho, chociaż i tu nawet...! Dobrze, że w firmach... Nie: nawet i tu... Dobrze, że w muzyce... Tfu! I tu znów... Wszędzie... wszędzie!...

Gore, goreee?... Ile tam Metagłupin ma oddziałów straży ogniowej?... Wszystkie — jazda!... Goreeeee!...

## OSTATNI WIECZÓR

Ja proszę was, ja owszem — ja przecież chciałem, gorąco chciałem; ale kiedy nie umiałem, nie mogłem, a przede wszystkim nie wiedziałem, jak...

Bo pomyślcie tylko: kufry spakowane, jutro żona wyjeżdża, na całe lato, na długie dwa miesiące — więc przecież powinno się, należy, trzeba. Tak każe obowiązek, sama bodaj przyzwoitość. I rozumiałem to, rozumiałem dokładnie, ale nie mogłem, bo przede wszystkim nie wiedziałem, jak zacząć.

Śmieszne, a prawdziwe i smutne.



Gdybym zaczął, toby już poszło jakoś dalej — ale nie wiedziałem, jak zacząć.

I ona, proszę was, także — i ona chciała — i ona rozumiała, że tak być powinno — i ona nie wiedziała, jak zacząć.

A przecież zdawać by się mogło, że nie ma nic łatwiejszego pod słońcem, że to proste, tak jasne, tak niezłożone...

Dzieci już spały.

Siedzieliśmy przy stole. Lampa wisiała na suficie, i w lampie paliła się nafta. Stół do połowy tylko nakryty był obrusem.

I powiedziałem:

— Aniołku.

Powiedziałem: „aniołku” — i nie wiedziałem, co dalej.

A ona spojrzała na mnie i zapytała:

— Co, kotku?

Odparłem więc:

— Może przejedziemy się tramwajem?

Żona moja odrzekła:

— Owszem.

I wstaliśmy.

Byłem zadowolony. Tak będzie lepiej. Pojedziemy w Aleje, usiądziemy na ławce — może tam jakoś prędeej... Czułem, że i ona chętnie się zgodziła, że i ona liczy, że tam może, pod tchnieniem ciepłego letniego wietrzyka, ukołysanym szelestem stuletnich drzew, że tam jakoś nam prędeej się uda.

Pojechaliśmy w Aleje i usiedliśmy na ławce.

I milczeliśmy.

— Śliczny wieczór — zacząłem.

— Rzeczywiście, śliczna pogoda — odparła.

— Żebyście tylko mieli w lipcu pogodne dnie — ciągnąłem dalej.

— Eee, chyba będzie pogoda w lipcu — odrzekła.

— Zawsze sobie trochę odpoczniesz na wsi — łupiłem z nadmiernym wysiłkiem woli.

— Co to za odpoczynek, jak się z dziećmi wyjeżdża — zaprzeczyła.

I zamilkliśmy.

I tak milczeliśmy minut pięć.

— Słuchaj, duszko — szepnęła cicho.

— Co, złotko? — zapytałem.

— Zostawiłam ci tylko sześć par skarpetek — ciągnęła żona — jak ci się te sześć par zbrudzi, to je oddasz do prania.

— Dobrze.

— A nie zapomnisz?

— Nie, nie zapomnę. A czy ty dosyć bielizny zabrałaś?

— O, dosyć.

— Bo gdybyś czego potrzebowała, to się nie krępuj: napisz, to ci przyślę.

— Ale po cóż mam ci robić ambaras?

— Nie, duszko. Ja bardzo chętnie... To mi nie robi żadnej różnicy.

Zdawało mi się, że początek dobry, że teraz już pójdzie gładko — i znów wszystko na nic.

— Czy ci nie chłodno?

— Cokolwiek.

— Może już wrócimy?

— Owszem: bo później tramwaju nie dostaniemy.

— Więc chodźmy.

I wsiedliśmy do tramwaju.

Nie, w domu stanowczo lepiej — myślałem teraz — tak, w domu, rozumie się, że w domu; przecież nie jesteśmy parą kochanków lub młokosów, których księżyc rozmarza. To był zupełnie niedorzeczny pomysł — ta cała przejażdżka.

I powróciliśmy do domu.

— Czy chcesz jeszcze trochę posiedzieć?  
— zapytałem.

— Owszem — odparła żona. — A może wolisz iść spać? Jutro wstać musisz wcześniej.

— Nie, jeżeli chcesz, możemy jeszcze trochę posiedzieć.

Usiedliśmy na otomanie.

Uśmiechnęła się i rzekła:

— Ale tyś jeszcze kuriera nie czytał.

Machnąłem ręką wzgardliwie:

— Mam czas jutro przeczytać. Toć to ostatni nasz wieczór.

— A będziesz tęsknił? — spytała.

— Pewnie, że będzie mi przykro — odparłem.

I nawet westchnąłem.

Ta przejażdżka może i nie była najgorsza.

Właśnie po tej przejażdżce może lepiej będzie.

— Jak często będziesz pisywała?

— Co tydzień.

— A tak, masz słuszość, duszko, co tydzień.

— A ty, aniołku?

— Ja także — co tydzień.

— Tak właśnie najlepiej: regularnie co tydzień.

— Tak: raz w tygodniu.

Ziewnąłem.

Ja doprawdy, ja nawet mogę przysiąc, że nie chciałem ziewnąć. Nawet było przecież wcześniej, byłem wyspany. No i ziewnąłem.

I ona ziewnęła.

— Ale czy też pogoda wam dopisze? — zacząłem.

— Ja myślę, że lato będzie pogodne — odrzekła.

— No tak: byle tylko deszcze nie padały.

— Zapewne: bo jak deszcze padają, to pobyt na wsi jest przykry.

— Rozumie się, że przykry.

I ziewnąłem.

— Mam do ciebie prośbę — szepnęła.

— Słucham cię, duszko.

— Zapisuj ty, co kucharka wydaje. Bo widzisz, jak będziesz robił rachunki, to ona się zawsze będzie trochę krępowała.

— Dobrze, kotku.

I ziewnąłem po raz trzeci.

— Spać ci się chce? — zapytała żona.

— Cokolwiek.

— Tak, i jutro trzeba wstać wcześnie...

I proszę was, chciałem, i wiedziałem, że powinienem — ale nie wiedziałem, jak zacząć z własną żoną... taką dłuższą, serdeczniejszą przed wyjazdem... rozmowę. I mówiliśmy o pogodzie, skarpetkach, deszczu, listach i kucharce.

Ja nie jestem, Boże uchronaj, jakimś romantykiem, idealistą, poetą, albo nagą duszą — a i mnie było jakoś przykro.

Przed wyjazdem; dwa miesiące; nawet kurierka nie czytałem — i nic.

## WCALE NIE DOWCIPNY

Zdarzyło się to na pryncypalnej ulicy pewnego wielkiego i ludnego miasta. Miastem tym nie była dobroczynna Warszawa, w czym zresztą nie ma nic dowcipnego.

Na pryncypalnej tedy ulicy owego miasta było wielu przechodniów. Kim byli owi przechodnie; ile z nich każdy miał rocznego dochodu; ile każdy miał dzieci, grzechów, listów zastawnych, par spodni, przyjaciół, lub krawatów; kto z nich był członkiem kasy pogrzebowej; czy grał w karty, czy w bilard; czy kupował resztki na wyprzedazach, czy też na łokcie „ze sztuki”<sup>53</sup>; jakie wreszcie były ich poglądy na

---

<sup>53</sup>czy kupował resztki na wyprzedazach, czy też na łokcie „ze sztuki” — mowa o sztuce materiału, z której odmierzało się łokcie bieżące (łokieć warszawski wynosił ok. 58 cm). Do połowy XX w. ubrania szyło się na miarę: każdy musiał kupić sobie materiał i zatrudnić krawca lub uszyć samodzielnie. [przypis edytorski]

repertuar zmysłowy teatrów, nietakt Ameryki, odrzucającej wspaniały dar Niemiec, wreszcie — na udział stajni polskich na międzynarodowych wyścigach konnych — o tym wspominać również nie będę, gdyż i w tym nie ma nic dowcipnego.

Przez ową pryncypalną ulicę szedł obdarty chłopiec, liczący jakoby lat dziesięć do dwunastu. Powiadam: „jakoby”, albowiem pozory często nas mylą. Już nieboszczyk Szczepanowski zauważył, że nigdzie nie spotykał tylu siwych młodzieniaszków i pięćdziesięcioletnich dzieciuchów — co u nas; z drugiej zaś strony — spotkać się dają bardzo młodzi staruszki, mało jednakże zasługujący na szacunek, a przy tym nie siwi, jak gołębie, bo nie mają włosów.

Szedł tedy ów chłopiec przez ulicę.

Gdyby tylko szedł, nie byłoby w tym nic dowcipnego; ale on się nagle zachwiał i upadł na bruk, kosztujący magistrat owego miasta po czterdzieści ośm<sup>54</sup> rubli za sążeń kwadratowy.

---

<sup>54</sup>ośm — dziś popr.: osiem. [przypis edytorski]



Upadł i leży. Leży na bruku, wartującym<sup>55</sup> czterdzieści ośm rubli za sążeń kwadratowy — i ani się ruszy. A na domiar nieszczęścia, padając, uderza głową o ścianę domu, na którym samo towarzystwo kredytowe miejskie ma 25 000 rubli, a za nim jest jeszcze siedm<sup>56</sup> numerów hipotecznych, z których czwarty i piąty, co prawda, fikcyjne. Sklepy zaś w owym domu płacą po dwa i trzy tysiące rocznego czynszu.

Jakkolwiek nie ma w tym nic dowcipnego, jednakże każdy łącno<sup>57</sup> zrozumie, że ów jedenastoletni rzekomo chłopiec musiał się mocno uderzyć w głowę. I w samej rzeczy z rozbitej głowy chłopca poczęła się sączyć krew; taka sama czerwona sobie krew, jaka by się sączyła z głowy każdego maminsynka, Kaziunia, Władeczka, lub Janusia, albo posażnej jedynaczki — gdyby ci wypadkiem, padając na cenny bruk pryncypalnej ulicy, uderzyli głową o ścianę kamienicy, mającej siedm numerów hipotecznych, z których dwa fikcyjne, a prócz tego dług towa-

---

<sup>55</sup>wartujący — tu: kosztujący, wart. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>siedm — dziś popr.: siedem. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>łącno (daw.) — łatwo, bez trudu. [przypis edytorski]

rzystwa kredytowego miejskiego. W tym nie ma nic dziwnego.

Przechodnie owego miasta — którym nie była Warszawa — otoczyli zwartym kołem leżącego chłopca. A że każdy przeciętny przechodeń posiada między innymi mózg i język, więc owo licznie zebrane grono ludzi mogło myśleć i mówić, i w rzeczy samej myśleć zaczęło i mówić.

Jeden pan, jakkolwiek miał zawieszoną na guziku paczkę z ciastkami<sup>58</sup>, jednakże westchnął i rzekł:

— Biedny chłopiec.

Ten pan musiał mieć nie tylko ciastka, mózg i język, ale i serce. Bo nie każdy umiałby się tak od razu odezwać, a w dodatku jeszcze — westchnąć. W podobnych razach człowiek traci zdolność logicznego rozumowania, i tylko

---

<sup>58</sup>*miął zawieszoną na guziku paczkę z ciastkami* — dawniej ciastka pakowano w papier obwiązany cienkim sznurkiem, a w I poł. XX w. było przyjęte, że eleganccy panowie po wyjściu z cukierni nieśli takie paczki zawieszane na guziku płaszcza czy kamizelki. Pozwalało im to zachować wolne ręce: do eleganckiego stroju należała często laska lub parasol, a druga ręka była niezbędna do uchylenia kapelusza przy powitaniu lub aby służyć oparciem damie przy wysiadaniu z pojazdu, otwierać przed nią drzwi itp. [przypis edytorski]

serce zupełnie odruchowo mogło podyktować organom mowy jego podobnie wzniosłe, pełne miłości i poświęcenia — wyrazy.

— Biedny chłopiec — rzekł ów pan z sercem w piersi i paczką ciastek na guziku; a wyrazy te nie ja jeden słyszałem, ale i czterdzieści innych osób, stojących bliżej owego pana; a był tak skromny, że powiedział to bezimienne, więc nie dla reklamy; a nawet po chwili niepostrzeżenie wysunął się z tłumu i znikł wśród przechodniów pryncypalnej ulicy.

Teraz już i inni odzyskali świadomość rzeczy i z kilku stron naraz — nadbiegły na pomoc biednemu dziecku — westchnienia i wyrazy współczucia.

I znów nowa myśl; ktoś rzekł:

— Może zemdlał z głodu; biedactwo?

Każda nowa idea, każda nowa prawda, lub śmiała hipoteza, zanim uznana będzie przez ogół, zanim uświęci ją walka, opromieni zwycięstwo — musi przejść ogień krzyżowy zarzutów, niewiary, drwin i potępień tłumu, co również nie jest ani trochę dowcipne.

— A może on udaje tylko? — rzekł śmiało jegomość, trzymający jedną rękę w kieszeni z portmonetką, i dwa palce drugiej ręki — w kieszonce z zegarkiem: bo wśród zebranych ludzi serca i miłości, mógł się niewątpliwie znaleźć nikczemnik, gotowy skorzystać ze wzruszenia szlachetnych dobroczyńców. A dojrzałe umysły i gorejące prawdziwym ogniem serca cechuje właśnie rozwaga w chwilach ogólnego podniecenia — rozwaga i spokój w chwilach stanowczych, gdzie jeden moment nieopatrności może nas raz na zawsze pozbawić nie tylko zegarka, ale i złotego łańcuszka, nie mówiąc już o kluczyku.

— A może on tylko udaje?

Zapewne! Ileż to razy zimne wyrachowanie wydziera z naszych piersi westchnienie współczucia. Ileż to razy nikczemny podstęp zamraża na wargach naszych ciepłe tchnienie owych szczytnych wyrazów, które wybiegły jasnym promieniem z ust pana z paczką ciastek na guziku:

— Biedny chłopiec...

Czyż owa ofiara miała stać się łupem przewrotnego chłopca? O siło złego, o błyskawico zepsucia, o trzęsawisko rozkładającej się bagnistej zgnilizny!

Wśród złowrogiej ciszy rozległ się głos:

— Gdzieby tam udawał? Przecież zakrwawiony.

O, dzięki, dzięki ci, żeś wyrwał mnie z zakrętnych przepaści niepewności i zwątpienia.

— Ba, ba — rzekł pan rozważny, trzymając złoty łańcuszek zegarka, i opuścił tłum ze wzgardliwym uśmiechem.

On powiedział: „ba, ba”. Co to może znaczyć?

W tej chwili uderzył mnie ktoś w plecy, potem poczułem szpiczasty ból w boku, a kiedy ochłonąłem z wściekłości, które wywołało brutalne zaatakowanie moich nagniotków — ujrzałem pochylonego nad chłopcem obdartusa.

— Masz, napij się krzyne — mówił do zemdlącego.

Człowiek niepiszący nigdy nie zdoła zrozumieć człowieka piszącego. Tam, gdzie przeciętny właściciel handlu win, akuszer, fabrykant rowerów lub stalówek<sup>59</sup> krajowych — rozplącze się rzewnie — tam poeta napisze sielankę i pośle na konkurs. Gdzie były obywatel ziemski, poszukujący zajęcia, w obronie czci dziewczęcia, brutalnie zaczepionego na ulicy — zrobi awanturę i skazany zostanie na dwa dni aresztu za zakłócenie spokoju — tam moralista napisze artykuł o zepsuciu, zrobi sobie reklamę, i zarobi na dwa koniaki, przekąskę, librę papieru i nowe zelówki.

Nic więc dziwnego, że ja, patrząc na chłopca, leżącego na wyżej wzmiankowanym chodniku, i na pochylonego nad nim obdartusa — nie wyrzekłem drżącymi wargami: „biedne dziecko” — tylko obmyślałem pięcioaktowy melodramat do teatru ludowego, pod nagłówkiem:

---

<sup>59</sup>*stalka* a. *stalówka* — w czasach, w których powstała ta książka, pisano piórem, przy czym tzw. wieczne pióra były drogie, więc dzieci w szkołach używały zwykle pióra składającego się z podłużnej drewnianej osadki z zamocowaną metalową stalówką, którą maczało się co chwilę w kałamarzu z atramentem. Długopis został wynaleziony w 1938 r., a do powszechnego użytku wszedł znacznie później. [przypis edytorski]

„Odzyskany, czyli trup przy trupie”. Miałem już ostatnią scenę ostatniego aktu.

Ten chłopiec — to wykradziony syn. Skradzione dziecko; ojciec zrozpaczony, rujnuje majątek na bezowocne poszukiwania; potem się rozpija; potem oto widzi to dziecię tu na ulicy, poznaje je po znaczku na szyi i woła:

— Mój syn!

Chłopiec:

— Ojcze!

Ojciec:

— Dziecię!

Chłopiec:

— Umieram.

Ojciec:

— Musisz żyć!

Chłopiec kona. Ojciec zrywa się, uderza z całej mocy głową o ową kamienicę z siedmioma numerami hipoteki. Trąbka „Pogotowia” za sceną. Zasłona spada.

Budzę się z zadumy. Nowa fala uczuć.

O wy, szydery, wy, którzy kruczym głosem głosicie, że człowiek jest tylko samcem,

lub samicą, a zawsze egoistą, gdybyście słyszeli, jaki szmer oburzenia poruszył ten tłum na widok obdartusa, chcącego wlać zemdlonemu wódkę w usta — o wy, którzy rumieniec zgasiście w rozpuście, odzyskalibyście go znowu w tej chwili.

— Precz, pijaku, nie rozpajaj dziecka! — stało się hasłem groźnego tłumy.

— Nie, to nie — odparł ów człowiek i usunął się, ratując swe życie.

Nie będę powtarzał wszystkiego, co mówiono w tłumie, zamilczę, ile słów, uskrzydionych miłością, upierzonych współczuciem, ubielonych troską o los obcego, bezimienne-go, brudnego łobuziaka — poszybowało w tę stronę przestworza, które, jak twierdzi podanie, wybrukowane jest granitem dobrych chęci. A w tłumie, prócz zsiadłego mleka inteligencji, prócz ludzi z maturami i dyplomami, prócz ludzi, którzy z natury mają serca bardziej elastyczne, sprężyste i miękkie, prócz kobiet, których mózgi skłonnejsze są do wyciskania łez z oczu — znajdowali się przecież i subiek-



ci magazynów optycznych, młodzi pomocnicy buchalterów, ajenci od ogłoszeń, pośrednicy do placów pod wille na Łokcie i jeden kolektor loterii żydowskiej. I wszyscy ci ludzie, mniej lub bardziej poetycznie, mniej lub bardziej głośno, lepszą lub gorszą polszczyzną — współczuli z ofiarą tajemniczego wypadku...

Co się stało z chłopcem, nie powiem, gdyż nie ma w tym nic dowcipnego. Szło mi tylko o zaznaczenie, że istnieją serca, że istnieją uczucia.

Choć mogę nawet powiedzieć: „Pogotowie” odwiozło go do szpitala, gdzie wprowadzenie nie było miejsca, ale go mimo to przyjęto. Podobno przez omyłkę zjadł z głodu łąpki od zapalek.

## PTASZNIK

Bogacz to był nad bogacze.

Najrzadsze ptaki obok pospolitych leśnych śpiewaków.

Aż ogłuszał cię śpiew, szczebiot i świergot.

Aż oślepiało cię bogactwo barw skrzydlatej rzeszy pieśniarzy.

Chór niemilknący, ruchliwy, wesoły, żywy.

Jak gdyby nie w klatkach, przestronnych wprawdzie, umajonych zielenią i pełnych słońca, ale z prętami żelaza i drutu, jak gdyby pod niebem na polach, na runi, w zagajach i lasach bogatych i przepysznych, tak było im wesoło i rażno, owej rzeszy skrzydlatej, studźwiecznej, stubarwnej, tak swobodnie.

Bogacz bo też był ów ptasznik...

Krzywymi dziobami, drapiąc się po prętach klatki lub grzędach drzewa, wrzeszczą przeżliwie papugi: szkarłatna, niebieskoskrzydła Makao; biała z żółtym czubem-pióropuszem Kakadu; zielona Lorys, o szkarłatnych skrzydłach, obrzeżonych błękitem i blado-żółtym ogonem; siwa Joko — wołyżerka i Ary z długim, klinowatym sterem.

Kolibry Safo — błyskawice, drobne, wątle, migotliwe, jaskrawe, jak iskry żywe.

Pawie z wachlarzami stuokimi<sup>60</sup>, dumne, lśniące mieniące się przepychem magnatów.

Łabędzie czarne i białe płyną po małej sadzawce obszernej klatki, przeginają długie, wdzięczne, grające rosą brylantową w promieniach słońca szyje, majestatyczne, spokojne, płyną powoli i piersią szeroką wodę czystą prują.

Orzeł — tułacz samotny, zrywa się, żagle rozwija do lotu; raz uderzył powietrze, już głową sięga pułapu. Jastrząb — bandyta śledzi lot ptaków okiem chciwym. Sokół patrzy na zawieję ptactwa wzrokiem ponurym z głębokich oczodołów. Rdzawo-żółty puchacz o złocisto-żółtych oczach zamrużonych, i sęp, i szpak czarny z fioletowym połyskiem głowy i zielonym odcieniem pleców i piersi, i sowa z wielką głową, z rogami piór na głowie i głosem ochrypłym, złowróźbnym, i mewa — żarłok, rybak i korsarz, i wrony i kruki — grabarze.

I wszystko to w oszklonym budynku ptaszniaka — bogacza.

---

<sup>60</sup>*stuoki* — mający sto oczu. Tu mowa o ogonie pawia, tworzącym kształt wachlarza; pióro z pawiego ogona ozdobione jest kolorowym „okiem”. [przypis edytorski]

I nasza kapela leśna, i daleka, i stała, prze-  
lotna, i nasi bracia powietrzni, słoneczni, i nasi  
znajomi z łąk, sadów i miast dusznych, i nasi  
pożądani i mili.

Kanarek żółty, szary słowik — marzyciel,  
trubadur, i lotna jaskółka, i skowronek naboż-  
ny, i nerwowa pliszka, i głupkowaty żółtopło-  
wy trznadel, i dudek — śmierdziuszek, i ku-  
kułka — podrzutek, i gil, i szczygieł — galan-  
ci, i wesoły, ruchliwy i zwinny czyżyk, i śmie-  
ciuszek — strojniś z czubkiem ciekawym na  
głowie, i zięba, i gap — niezdara, i z pękiem  
piór szkarłatnych na karku, i kraska — nie-  
chluj, i kłótniwa wilga, i maleństwo — strzy-  
żyk i mysikrólik, i wiercipięta — sikora żar-  
łok, i nawet szary wróbel, i drozd, i jarząbek  
— ofiara, i kochliwy gołąb.

Nie miałeś głosu, i nie miałeś barwy, i nie  
miałeś linii powietrznej, której byś nie widział,  
nie słyszał tam, w tym tłumie...

Szczęśliwy ptasznik.

Szczęśliwy, bo posiadał.

Szczęśliwy, bo nie wiedział, że mu jeńcy —  
śpiewaki, jeńcy — skrzydlacze mrzeć poczną.

I zamarł pierwszy, nie pomnę — który.  
Zamilkł jeden głos chóru, zwisły skrzydełka,  
opuściła się główka pierzasta, wyprostowały na  
piasku sztywne nóżki małego więźnia klatki ptasz-  
nika.

I potem drugi, i trzeci, i czwarty.

To słowik tęskny, to skowronek, czciciel  
przestworza. Nie im patrzeć na słońce przez  
dach szklany ptaszarni, nie im wdychać powie-  
trze, zatrute rdzą żelaza, nie im śpiewać i dzwo-  
nić w hałasie i wrzasku. Cicho jakby usnęły,  
jakby bez skargi, jakby bez westchnienia.

Zasmucił się ptasznik, ale przelotnie, na chwi-  
lę.

Jeszcze miał tyle pieśni, że więcej nie pra-  
gnął.

I znów Śmierć zawitała.

To orzeł zwałił się ciężko i zastygł. Ale on  
walczył zapewne z niemocą, bo na piasku widać

było ślady jego pazurów i szerokie koła rozwartych skrzydeł.

I teraz już dnia nie było, by nowy świeży trup nie smucił ptasznika.

A on brał go ostrożnie i szybko, by siebie oszukać i pozostałe przy życiu ptactwo oszukać — i niósł daleko, by nie patrzeć i prędko zapomnieć — i rzucał.

Teraz dłużej bawił w swej ukochanej ptaszarni, jakby pragnął nacieszyć się życiem pozostały przy życiu, zatrwożony i smutny.

I jeszcze staranniej stokroć opiekował się swymi miłymi gośćmi, by zastąpić im to, bez czego żyć nie chcieli, czy nie umieli.

Puśćiej, coraz puśćiej było. Sokół padł, puchacz zginął, drobne ptactwo marło.

Ptasznik jeszcze pieścił się zmarłym, jeszcze pragnął go wskrzesić, ogrzać go ciepłem własnego ciała i tchnąć dech własny. Daremnie.

Niósł trupa do dołu wspólnego, idąc powoli, mierzonymi krokami, wspominał pamięć jego, źle, smutno mu było.

Łabędź poszedł w ślad za tamtymi.

Ptasznik rozgarnął puch śnieżny, rozplątał, wnętrzości wyrzucił, waty i trocin nasytał, oczy zastąpił paciorkami i postawił w klatce, martwego z lakierowanymi nogami, bo sądził, że siebie i innych oszuka.

Teraz już wiedział, że tak być musi. Ani się dziwił, ani próbował walczyć, ani się nawet smucił — i dzień w dzień żywego zastępował bezdusznym trupem.

Przyzwyczał się nawet i nie bolał. Martwe ptaki nie żyły wprawdzie, ale też nie wymagały opieki i starania.

I marły kanarki, gołębie, szczygły, bociany, sępy małe i duże, ponure i szczebiotliwe, dumne i trzpioty, szczerze i zamknięte w sobie, marły, a on je wypychał i ustawiał szeregiem i pokazywał znajomym, ale tylko przez szybę, aby nie poznali, że martwe. Bo mu przykro było, bo nie chciał, aby o tym wiedziano, że on, bogacz niegdyś, tak bardzo zubożał.

Cicho, smutno, głucho było teraz tam, gdzie panowało wesele.

Pozostałe przy życiu ptaki zdawały się przeczuwać skon bliski, patrzyły trwoźnie na zmarłych towarzyszków<sup>61</sup> i czekały, rychłoli<sup>62</sup> i im koniec przyjdzie.

I stało się oto, że przedostatnia ptaszyna oczy zamknęła i cicho, jakby ulegając wyrokowi, z którym nie można walczyć, bo i po co? legła w kąciku klatki pustej i martwej, z dala od ptaków wypchanych, które rozsiadły się tam, gdzie dawniej były żywe.

I została tylko jedna jedyna — żywa, jedna z tej zawiei słonecznej, i ta już potem żyła, żyła, żyła — pośród trupów.

Człecze ptaszniku, zamierać będzie i musi liczne ptactwo twej duszy, pomnij jednak, nie wypychaj trupów, sypiąc w nie trociny, kładąc paciorki miast oczów<sup>63</sup> — i zachowaj jednego, ostatniego skrzydlatego duszy mieszkańca, ale niechże nim nie będzie — gawron.

---

<sup>61</sup>*towarzyszków* — dziś popr. forma D. lm: towarzyszy. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>*rychło* (daw.) — prędko, wkrótce, niebawem; *-li* (daw.) — partykuła wyrażająca pytanie czy; *czekały, rychłoli i im koniec przyjdzie* — czekały, czy prędko i one umrą. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>*oczów* — dziś popr. forma D. lm: oczu. [przypis edytorski]



## PRECZ Z CZYSTOŚCIĄ!

Od dłuższego czasu rady sobie dać nie mogłem, tylu doradców opanowało dom mój, mnie, i moich najbliższych.

— Człowieku, ulituj się, jak można tak zaniedbywać się w ubraniu? — wołano.

— Jak pani może pozwolić mężowi tak nie dbać o strój? — suszono głowę mojej żonie.

— Jak cię widzą, tak cię piszą — dodawano sentencjonalnie.

A kiedy wieczorem, znudzony, przerzucałem w łóżku gazety, spotykałem artykuły, domagające się czystości pedantycznej, drobiazgowej; artykuły, grożące najstraszniejszymi skutkami człowiekowi, który nie baczy na najbardziej wyrafinowaną czystość, który nie podda się bez zastrzeżeń wszelkim jej wymogom.

— Ha, trudno — pomyślałem — spróbuję, może mi się uda.

A to tym bardziej, że stwierdzono powszechnie, że bardzo łatwo wytwarza się w człowieku

nałóg<sup>64</sup> czystości, która przechodzi nieznacznie w elegancję, wykwent i inne subtelności cywilizowanego świata.

Poszedłem tedy do szewca, krawca, kapelusznika, rękawicznika, fryzjera — mierzono mnie na wszystkie strony, kręcono, obracano, szarpano, pchano, kazano mi siadać na krzesłach i stołach, chodzić, przysiadać, podnosić i opuszczać głowę, podskakiwać, przykucać: dręczono mnie w najniemożliwszy sposób. Prócz tego zabierano mi tyle czasu, że mocno zaniedbałem się w swych czynnościach, co było tym fatalniejsze, iż wydatki moje w nieszczęsnym owym miesiącu się potroiły.

Wreszcie byłem odziany tak, że porównując siebie z wielu kręcącymi się po pryncypalnych ulicach durniami<sup>65</sup>, nie dostrzegłem między nimi a sobą żadnej różnicy; nawet dla

---

<sup>64</sup>*nałóg* (tu daw.) — przyzwyczajenie, nawyk. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>*durniami* — winno być: elegantami. [przypis autorski]

dopełnienia stroju kładłem tuberozę lub inny kwiatek w klapę tuzurka<sup>66</sup>.

Tryumf był oczywisty: wielka liczba ludzi, którzy dotychczas czekali na mój ukłon, zaczęła mi się kłaniać pierwsza. Niektórzy, niezna mi z nazwiska, poczęli przystawać, ścisnąć serdecznie moją dłoń i pytać o adresy wykonawców poszczególnych części mojej garderoby. I ja się zmieniłem: chód mój stał się powolniejszy, ruchy poważniejsze, cała postać majestatyczniejsza. Zacząłem patrzeć z pewnym, skrętnie ukrywanym lekceważeniem na ludzi niedbale odzianych. Rozwinęła się we mnie spostrzegawczość w tym kierunku i pewne zaciekawienie. Język mój wzbogacił się całym mnóstwem zupełnie nieznanym mi wyrazów; bo trzeba wam wiedzieć, że dotychczas znałem tylko wyrażenia: spodnie, kamizelka, surdut i palto — dla zwierzchniej odzieży, nie mając poję-

---

<sup>66</sup>*tużurek* (por. fr. *toujours*: zawsze; *tous les jours*: codziennie) — rodzaj surduta; element męskiego stroju popularny w II połowie XIX w., pełniący rolę dzisiejszej marynarki, ale sięgający do połowy uda. [przypis edytorski]

cia, że istnieje cała skarbnica nazw, stosownych do różnych krojów tych części garderoby.

Do stroju mego zastosowałem, rzecz naturalna, wygląd zewnętrzny mego mieszkania, żony i dzieci. Wszędzie panowała teraz czystość i wytworność. Zabroniłem dzieciom moim bawić się z dziećmi stolarza z naszego podwórka, bo ileż to zarazków mogą wnieść w organizm mych latorośli te brudne dzieciaki? Zabroniłem starszemu chłopcu dawać lekcje synowi stróża, bo choć to malec zdolny i pilny, ale niszczył mi, lub mógł zniszczyć nowe pokrowce mebli, lub zabłocić pokoje. Sam nie odpowiadałem teraz na przyjazne ukłony stróża, posłańca i tych wszystkich, którym bez obawy wyzwania lub innych towarzyskich powiślań można się nie odklaniać; czyniłem to z łatwo zrozumiałych powodów: kapelusz niszczy się od zbyt częstego zdejmowania, a kołnierzyk i krawat gniotą się od pochylania głowy.

Przez pierwsze parę dni czułem się jakoś nieswojo, ale dzięki moim nowym znajomym, zastosowanym do nowego stroju, przywykłem

do wielu nowych rzeczy: kelnerów przestałem tytułować panami, a nazywałem ich krócej: „ty”, żebrakom na ulicy nie dawałem jałmużny, gdyż od wyjmowania portmonetki drą się kieszenie. Stosunki moje z żoną i dziećmi ochłodziły nieco: dziecka za skarby świata nie posadziłbym na kolanach, gdyż niszczy to spodnie, a przy tym dziecko może mieć zawałane rączki; sam starałem się nie zbliżać zbyt do żony, aby nie zgnieść jej peniuaru, a sobie — krawata.

Wpadałem w wściekłość, o ile coś groziło czystości lub całości mojej garderoby, co, mimo wszelkie przedsiębrane ostrożności, zdarzało się często. Raz stróż pokropił mi nowy sak piaskowego koloru z jedwabnymi wyłogami. Nawymyślałem mu od durniów, błaznów, idiotów, a gdy ten, chcąc mnie przeprosić, dotknął ustami rękawa, i pozostawił na nim kroplę wilgotnej tabaki, kazałem spisać protokół i wsadziłem go na dwa dni do kozy. Innym razem jakiś niewidomy starzec nastąpił mi na gemzowy trzewik, posłałem go do wszystkich diabłów.

Stałem się niezmiernie drażliwy: byle drobiazg wytrącał mnie z równowagi. Przyszła raz do mnie kobieta w żałobie z prośbą o poparcie. O co jej szło, nie wiedziałem, choć długo mówiła i gorzko płakała. A wiecie, czemu nie słuchałem, co mówiła i o co prosiła? Bo na dywanie zauważyłem ślad błotnisty jej stopy: przyszła w deszcz bez kaloszy. Krew się we mnie burzyła. W innych warunkach byłbym zainteresował się jej smutkiem, gdyż łzy niewieście ogromnie na mnie działają; tym razem jednak nie miałem dla niej ani źdźbła współczucia, więc gdy skończyła, rzekłem:

— Dobrze, zanotuję sobie pani adres i zawiadomię ją o rezultacie.

A gdy mnie jeszcze prosić poczęła i dziękować, dodałem:

— Nie obiecuję na pewno, ale zrobię wszystko, co jest w mojej mocy.

Postąpiłem jak prawdziwie miłujący czystość człowiek; dumny byłem z siebie. Postąpiłem tak właściwie, jak pewien herbowy prezes pewnej instytucji, gdym go przed laty pro-

sił o pomoc dla jakiejś nieszczęśliwej rodziny: wysłuchał, obiecał uczynić wszystko, zanotował adres, podał mi rękę, a nazajutrz, gdym przyszedł po odpowiedź, nie poznał mnie, adres zgubił i nie pamiętał wcale, o co go prosiłem dnia poprzedniego...

Innym zaś razem dzieci, rzucając piłkę, stłukły jakiś kosztowny figiel, co przyprawiło mnie o dwutygodniową obłożną chorobę.

Rozrywek miałem teraz znacznie mniej; w ciągu roku byłem tylko dwa razy w teatrze, gdyż wyrzekłem się raz na zawsze miejsc tańszych, gdzie obok mnie mógłby siedzieć jakiś niedbale ubrany człowiek. Tramwajami jeździłem rzadko z tego samego powodu.

Wydatki moje, mimo wszystko, wzrosły poważnie, ale radziłem sobie w ten sposób, że krawcy, szewcy i inni ludzie cierpliwi — czekali miesiącami całymi na zapłacenie rachunku...

Zdawałoby się, że przez okres całego roku życia tak higienicznego, zastosowanego do wszelkich wymagań tyle zachwalanej czystości

— powinienem był utyć o jakie dwadzieścia funtów, mieć całą energię do pracy, być idealnie szczęśliwym. Stało się jednak — wbrew wszelkim oczekiwaniom — zupełnie inaczej: zmizerniałem, schudłem, praca stała mi się ciężarem, i nie na żarty począłem myśleć o samobójstwie, tym bardziej, że życie rodzinne stało się dla mnie niemiłym, że przybyło mi moc trosk najrozmaitszych.

Udałem się do lekarzy, którzy zapisywali mi bardzo wiele recept i przepisywali szereg sposobów odzyskania zdrowia. Nic jednak nie pomogło.

Teraz myśl o samobójstwie nie odstępowała mnie ani na chwilę. Począłem więc szukać rewolweru, który odziedziczyłem po dziadku. Biedna żona, blada, smutna, ogłupiałe dzieci — nie wiedziały, jakie im grozi sieroctwo, gdy ja z rozognionym okiem biegłem na strych, by tam wśród rupieci odnaleźć mordercze narzędzie. Przerzuciłem na próżno trzy kosze i dwie paki, gdy nagle wzrok mój padł wypadkiem na stary wypłowiały krawat, parę wytartych spodni



i stare kamasze z wykrzywionymi obcasami, rozciągniętą gumą i zwieszonymi uszami.

Patrzałem dłużej. W pierwszej chwili poczułem wściekłość, że mogłem kiedyś w podobne rupiecie przybierać swe ciało. Później ogarnęło mną zaciekawienie: „jak też ja bym w tym wyglądał?” I oto nagle rzewność jakaś opanowała mą duszę: toć to owi starzy przyjaciele, starzy, bezpowrotnie utraceni, więc mi-li... Zawinałem je w gazetę, przyniosłem ukradkiem do swego pokoju wraz z rewolwerem, który znalazłem nareszcie...

Straszną przeżyłem noc. Myśli kłębiły mi się pod czaszką, jak grzechotniki. Cała przeszłość stanęła mi przed oczami, gdym blady stał przed lustrem z lufą przy skroni. Począłem analizować każdy swój czyn, myśl każdą. A kiedy słońce pierwszy swój promień cisnęło do komnaty, ubrałem się w starą swoją garderobę i wyszedłem na miasto.

Od tej chwili minęły dwa tygodnie. Czytelnicy, chcecie, wierzcie lub nie wierzcie, jestem znów zdrów i szczęśliwy, żona moja odzyskała

rumieńce, dzieci dawną żywość, ja ochotę do pracy. Znów kłaniam się stróżowi, dzieci bawią się z pędzakami stolarza, ludzie (?) rzadziej zaszczycają mnie ukłonami. Chodzę do teatru na galerię i tak mi dobrze, jak dawno nie bywało! Więc wołam głośnym okrzykiem, pełną pierśią wyrzucanym:

— Precz z czystością!

## FRANEK

Wiecie, kto jest Gasiński<sup>67</sup>?

— Wiemy.

— I Kawecka<sup>68</sup>?

— Wiemy.

— I Margot Kaftalówna<sup>69</sup>?

— Wiemy.

— Wszystkie wybitne postaci Warszawy, kraju i zagranicy znacie?

---

<sup>67</sup>*Gasiński, Edmund* (1860–1924) — aktor teatralny i kabaretowy (a od 1916 r. także filmowy), śpiewak, tancerz, reżyser teatralny. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>*Kawecka, Wiktoria* (1875–1929) — sopranistka, gwiazda Operetki Warszawskiej. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>*Kaftalówna, Margot*, właśc. *Maria Małgorzata Kaftal* — artystka scen warszawskich, popularna na początku XX w. [przypis edytorski]

- Znamy.
- A Franka znacie?
- Jakiego Franka?
- No Franka, co nie ma nazwiska.
- Nie, nie znamy Franka.
- Widzicie?

Franek nie ma wprawdzie nazwiska; już przed urodzeniem się jego wiadomo było ludziom, że nazwiska mieć nie będzie, a on się mimo to urodził.

Uważacie? taki bęben, długości pięćdziesięciu centymetrów zaledwie, a już szelma przekorny, a już, drwiąc jakby z uświęconych zwyczajów, śmiał się urodzić nie tylko bez nazwiska, ale nawet jakoby bez ojca, i wielu jeszcze innych formalności.

— Czy aby pokornie, cicho, niepostrzeżenie Franek wślizgnął się między królów stworzenia?

Diabła tam: krzyczał, darł się i kopał, jakby nie jednego, ale trzech, i to wybitnych ojców posiadał.

— Oburzające — nieprawda?

— Ano chyba.

— I ja tak sędę.

Trudno: stało się.

— Urodzić się — nie znaczy jeszcze — żyć. Franek mógł się zrehabilitować jeszcze. Mógł w dwa, trzy albo jedenaście miesięcy po urodzeniu się — umrzeć. Tak czyni wiele dzieci, nie tylko bez nazwiska, ale i z nazwiskiem. Rozejrzy się obywatel po izbie: duszno, ciemno, brudno, głodno, zbiera manatki i powiększa grono aniołków, choć o tym żadne z pism nie głosi.

Inna rzecz Franek: on postanowił na złość światu — żyć. Uważacie?

Matka oddała go na garnuszek<sup>70</sup>, on nic; matka dwa miesiące zalegała w opłacie — on nic. Trzech jego rówieśników opuściło ten padół<sup>71</sup> nazwisk — on nic. Opiekunka i wychowawczyni cisnęła go przez omyłkę na ziemię

---

<sup>70</sup>*na garnuszek* — na utrzymanie; Franka oddano osobie zarobkowo zajmującej się wychowaniem dzieci, którymi nie mogły się opiekować ich matki, najczęściej dlatego, że nie były mężatkami. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>*padół* — dziś popr.: padół; *ten padół* a. *padół łez* — świat jako miejsce cierpienia. [przypis edytorski]

— on nic. Widział, że nie można inaczej, więc dostał angielskiej choroby (mądra nazwa: rachitis)<sup>72</sup> — ale mimo to żył, uparł się, zacisnął dziąsła (zębów nie miał jeszcze) — i żył.

I co z takim zrobisz?

Towarzystwo opieki nad zwierzętami ma baczenie na psa bez właściciela, ale nie na dzieci — bez nazwiska. Mógł się więc Franek wałęsać, nie zwracając niczyjej uwagi. Tak, ze strony prawnej — mógł, ale nie mógł ze strony faktycznej: nie umiał chodzić jeszcze. Ja na przykład mogę mieć dom, ale za co go kupię?

Zrozumiane?!

Franek miał cztery lata, kiedy poszedł do służby. Proszę nie brać tego dosłownie: czteroletnie dziecko, choćby nawet zupełnie bez nazwiska, nie będzie lokajem u doktora, ani froterem u adwokata, ani parobkiem w składzie lamp, handlu win, lub bodaj traktierni. Ale

---

<sup>72</sup>angielska choroba a. rachitis — krzywica, choroba małych dzieci powodowana niedożywieniem, zwłaszcza brakiem witaminy D, pozostawiająca trwale niekształcenia kości. [przypis edytorski]

Franek kołysał bliźnięta mularki<sup>73</sup> i wypijał im mleko. Mularka domyślała się, że Franek wypija mleko, więc biła go pustym kubkiem po głowie, ale byłaby go biła, choćby on nawet nie wypijał, więc po co miał być *plus*<sup>74</sup> uczciwy, *que le bankier* lub jego ojciec.

Mając lat siedem, Franek zjadł tuzin serdelków. Historia była taka: zaprosił bednarz gości, upił się i niosąc serdelki dla gości, przewrócił się i uronił paczkę. Bywa, że się upije nie tylko bednarz, ale i aptekarz, i student wydziału lekarskiego, i sekretarz pisma konserwatywnego, ale mniejsza z tym. Dość, że Franek zjadł od razu cały tuzin serdelków i wielka moc w niego wstąpiła.

Usiadł na najwyższym szczeblu drabiny (ale nie hierarchii społecznej, jeno — gołębnika) i pomyślał:

— Najszlachetniejszymi ludźmi na świecie są bądź co bądź — pijacy.

---

<sup>73</sup>*mularka* (daw.) — kobieta zajmująca się murarstwem (zwykle należąca do nizin społecznych) albo żona murarza. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>*plus* (...) *que* (fr.) — bardziej, więcej (...) niż; *po co miał być plus uczciwy, que le bankier* — po co miał być uczciwszy niż bankier. [przypis edytorski]

A że iskra ideału tli się nawet w duszach bez nazwiska, więc Franek postanowił być szlachetnym, czyli — zostać pijakiem i gubić serdelki.

Czy wiecie, kto w dniu piątym października roku 1897 — wrzucił mysz do skrzynki pocztowej przy ulicy Chłodnej? A kiedy urzędnicy pocztowi wysypali listy, mysz z piskiem uciekła, i wszyscy się przestraszyli, a potem jedni się śmieli, a drudzy złorzeczyli? Wiecie, kto to uczynił?

— Nie wiemy.

— A — Franek.

— A wiecie, kto zbił szybę latarni w alejach Jerozolimskich?

— Nie wiemy.

— Także Franek.

— A wiecie, kto napisał wiersz pod nagłówkiem: *Evviva l'arte*?

— Tetmajer.

— Bardzo dobrze. A wiecie, jaką operę napisał Melcer<sup>75</sup>?

— *Marię*.

— Doskonale. A wiecie, kto jest dyrektorem Filharmonii?

— Rajchman.

— A co jest perłą Tatr?

— Zakopane i Morskie Oko.

— Ślicznie. Wszystko to wiedzieć należy.

Franek nie wiedział zapewne, że wrzucając mysz do skrzynki pocztowej, i do tego jeszcze mysz bez marki<sup>76</sup>, naraża sobie zarząd poczt i telegrafów.

Franek, tłukąc latarnię, zadarł tym samym z magistratem miasta Warszawy.

A może i wiedział — tylko tak był przekorny, tak był zuchwały ten dziesięcioletni urwis, że nic sobie z niczego nie robił.

Pozwolono mu się urodzić, pozwolono mu kraść kurom kartofle, pozwolono mu chodzić

---

<sup>75</sup>*Melcer-Szczawiński, Henryk* (1869–1928) — kompozytor neoromantyczny, pianista i dyrygent, autor m.in. opery *Maria* (1904 r.), napisanej na podstawie poematu Antoniego Malczewskiego. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>*marka* (tu daw.) — znaczek pocztowy. [przypis edytorski]



na krzywych nogach, pozwolono, by mu się nogi wyprostowały (może od owego tuzina serdelków), a on ani wdzięczności nie czuł, ani pokory, ani szacunku dla nikogo.

Czy uwierzycie, ten czternastoletni dzisiaj chłopiec był niedawno opisany we wszystkich kurierach?

— Wstąpił do teatru?

— E, nie.

— Napisał sonet?

— Także nie.

— Utopił się w Morskim Oku?

— Skąd znowu? On okradał pryncypała<sup>77</sup>, i pryncypał go złapał na gorącym uczynku.

— Złapał go?

— A tak: zło zawsze się wykryje, niecny postępek zawsze wyjdzie na jaw, i ręka sprawiedliwości zawsze dosięgnie przestępcę.

— Taki chłopiec — no, no! Co to z tego wyrośnie?

— A widzicie? Wiecie teraz, kto jest Franek?

---

<sup>77</sup>pryncypał (daw.) — szef, pracodawca. [przypis edytorski]

— Wiemy: złodziej.

— Wiecie, kto to jest największym malarzem polskim?

— Wiemy: Matejko<sup>78</sup>! A nieprawda, bo Malczewski<sup>79</sup>. — Kłamstwo: bo Popowski<sup>80</sup>!

— Precz z nim: niech żyje Kossak<sup>81</sup>! — Vivat Fałat<sup>82</sup>!

— Ależ panowie — ciszej! — A gdzie jest Morskie Oko?

— W Tatrach.

— Ślicznie! Wszystko wiedzieć należy... I kto jest Franek, i kto jest Cavalieri<sup>83</sup>.

---

<sup>78</sup>*Matejko, Jan* (1838–1893) — malarz, autor obrazów o tematyce historycznej, dyrektor i wykładowca Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>*Malczewski, Jacek* (1854–1929) — wybitny malarz-symbolista, profesor krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>*Popowski, Stefan* (1870–1937) — malarz i krytyk sztuki, specjalizujący się w melancholijnych pejzażach oświetlonych księżycem lub zachodzącym słońcem, w przedstawieniach polskiej przyrody o różnych porach roku. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>*Kossak* — w rodzinie Kossaków było wielu malarzy, największą sławą cieszyli się: Juliusz Kossak (1824–1899), jego syn Wojciech Kossak (1857–1942) i wnuk Jerzy Kossak (1886–1955), mniej znani byli Leon Kossak (1827–1877) i Władysław Kossak (1828–1918). [przypis edytorski]

<sup>82</sup>*Fałat, Julian* (1853–1929) — jeden z najwybitniejszych polskich akwarelistów; wśród jego obrazów dominują sceny myśliwskie, dzikie zwierzęta i pejzaże. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>*Cavalieri* — można wymienić kilka sławnych osób o tym nazwisku: kompozytor Emilio de Cavalieri (1550–1602); matematyk i astronom Bonaventura Cavalieri (1598–1647); sopranistki Katharina Cavalieri (1755–1801) i Lina Cavaliere

Zrozumiane?...

## SAVOIR VIVRE

Dziwne też mają ludziska pojęcia o humorystach. Zdaje im się, że humorysta jest najszcześliwszym pod słońcem człowiekiem, że obronny w nieprzystępną twierdzę dowcipów i „kawałów”, umie wykpić się z każdej, najcięższej nawet sytuacji, że zyskuje sobie kosztem żartów serca ludzkie — ba — że komorne nawet płaci dowcipami, a garderobę i produkty spożywcze zdobywa „kawałami”.

I oto cały szereg próśb:

— Mój złoty humorysto, „wkopałem” się fatalnie; daj mi sposób, bym mógł się wykręcić jeszcze z tego małżeństwa, które...

— Mój panie zacny, wymyśl jaki dowcipny figiel, bym mógł wydebić od starego sto fajgli, gdyż...

---

ri (1874–1944); malarz Vittorio Cavalleri (1860–1938); adresat sonetów Michała Anioła, Tommaso dei Cavalieri (1509–1587). [przypis edytorski]

— Mój poczciwy, jak tu zrobić, żeby naprawić swój nadwerężony stosunek z wujem, który ma mnie za to wydziedziczyć, zem... itd.

Rozumie się, rad podobnych nie udzielam, w przeświadczeniu, że iskrę wrodzonego talentu szanować należy ku pożytkowi ogółu, że ta iskra nie powinna służyć do zapalania cygar dobrobytu dla jednostek, lecz do zapalania wielkiego stosu, gdzieby cały naród mógł gotować jajecznicę pożywną rozwoju i chwały...

Jednakże, wzruszony dolą białych murzynów pracy, owej wielotysięcznej rzeszy pracowników biur, kantorów i sklepów — chcę dać im kilka rad zbawiennych, by twarde serca pracodawców-zwierzchników zabiły silniejszą ku nim sympatią.

Pracowniczo czy pracowniku?

Nie gorliwość da ci podwyżkę pensji i hojną gratyfikację.

Nie umiejętność da ci podwyżkę pensji i hojną gratyfikację.

Ale:

Biurowy savoir vivre, którego główne punkty wnet ci wyłuszczę.

1. Przychodzisz do biura punkt o godzinie dziewiątej. Zwierzchnik wita cię mile: jesteś punktualnym. O, nieopatrzny: zadowolony już jesteś, niczego więcej nie pragniesz. Posłuchaj, co powinieneś powiedzieć.

— Przepraszam, panie naczelniku, że się tak fatalnie spóźniłem.

— Ależ nie — powiada zwierzchnik — jest akurat godzina dziewiąta.

— Nie, panie, jest trzy minuty po dziewiątej; tylko nasz zegar o trzy minuty się spóźnia. Czy rozkaże pan rozkazać szwajcarowi, by zegar posunął?

Zwierzchnik już cię widzi, już cię pamięta, już zwraca na ciebie uwagę.

2. Siadasz przy biurku. Rozpoczyna się dzień roboczy. Czynisz to, co inni: pracujesz niedbale, o ile nie jesteś obserwowany przez czujne oko kontrolera. Strzeż się tylko dwóch rzeczy: nie nazywaj nigdy zwierzchnika „starym”, gdyż

może usłyszeć; nie śmieję się nigdy głośno, ani głośno nie opowiadaj dowcipów.

Wchodzi zwierzchnik do biura. Wszyscy go widzą, śledzą jego kroki, czekają skinięcia, tylko ty go nie widzisz. Rozumiesz, ty go nie widzisz: jesteś cały pogrążony w pracy.

On zbliża się do twego stolika: ty dalej go nie widzisz.

On mówi do ciebie: ty go nie słyszysz.

On trąca cię w łokieć: ty czerwienisz się i wołasz z wściekłością.

— Idź pan do stu diabłów. Nie przeszkadzaj mi pan.

Zdumienie.

— Co??? — pyta zwierzchnik.

Zrywasz się, bledniesz, i wołasz głosem komicznie drżącym:

— Ach, to pan. Przepraszam... Ale do prawdy... Bo ja sądziłem, że to który z kolegów... Ach, taka nieuwaga... Pan przebaczy... Ja byłem pogrążony w pracy.

Zwierzchnik twój doznaje sprzecznych uczuć: podwładny go obraził, ale zupełnie nienaumyślnie. Szlachetność zwycięża.

— No nic, nic, nie gniewam się. Tylko na drugi raz proszę o trochę uwagi.

Robisz minę człowieka, który ze snu letargicznego obudzony został uderzeniem pioruna i pragnie zapaść się pod ziemię.

Zwierzchnik wchodzi do swego pokoju. Koledzy się śmieją. A ty najgłośniejszym głosem wołasz:

— Czego się śmiejecie? Każdemu się to może przytrafić. Gdyby nie szlachetność (jak można najdonośniej), gdyby nie wyrozumiałość i szlachetność szefa, ja bym za to głupstwo mógł osiąść na bruku<sup>84</sup>. To nie śmieszne.

Po upływie kwadransa wchodzisz do gabinetu zwierzchnika.

— Cóż pan powie?

— Przychodzę jeszcze raz prosić pana o przebaczenie.

---

<sup>84</sup>*osiąść na bruku* — dziś raczej: znaleźć się na bruku, zostać wyrzuconym na bruk (przy czym współcześnie odnosi się to częściej do utraty mieszkania niż pracy). [przypis edytorski]

Zwierzchnik będzie sobie uważał za punkt honoru udawać, że nic nie pamięta:

— Za co pan przeprasza?

— Że tak niegrzecznie się odezwałem.

— Kto? Ach głupstwo. Może pan być spokojny: użytku z tego nie zrobię.

— Ale mnie to spokoju nie daje.

— No, na to już ja nie poradzę.

Wychodzisz z miną niezmiernie strapioną...

Możesz być pewien, że twój „kawał” opowiadany będzie przy kolacji, że naczelnik pamięta już nawet twoje nazwisko.

3. Zbliża się godzina obiadowa... Znajdujesz sobie taką pracę, która cię o kwadrans dłużej zatrzymuje w biurze. Ze względów etycznych powinieneś czynić to czasem i wtedy, kiedy nie ma żadnych danych, by naczelnik mógł cię zauważyć.

4. O wypadku swoim powinieneś opowiadać przez cały dzień wszystkim, kogo spotkasz czy na ulicy, czy w ogrodzie, czy w cukierni. Powinieneś wynosić pod niebiosy dobroć i ludzkość swego zwierzchnika. Można nawet



posłać do mieszkania jego wiązaną kwiatów z napisem: „od bezimiennego, wdzięcznego i całą duszą oddanego”. Może się domyśli, od kogo, a wreszcie: kto nie ryzykuje, ten nic nie ma.

Można w biurze samym puścić się na sentymentalną dysputę o przyjaźni, mówiąc dwuznacznikami, omówieniami, w rodzaju:

— Czasem człowiek, nie wiadomo dlaczego, tak się przywiąże do kogoś, kto nawet o tym nie wie, że życie oddałby za niego. I to właśnie najwyższą sprawia mi rozkosz, że ten umiłowany nic o tym nie wie.

Na naczelnika patrzeć należy z niemym podziwem, uwielbieniem, śledzić każdy ruch jego, „nieświadomie” naśladować jego chód, sposób wycierania nosa, marszczenie brwi.

Jeśli się zwróci z pytaniem lub uwagą, nawet pochwałą, należy być zmieszanym, zakłopotanym w najwyższym stopniu.

5. O ile szef nie jest zbyt mądry, można sobie pozwolić i na następujący kawał. Zastrzegam się, że nie jest on zbyt naiwny, bo jeden

z pracowników zawdzięcza mu dziś swoje poważne stanowisko.

A było to tak:

Ilekroć pryncypał wchodził wieczorem do biura, pracownik ów przekręcał<sup>85</sup> lampę.

Zwróciło to uwagę pryncypała:

— Dlaczego pan to robi? — zapytał.

— Bo jak pan pryncypał wchodzi, to mnie i tak jasno się robi. Więc po co psuć<sup>86</sup> naftę?

\*

Rozumie się, że w drobnej nawet części nie wyczerpałem tu tych wszystkich sposobów, którymi można zwrócić na siebie uwagę nieprzyśiępnego szefa, zmusić go, aby nas widział w powodzi pracowników, aby o nas pomyślał w chwili wakowania awansu, podziału gratyfikacji i w tym podobnych stanowczych momentach życia.

Nie twierdzą, aby rady moje zawsze doprowadzały do pożądanych rezultatów: wiele

---

<sup>85</sup>przekręcał — dziś w tym znaczeniu: przykręcał. Mowa o lampie naftowej, w której można było przykręcić knot, a przez to skrócić go tak, by zmniejszyć płomień. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>psuć — tu: zużywać. [przypis edytorski]

tu zależy od kwalifikacji umysłowych tych, którzy je stosować zapragną w praktyce życiowej. To tylko mogę powiedzieć, że rady te zaczerpnałem od rzeczoznawców, że w tej lub w innej postaci praktykowane są na szeroką skalę, a jakkolwiek nie cieszą się uznaniem ludzi zawistnych, jednakże doskonale dostosowane są do natury ludzkiej, zgodnie z najnowszymi wynikami badań z zakresu psychologii i pokrewnych jej nauk.

## ZDZIŚ

Nie, nie — i nie!

Nie wierzę w wartość starannego wychowania, nie wierzę w siłę zasad pedagogicznych — zupełnie nie wierzę — w nic nie wierzę...

Bo pomyślcie tylko: Zdziś... Kto — ale Zdziś? — przecież to okropne. Żeby kto inny, każdy inny, ale Zdziś... To przechodzi wszelkie wyobrażenie...

Zaraz: powiem wszystko. Proszę tylko o chwilę cierpliwości. Niech trochę ochłonę...

Zdziś był tak starannie, tak troskliwie wychowany.

Jego włoski pięć razy dziennie były czesane i tak wdzięcznie opadały na ramiona. Dwa razy na tydzień zmieniano mu bieliznę, trzy razy na tydzień przychodził nauczyciel gry na skrzypcach.

Zdziś nigdy nie dłubał palcem ani w nosie, ani w torcie, nie wyjadał rodzyneków z bab wielkanocnych, nie bawił się piaskiem, nie brudził rączek, nie walał ubranek ani kremem, ani wisienkami, ani niczym.

Jak on się ślicznie kłaniał, jak on się umiał grzecznie bawić z dziewczynkami, z jaką powagą i uczuciem deklamował wierszyki na imieninach mamy i papy.

Nigdy nie grymasił: rano wypijał kakao z biskoptami, potem siedział na krześle i układał domki z cegieł, potem zjadał kotlecik z białego mięsa, potem przychodziła freblówka<sup>87</sup> na dwie

---

<sup>87</sup>*freblówka* — tu: przedszkolanka. Nazwa pochodzi od systemu pedagogicznego, którego twórcą był Friedrich Fröbel (1782–1852). Podkreślał on specyficzne potrzeby dziecka i postulował edukację przedszkolną przez zabawę, śpiew i taniec, opracował też projekty zabawek edukacyjnych. [przypis edytorski]

godziny. Przed obiadem wychodził z mamą na wizyty lub za sprawunkami. Potem jadł obiad. Znow się grzecznie bawił, albo miał lekcję konwersacji francuskiej, albo grał na skrzypcach. Potem jadł kotlecik na podwieczorek. Wieczorem jadł z rodzicami kolację, albo szedł do teatru na operetkę.

Było to dziecko tak rozumne, wykwiłtne, starannie wychowane, wrażliwe.

Oddano go do szkół.

Wrócił raz do domu z guzem na czole. Ojciec był zagniewany na szkołę, a matka płakała i chciała go już w domu kształcić.

Innym razem wrócił ze szkoły i przy stole, przy rodzicach, zapytał:

— Mamusiu, co to jest „psiakrew”?

Matka dostała spazmów.

— Zgubiono mi dziecko, skalano, zdeprawowano — wołała wśród płaczu.

Kazano Zdzisiowi wyplukać usta eliksirem i raz na zawsze zabroniono mu nie tylko mówić, ale myśleć nawet o czymś podobnym.

— Jeżeli Zdziś raz jeszcze powie coś podobnego, to Zdzisiowi język odpadnie, a mama umrze.

Mama pytała:

— Dziecko ukochane, dziecko nieszczęsne — gdzie usłyszałeś ten ohydny wyraz?

— W szkole.

Mama pytała:

— A któż powiedział ten ohydny wyraz?

— Kolega.

Matka wsiadła w dorożkę na gumach<sup>88</sup> i w koronkowej zarzutce pojechała do dyrektora szkoły.

— Żądam — wołała — by ten chłopiec, który szerzy zepsucie w klasie, był wydalony natychmiast.

— A cóż on takiego powiedział? — zapytał dyrektor.

---

<sup>88</sup>*dorożka na gumach* — dorożki, pełniące rolę dzisiejszych taksówek, dzieliły się na dwie kategorie w zależności od budowy ich kół: starsze miały koła z metalu, więc tocząc się po bruku hałasowały i trzęsły, a nowsze i bardziej luksusowe jeździły na kołach z gumy. Opony pneumatyczne wynaleziono w 1846 r., a do masowej produkcji weszły w końcu XIX w. [przypis edytorski]

Matka Zdzisia przysięgła, że za nic w świecie nie ośmieli się wypowiedzieć zbrodniczego wyrazu. Stało na tym, że napisze na skrawku papieru. Drżącą ręką napisała „psiakrew” — i zemdląca.

Dyrektor obiecał, że ukarze ucznia, ale wydaląc go nie chciał.

Zdzisia ostatecznie już postanowiono nadal kształcić w domu. Mały płakał. Wówczas dla pocieszenia wzięto go na operetkę, a potem do restauracji na kolację.

Zdziś uczył się w domu, czytał zbrodnie w kurierze i powiastki dla grzecznych dzieci, deklamował wierszyki podczas imienin i innych uroczystości rodzinnych, pił kakao i chodził z rodzicami do Filharmonii i na operetki do teatru. Poza tym bawił się z dziewczynkami i tylko z jednym dobrze wychowanym chłopczykiem z przeciwka.

Mama nawet perfumowała Zdzisia, to jest nie jego, tylko jego aksamitne ubranko z białym kołnierzem. A ciocie całowały Zdzisia w rączki i w buzię i przynosiły mu czekoladki i książ-

żeczki z powiastkami dla grzecznych dzieci z kolorowymi obrazkami.

To dziecko otoczone było taką pieczołowitą, kobiecą opieką i miłością.

Kiedy Zdzisio skaleczył się w paluszek i zobaczył krew — tak zbladł, że trzeba było wezwać dwóch doktorów — i szczęśliwie go wyleczyli.

Postanowiono, że Zdziś będzie dyrektorem albo fabryki, albo banku, albo wszystko jedno czego, byle nie potrzebował pracować, ani stykać się z ludźmi źle wychowanymi.

Jedną z dziewczynek Zdziś nazywał swoją narzeczoną i za własne pieniądze kupił jej bukiet. Rodzice dziewczynki trochę się śmiali i trochę byli zadowoleni z afektów starannie wychowanego Zdzisia, który nic sam nie brał, tylko o wszystko prosił, ale się nie napierał.

Kiedy Zdziś miał lat piętnaście, pozwolono mu po raz pierwszy wyjść na ulicę w towarzystwie owego starannie również wychowanego chłopca — bez kogokolwiek ze star-



szych osób. Dla upamiętnienia tego znamienego dnia wzięto go wieczorem na operetkę.

O, Zdziś był już wówczas zupełnie dojrzałym młodzieńcem, starannie wychowanym i nad wiek rozwiniętym, tylko anielsko naiwnym.

Zapytał raz matkę w Dolinie Szwajcarskiej<sup>89</sup>:

— Dlaczego niektóre panie przychodzą tu same, a potem dopiero przysiadają się do stolików swoich mężów i tak wesoło rozmawiają?

Mama odpowiedziała:

— Dla żartów te panie tak robią.

Mama cieszyła się, że do szesnastego roku życia uchroniła biel konwalii — Zdzisia, opowiedziała z tryumfem o owym wypadku dwunastu ciociom, i nazajutrz jedna z cioć wzięła Zdzisia w nagrodę na operetkę i sama wieczorem odstawiła go aż do mieszkania do samego przedpokoju.

---

<sup>89</sup>*Dolina Szwajcarska* — ten park w Warszawie był w XIX w. o wiele bardziej popularny niż dziś, często odbywały się tam koncerty, spektakle, pokazy i zabawy, w altankach urządzone były cukiernie i jadłodajnie, a zimą funkcjonowało tam lodowisko. [przypis edytorski]

Zdziś bardzo wiele czytał, ale wielu rzeczy wcale nie rozumiał, więc czytanie zepsuć go nie mogło.

Zdziś sześć razy dziennie jadał mięso, bo był blady, mimo spacerów z mamą albo guwernerem<sup>90</sup>. Zdziś mówił po francusku jak Coquelin<sup>91</sup>, deklamował jak Kotarbiński<sup>92</sup>, grał na skrzypcach jak Barcewicz<sup>93</sup>, tańczył jak Krzesińska<sup>94</sup>, a ułożenie i ruchy przypominały Ludwika XIV<sup>95</sup> zupełnie...

---

<sup>90</sup>*guwerner* (z fr. *gouverner*: zarządzać, kierować) — prywatny nauczyciel, wychowawca. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>*Coquelin* — rodzina fr. aktorów: Benoît Constant Coquelin (1841–1909), jego brat Alexandre Honoré Ernest Coquelin (1848–1909) oraz jego syn Jean Coquelin (1865–1944). [przypis edytorski]

<sup>92</sup>*Kotarbiński, Józef* (1849–1928) — warszawski aktor i reżyser, wykładowca dykcji i deklamacji w szkole dramatycznej, autor studiów z dziedziny krytyki literackiej, redaktor czasopisma „Kolce”, w którym pierwotnie ukazywały się zawarte w niniejszej książce felietony Janusza Korczaka. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>*Barcewicz, Stanisław* (1858–1929) — sławny skrzypek, pedagog i dyrygent, uważany za jednego z najwybitniejszych wirtuozów skrzypiec. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>*Krzesińska, Matylda* (1872–1971) — wybitna tancerka polskiego pochodzenia, uhonorowana tytułem *Primaballerina absoluta* baletu w Petersburgu, słynna także ze swoich romansów z mężczyznami z rosyjskiej rodziny panującej. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>*Ludwik XIV Wielki* (1638–1715) — król Francji z dynastii Burbonów, zwany Królem Słońce (fr. *le Roi-Soleil*). Za jego długiego panowania (72 lata) Francja, a zwłaszcza dwór królewski w Wersalu, stały się europejskim wzorcem elegancji. [przypis edytorski]

I ja mam jeszcze wierzyć w wychowanie, gdy dowiedziałem się od zupełnie wiarogodnej<sup>96</sup> osoby, że Zdziś, mający dziś lat dwadzieścia sześć, przegrał w klubie w karty bardzo znaczną sumę, sfałszował podpis ojca, zdefraudował powierzoną mu sumę i drapnął nie wiadomo gdzie, w dodatku podobno nie sam?

— Nie — nigdy, przenigdy!...

## SŁUŻBA DOMOWA

Wychodząc z założenia, że służba domowa pism nie prenumeruje, że byt pisma naszego opiera się na życzliwości ku nam pań i panów, tych ostatnich będę miał wyłącznie na uwadze w niniejszym traktacie społecznym, co ani dziwić, ani tym bardziej oburzać nikogo nie powinno.

A więc:

Dążeniem naszym być winno, aby drogą czy krzyżowania, czy doboru naturalnego, czy prawa przystosowania, aby — słowem — wytworzyć typ, czy gatunek istot idealnych, do-

---

<sup>96</sup>wiarogodny — dziś popr.: wiarygodny. [przypis edytorski]

skonale odpowiadających naszym wymogom fizjologicznym, psychologicznym, artystycznym, estetycznym, pornograficznym, materialnym, kulturalnym i egoistycznym. Jest to ideał, ku któremu dążyć winniśmy całą siłą pary, elektryczności i innych sił, znanych lub nieznanymi w naturze.

Ideałem może być zarówno para całych spodni, jak kamienica, student, łyżwy, cygaro hawańskie, nóżki baranie, własna apteka, pinczer, monopol, pocałunek, główna wygrana, mięso bez kości lub posażna żona. A droga wiodąca do ideału jest trudna, powiedziałbym nawet, najeżona przeciwnościami.

Nie powinno nas to jednak zrażać do pracy, albowiem jej celem jest dobro przyszłych pokoleń, a nie ma nic piękniejszego na świecie nad warszawianki, koncerty mistyczne i pracę dla przyszłych pokoleń. One to pożywać będą makagigi<sup>97</sup> naszych usiłowań, spijać wodę em-

---

<sup>97</sup>*makagigi* a. *makagiga* — ciasteczko z cukru, miodu, maku i orzechów; tu w znaczeniu przen.: deser; to, co najlepsze. [przypis edytorski]

ską<sup>98</sup> naszych parć ducha, spoczywać wygodnie na edredonach<sup>99</sup> naszych prężeń myślowych.

Nie gniewajcie się, że odbiegłem od przedmiotu. Czynię to zawsze, ilekroć porwie mnie zapal krasomówczy, uniesie urok obranego tematu lub zmusi mus napisania z góry określonej, a często i opłaconej z góry, liczby wierszy...

Ad rem<sup>100</sup>.

Idealna służąca powinna być istotą astralną. Nie sądźcie jednak, aby miała być siłą bez ciała i formy. Zbyt cenię upodobania panów i paniczów, by w tak brutalny sposób deptać ciągnące się od wieków ich prawa i przywileje. Wyraziłem się może nie dość ściśle: żądam bowiem tylko, by służąca nie miała ani krewnych, ani znajomych, ani tym mniej, przyja-

---

<sup>98</sup>*woda emska* — wysokozmineralizowana woda pochodząca ze źródeł w kurorcie Ems (Bad Ems) w pld.-zach. Niemczech, stosowana w leczeniu astmy i innych chorób dróg oddechowych. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>*edredony* — tu: puchowa pościel, wykonana z piór jednego z kilku gatunków kaczek edredonów (łac. *Somateriini*), ptaków żyjących na morskich wybrzeżach w bardzo zimnym klimacie. Samice tych kaczek wrywają sobie puch (drobne piórka), aby zbudować gniazdo; ten puch był od wieków zbierany przez ludzi i ceniiony jako wyjątkowo miękki i ciepły. Robiono z niego pościel, a nawet ubrania. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>*ad rem* (łac.) — do rzeczy. [przypis edytorski]

ciół. Wszelkie węzły pokrewieństwa dlatego właśnie zwą się węzłami, że wiążą istotę z osobami, zupełnie obojętnymi dla osoby, która ma wszelkie prawo rozporządzać czynami, myślami, uczuciami, losem, nosem i całą postacią, wynajętą do wszystkiego razem lub do pojedynczych czynności zawilego gospodarstwa domowego.

Służąca nie powinna mieć matki, sióstr, kuzynek, siostrzenic, bratanek, którym by mogła, lub tylko chciała, dać cośkolwiek z dóbr swych własnych lub swych chlebodawców. Każdy bowiem podarek uszczuplałby jej fundusze, które winny być obracane na własne potrzeby, by nie chodziła brudno lub obdarto, a zawsze czysto i wytwornie. (Wyjątek: o ile pani domu jest zazdrosna).

Ojciec, bracia, kuzyni, siostrzeńcy lub bratankowie są anomalią, niezgodną ze współczesnymi pojęciami, ani duchem czasu. Jak dalece rażącym być musi ich istnienie, dowodzi fakt, wielokrotnie stwierdzony, że same służące nie

przyznają ich istnienia, wypierając się ich kategorycznie.

Wszelkie przyjaźnie i znajomości, stwarzając cały nieskończony szereg pokus, służąc znakomicie sprawie roznoszenia plotek, niebezpieczne zarówno dla służby, jak i dla chlebodawców, nie mają najmniejszej racji bytu, i jako takie, obce być winny owym istotom astralnym.

Nie chcąc narażać się na śmieszność, wieniem przemilczeć, że pragnę, by astralne ideały nie okazywały żadnych dążeń ku uprzyjemnieniu sobie czasu, ustaleniu lub polepszeniu bytu. Chcąc na przykład wyjść za mąż, trzeba mieć narzeczonego, chcąc mieć narzeczonego, trzeba poznać mężczyznę, a żeby go poznać, trzeba gdzieś u kogoś zobaczyć po raz pierwszy i rozmawiać... Och! Ileż to razy owi nikczemnicy wyłudźali ciężko zapracowany grosz niešťczęsnej ofiary; och, ach? czyż nie czytaliśmy, że nawet namawiają niedoświadczone, proste dziewczyny do kradzieży; och, ach, uch, ich! — nawet do zbrodni! Kuchnia raz na zawsze

winna być zamknięta dla narzeczonego astralnej służącej — westalki domowego znicza.

Powiedziałem: westalki!

O tak! Poza potrzebami ducha: gotowaniem, czyszczeniem klamek, praniem, ścieraniem kurzu, myciem rondli, cerowaniem skarpetek, słaniem łóżek, paleniem w piecach, usługiwaniem do stołu, poza owymi duchowymi rozkoszami, służąca nie powinna i nie może mieć żadnych innych potrzeb duchowych, a tym mniej — cielesnych. Żywność drożeje i drożeć będzie ciągle, westalka astralna winna mieć apetyt coraz mniejszy. I wszystko w tym samym stosunku.

Winna być zdrowa — to grunt. Silna, zwinna, roztropna, wesoła, młoda, ładna, niewinna, i będzie taką, jeśli za radą naszą pójdź zechce.

Winna być niewinna, rzekłem, ale i uległa woli chlebodawców! Poza tym może pozwolić się uszczypnąć w policzek rzeźnikowi, o ile ten w zamian da jej pierwszą krzyżową nie od ogo-  
na i kość na dokładkę.



Winna być niewinna, powtarzam. Czyż nie ona pozostaje z dziećmi, gdy rodzice wychodzą wieczorem? Czyż nie ona odprowadza pannienkę z pensji lub na pensję, z tańców lub na tańce, z kinderbalu lub na kinderbal? Ooooo! to zaufanie, którym darzą ją chlebodawcy — czyż nie jest alpejskim nektarem elektrycznej wibracji szczęścia dla astralnej istoty?!

Astralna służąca winna mieć słuch i wzrok tak wysubtelnione, by najcichszy rozkaz słyszała i najmniejszy pyłek pod najciemniejszą szafą, w najodleglejszym kącie o zmierzchu, zarówno jak najlżejszy cień niezadowolenia w oczach swych chlebodawców, widziała. Winna być zarazem głucha i ślepa na to wszystko, co dotyczy tajemnic domu. Niemą winna być zawsze, za to wymowną na targu, w walce zażartej z przekupkami i w sklepikach.

— Czy wszystko?

— Nie — odpowiadam bez wahania.

Nakreśliłem zaledwie szkic niedokładny, który winien ulec zmianom, uzupełnieniom, zastrzeżeniom.

Jak rzekłem, trudno stworzyć ideał — niełatwo stworzyć go nawet w wyobraźni.

Ot, zapomniałem dodać:

Służąca astralna może nie umieć czytać!

## SALON

Działo się to w pra-pra czasach. Było to strasznie dawno. Żaden dokument, żadne podanie czasów tych nie sięga. Gdzie dziś są morza, były wówczas lądy, a gdzie dziś wznosi się dumny gmach Filharmonii — bujały swobodnie reki-ny. Nie było wówczas ani szkół handlowych dla kobiet, ani miast, ani projektu trzeciego mostu na Wiśle, ani lekarstw na porost włosów, ani modernizmu.

Wśród niebotycznych lasów, których nie sprzedawała szlachta, bo jej jeszcze wcale nie było, a i sprzedaży nie znano jeszcze, wśród lasów, których nie wycinali Żydzi, ani Niemcy, bo i tych nie było wówczas, porozrzucane były wioski. Każdy mieszkaniec miał chatkę, z jednej obszernej i widnej składającą się izby, kawał

roli i kilka sztuk bydła. Raz do roku dzielono obszar całej wsi, bo ten, kto liczniejszą rodzinę posiadał, więcej dostatku i większą otrzymywał izbę. Gdy się żenił chłopak, cała wieś szła na jeden dzień do roboty, by go ogospodarzyć: takich dni, z góry wyznaczonych, było w roku kilkanaście. Poza tym, nikt nikomu nie pomagał, a każdy wszystko robił dla siebie: był rolnikiem, krawcem, szewcem, kowalem, kołodziejem — wszystkim. Swarów żadnych nigdy nie było.

Wieczorem, po pracy, zbierali się latem na polance i rozmawiali: temu to się zepsuło, tamtemu owo, ten wtedy spodziewa się przychówka lub potomka, a tamten wtedy. Ale byli i ludzie, którzy ładnie mówili i tych chętnie słuchano. Chętnie słuchano i tych, którzy głosem naśladowali leśnych ptaków śpiewanie. Inni znowu ciekawe rzeczy opowiadali: a to, że sok tej i tej rośliny pomaga na bóle brzucha, a to, że pług głębiej w ziemię wchodzi, jak mu się dziób zakrzywi, a to, że lepiej krowę doić w ten, albo inny sposób. Wynalazca mówił tak:

— Przyszło mi to do głowy, spróbowałem, i wyszło dobrze. Więc może to i co warte.

— Ano dobrze, można spróbować — odpowiadano.

I po pewnym czasie przyjmowano nowość lub odrzucano.

Potem zbudowano dużą izbę, gdzie się w ziemi można było zbierać. I powoli różne robiono ulepszenia...

Aż tu biesy zobaczyli, że jakoś zanadto się postępowanie między ludźmi podnosi, więc gwałt podnieśli wielki i naradę walną zwołali.

— Co zrobić — powiadają — aby zepsuć to wszystko, co ludzie zrobili?

Ten radzi to, ten owo, ale wszystko jakoś były niedobre. Aż tu wstaje jeden diabeł kusy, z wielkimi uszami, gapowaty, i powiada:

— Puśćcie mnie na ziemię. Zobaczycie, że im wszystko popsuję.

A biesy w śmiech, bo to był najgłupszy diabeł i nazywał się Afron.

— Ano, mówią, idź, niech ci skórę wygarbują.

A trzeba wiedzieć, że w on<sup>101</sup> czas diabły nijakiej jeszcze nad ludźmi władzy nie mieli.

Zeszedł tedy ów diabeł na ziemię i do wsi przyszedł.

— Jestem — powiada — z daleka, chcę być z wami.

Akurat nazajutrz miał być podział roczny ziemi. Więc dano mu jedną izbę i kawał roli, i Afron pracować zaczął. I tak trwało parę tygodni.

Aż raz wieczorem na zebraniu, powiedział Afron:

— Już jutro do was nie przyjdę wieczorem, bo będę sobie drugą izbę budował.

Zdziwili się wszyscy:

— A po co ci druga? — pytają.

— Zobaczycie, jak skończę.

I ciekawość ogarnęła wszystkich.

A Afron zwawo wziął się do roboty. Rąbał, piłował, rznął, aż mu pot ciurkiem leciał z czoła. Dziwili się ludzie, że przybysz, zamiast wieczorem odpoczywać razem z innymi, biedzi

---

<sup>101</sup>w on czas (daw.) — wówczas, w tym czasie. [przypis edytorski]

się nad swoją drugą izbą. Dziwili się także, że ten przybysz nie je tyle, ile wszyscy, tylko co dzień jeden ser odkłada na bok i jedną miarkę mąki odsypuje, a chleba z niej nie robi.

Nareszcie stanęła izba duża, że w niej dużo osób mogło się pomieścić, a w tej izbie dużo ław.

— Co to z tego będzie?

— Jutro niech wszyscy do mnie przyjdą, to zobaczą.

Zebrali się wszyscy, bardzo ciekawi. A tu Afron tymczasem poukładał na stole wszystkie sery i dużo chlebów z tej zaoszczędzonej mąki — i mówi:

— Widzicie, tę izbę ja na to zbudowałem, żeby was ugościć.

Zdziwili się wszyscy ogromnie, i jakoś im się zrobiło nieprzyjemnie.

— Więc on tyle się nabiedził, naorał i nagłodził dla takiego głupstwa?

— A przecież my mamy nasze izby i nasz chleb — rzekli.

— Ale ja was kocham i chcę mieć was u siebie i ugościć.

Pogłupieli wszyscy. Usiedli, zakłopotani. A gospodarz tak nalegał, że choć z niechęcią, jednak jedli trochę. Dziwnie im było: oto jedli to, czego nie zapracowali.

Ten pokój, wybudowany przez Afrona, był to pierwszy *salon*, a te sery i chleby — pierwszy *poczęstunek*.

Wiedział Afron, co robi. Oj wiedział, psia wiara.

Nie od razu ludzie go naśladować zaczęli, ale gadali, myśleli. A bies ich drugi i trzeci raz do siebie prosił i taki był rozradowany, kiedy jedli jego sery i jego chleby, że ludzie pomyśleli w końcu:

— Musi to być widać wielka przyjemność, kiedy mi ktoś mój chleb zjada.

I zaczęli próbować między sobą:

— Na, masz, jedz, zobaczę, czy się będę cieszył.

Ale ani ten, który zjadł, ani ten, któremu zjadano — żadnego zadowolenia nie odczuwa-

li; choć zawsze pierwszemu było trochę przyjemniej, chociaż znów wstyd trochę.

I tak długo próbowali, aż na koniec nie wiedzieli już, kto komu więcej chleba zjadł, i chociaż nie było swarów, ale było pewne ciche zadąsanie.

Kiedy przy końcu roku znów wydzielano ziemię, to nie wiedziano, co zrobić z Afronem: przecież on miał dwie izby. Ale Afron prosił, żeby sobie nie robiono kłopotu, że on chętnie gdzie indziej znów swój salon dobuduje. Ale komu dać te dwie izby? Afron radził, żeby je dać temu, kto ładnie mówi, bo do niego przyjemnie będzie przychodzić. Zapomniałem dodać, że ten, który ładnie mówił, był protoplastą poetów. I znów po roku Afron ustąpił swoje dwie izby i radził je dać temu, który wymyślił sposób, żeby koniom nie pękały kopyta. I po dwóch latach już były we wsi tej trzy salony, i ludzie powoli przyzwyczaili się jeść niezapracowany chleb, i wynosić<sup>102</sup> zasługę, a poeta i wynalazca poczuli swą wyższość nad ogółem

---

<sup>102</sup>wynosić (tu daw.) — wywyższać, cenić. [przypis edytorski]



swoich bliźnich. A przecież to, co Afron zrobił, wyglądało tak niewinnie.

Dwadzieścia lat pracował Afron, nim udało mu się przekonać mieszkańców, że lepiej karmić wynalazcę swoim chlebem, byle on wymyślał różne ulepszenia:

— Orać i doić krowy każdy z nas przecież umie — mówił Afron — więc szkoda, żeby on tracił czas na takie rzeczy. Niech on lepiej ma dużo czasu, to będzie mógł wymyśleć<sup>103</sup> więcej rozmaitych ulepszeń.

Wszyscy rozumieli, że tak jest. Więc po pięćdziesięciu latach był już jeden taki we wsi, który nie orał, tylko wymyślał ulepszenia w narzędziach rzemieślniczych i za to dostawał wszystko gotowe; był drugi, który tylko leczył niedomagania różnymi lekami i za to dostawał wszystko od innych, bo już nie miał czasu ani na orkę, ani na pieczenie, ani na szycie, ani na ciesielkę; był trzeci, który tylko pięknie naśladował głosy ptaków i całe dni chodził po lesie i słuchał ptaków, a jadł chleb od innych, bo wszyscy po-

---

<sup>103</sup>wymyśleć — popr.: wymyślić. [przypis edytorski]

zostali więcej teraz chleba z ziemi musieli wyciągnąć i więcej chlebów upiec, niż sami zjeść mogli.

Rozumie się, że postęp teraz coraz bardziej wzrastał i prędzej się podnosił, bo każdy robił to, do czego miał więcej zdolności.

Afron mógł spokojnie umrzeć, to znaczy wrócić do swoich biesów. Dostał on order, bestia...

Rozumiecie teraz sami, co się dalej działo. Teraz każdy zaczął już żyć nie ze swojej pracy, ale ze swoich zdolności. Może by to jeszcze nie było tak złe, gdyby nie salon i poczęstunki, które znowu uczyły ludzi jeść bez pracy i bez zdolności, ot, tak sobie, z łaski na uciechę.

Stosu papieru potrzeba na to, żeby powoli i w porządku opowiedzieć, jak to z pierwszego wynalazcy powstały biura patentowania wszelkich ulepszeń i reklamowanie niezawodnych środków na usuwanie zmarszczek; jak to z owego pierwszego lekarza wytworzyli się tacy, którzy dzięki sprytowi zdobyli rozgłos — bo już potem jeden człowiek tak mało znał się

na tym, co robi drugi, że nie umiał ocenić ani jego rozumu, ani zdolności, ani uczciwości; jak to z pierwszego człowieka, który „ładnie mówi” powstał poeta, który ma gorsze natchnienie po trzy kopiejki od wiersza i lepsze po dziesięć kopiejek, jak to powstał powieściopisarz, dziennikarz, reporter, wydawca, premia bezpłatne, konkursy i krytycy; jak to z owego pierwszego naśladowcy pienia ptaków powstał Battistini<sup>104</sup> i histeryczki<sup>105</sup> teatralne; jak to specjalizacja doszła do tego, że ludzie jedzą chleb za to, że szlachetnie gadają, łapią lub bronią złodziei, stręczą mamki<sup>106</sup> z dobrym pokar-

---

<sup>104</sup>*Battistini, Mattia* (1856–1928) — sławny włoski śpiewak, zwany królem barytonów, był częstym gościem w Warszawie na początku XX w. w czasie swoich licznych *tournées* po Rosji. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>*histeryczki teatralne* — w II poł. XIX w. popularność gwiazd teatru i muzyki stała się zjawiskiem masowym, do dobrego tonu należało przesyłanie sławnym artystom kwiatów i prezentów, a najbardziej zagorzałe wielbicielki zachowywały się jak obłąkane, krzyczały i mdlały podczas spektakli, próbowały wdrzeć się do garderoby ulubieńca, wyrwać fragment jego ubrania na pamiątkę itp. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>*stręczą mamki* — mowa o pośrednikach, u których bogata dama mogła dla swojego nowo narodzonego dziecka wynająć mamkę, aby ta karmiła niemowlę piersią. Mamki rekrutowały się z biednych rodzin, często musiały oddać lub zanieczyścić własne dzieci. [przypis edytorski]

mem, sprzedają bilety przed teatrem, podrzucają woreczki lub znaczą chustki do nosa<sup>107</sup>.

Grubych foliałów potrzeba na to, aby opowiedzieć, jak to na tle owego pierwszego salonu wyrosły diabłu na uciechę meble stylowe, dywany, kandelabry, portiery, palmy, flirty, perfumy, pieczeniarze, zbioriki poezji w złoconych oprawach, albumy z pocztówkami, mężowie z rogami, i ta cała mnogość tego wszystkiego, na co człowiek dzisiejszy patrzy tak, jakby to wszystko było bardzo potrzebne do życia.

## TAKSATOR

Było to w owym krótkim okresie mego życia, gdy wszędzie szukał zawziętych tematów, epizodów i typów do moich olśniewających powieści, zdumiewających nowel i dynamitowych studiów psychologicznych.

---

<sup>107</sup>*znaczą chustki do nosa* — dawniej chustki do nosa były wielokrotnego użytku, robiono je z tkaniny i wyszywano na nich znaczki rozpoznawcze, najczęściej inicjały właściciela, aby praczka wiedziała, komu je oddać po upraniu (podobnie postępowano z bielizną, pościelą, ręcznikami itp.). [przypis edytorski]

Żebrak — wspaniały typ; pijak — bajecznie ciekawy okaz; właściciel garkuchni, garkuchnia — wstrząsająco ciekawe środowisko.

W owym to czasie zastawiłem w lombardzie zegarek pamiątkowy, pierścionelek nie mniej pamiątkowy, palto już nie pamiątkowe i postanowiłem napisać niezmiernie genialną powieść na tle lombardowych stosunków.

Szczęściem dla mnie, a zapewne i dla czytelników, bardzo rzadko powieści owe zaczynałem, a już zupełnie nigdy nie kończyłem.

Bądź co bądź, pozostałe z młodzięczych czasów notatki sprzedają dziś oto po parę kop.<sup>108</sup> od wiersza...

Taksator lombardu był stary, siwy, łysy, pomarszczony i zawsze pogodnie uśmiechnięty.

— Mój panie — rzekłem raz, dobrodusznie niby, a w gruncie rzeczy polując nań, jak na bohatera owego nowego arcydzieła, które miało mi dać sławę, dwa pomniki, jedną nie-

---

<sup>108</sup>*kopiejka*, w skrócie *kop.* — rosyjska jednostka monetarna, jedna setna rubla.  
[przypis edytorski]

śmiertelność i *engagement* do trzech, płacących sute honoraria, czasopism.

— Mój panie — rzekłem — zajęcie pańskie jest niezmiernie nużące i jednostajne. Nie masz pan ze swej pracy żadnego moralnego zadowolenia, gdyż lombard należy do najpodlejszych i najbardziej wzgardzonych przedsiębiorstw. Powiedz mi pan łaskawie, czemu to się dzieje, iż wyglądasz na człowieka zupełnie zadowolonego z życia, że podrzędną swoją czynność wykonywasz<sup>109</sup> z taką pogodą, zadowoleniem, powiedziałbym nawet, zapałem.

Uśmiechnął się swym pocziwym, pogodnym uśmiechem i rzekł:

— Masz pan słuszność. Jestem taksatorem z powołania, jestem z Bożej łaski taksatorem; zajęcia mego, które nazywasz pan podrzędnym, nie oddałbym za żadne inne, nie zamieniłbym go na tekę ministra. Dziwi to pana — prawda?

W samej rzeczy byłem nad wyraz wszelki zdziwiony.

---

<sup>109</sup>*wykonywasz* — dziś częstsza forma 2 os. lp. cz.ter.: wykonujesz. [przypis edytorski]

— Powiadasz pan, że lombard cieszy się złą opinią w społeczeństwie? Wiem o tym. Jest to opinia błędna. Lombard jest akademią wychowawczą narodu; uczy go dwóch ważnych prawd: że istnieją przedmioty bardzo kosztowne i zgoła bezwartościowe — to raz; że bardzo łatwo jest pożyczyć pieniędzy, ale bardzo trudno je zwrócić — to dwa. Że ludzie z nauk lombardu — pedagoga nie umieją korzystać, nie nasza wina. Czym jest pierścionek, broszka, kolczyk? Świecidełkiem Patagończyka. Czym jest salon, ładna i głupia żona, suknia muślinowa, poeta — nastrojowiec, tuberoza? Świecidełkiem kosztownym, i bezmyślnym. A ludzie mają to, kupiwszy za drogie pieniądze, pieczęcią, przywiązują się do błyskotek, aż to zanoszą do nas, by się przekonać, że były to zabawki, bez których łatwiej nawet żyć na świecie. Tym samym jest sława, honory, zaszczyty, stosunki w świecie, order i medale, hołdy, ukłony i koligacje. A pan, który zastawiłeś już dwa złote graty, czemu przychodzisz teraz z paltem; cze-

mu okłamujesz się, że je wykupisz, czemu nie urządziłeś tak swego życia, by rzeczy potrzebnej naprawdę — nie zastawiać? Wydatki i kredyt — rozumne — to bogactwo narodu i jego przyszłość.

Poczęstował mnie papierosem i ciągnął dalej.

— Lombard to życie, panie kochany. Co raz zastawisz, tego już nie wykupisz. Każdy człowiek, gdy młody, ma skarbiec cały ideałów, które powoli zastawia, zastawia, zastawia — byle żyć. Zaczyna od tych ideałów, do których najmniej przywiązuje wagi, które nie są mu drogą spuścizną, a potem... Za cenę wygod, chwilowych podnieceń, gabinetowych<sup>110</sup> uciech i tryumfów — zastawia uczciwość, cnotę, honor, godność — wszystko. Z początku płaci procenty, potem zalega — nareszcie fant idzie na licytację, i oto dumę kupuje sobie lichwiarz, którego stać na to, odwagę cywilną kupuje so-

---

<sup>110</sup>*gabinetowe uciechy i tryumfy* — mowa o gabinetach, tj. dyskretnie urządzonych salkach w restauracjach, gdzie panowie odbywali schadzki z kobietami, które uwodzili lub opłacali (obyczaj rozpowszechniony w XIX w. w całej Europie). [przypis edytorski]



bie bankier — spekulant, i kręci się wszystko w kółko, w kółko, w kółko... I naród zastawia tak swoje ideały... Lombard — to wielkie, wspaniałe obserwatorium społeczne.

Zajrzał do książki, wstał, wszedł do sąsiedniego pokoju i przyniósł dwa małe przedmioty.

— Widzisz pan ten krzyżyk? Po raz pierwszy był on zastawiony przez kobietę, zapłakaną, w żałobie. Wykupiła go. Po latach dwudziestu zastawił go młodzieniaszek i nie zapłacił ani jednej raty. Sprzedaliśmy krzyżyk. Po latach szczęściu przyniosło go znowu bardzo smutne dziewczę, z niemowlęciem na ręku... Widzisz pan ten sygnet? I on był zastawiony dwa razy, przez ojca i przez syna. Za tydzień będzie licytacja: znów go ktoś kupi i znów go kiedyś przyniesie... dziwi pana, że ja pamiętam historię tych dwóch przedmiotów? Otóż to właśnie: bo mnie wszystko zajmuje, interesuje, przykuwa — bo jestem taksatorem — istotą myślącą, a nie maszyną martwą, bo jestem taksatorem — artystą... Znam każdego człowieka, który tu wchodzi, wiem, co przynosi, dlaczego zastawia,

ile razy procent zapłaci, jak doszedł do posiadania przedmiotu, co się z nim stanie — wszystko wiem, wszystko mnie interesuje, i dlatego życie moje nie jest monotonne, ani zajęcie moje — nudne.

Zapomniałem, że taksator ma być bohaterem mojej powieści, słuchałem ze zdumieniem.

— Każdy z ludzi jest taksatorem, tylko jeden jest lichy, a drugi dobry. A pan czy nie taksujesz ludzi, sytuacji? Czy nie taksujesz pan moralnej i intelektualnej wartości człowieka? Czy nie taksujesz pan jego wartości w stosunku do społeczeństwa i do pana? Taksujemy urodę, zdolności, uczucia, wysiłki, ideały, prawa, dążenia — wszystko — wszystko. Każdy człowiek powinien być przez lat kilka taksatorem w lombardzie; taksatorstwo winno wejść w kurs wykładów szkolnych — bez tego nie można być ani pożytecznym, ani rozsądnym... Gdybym nie był starym kawalerem, gdybym miał synów, przejąłbym synów moich takim zapałem do mego zawodu, że wszyscy byliby taksa-

torami w lombardach. A pan, pan powiadasz, pan się dziwisz, że jestem zadowolony ze swego losu, że jestem zawsze uśmiechnięty... Panie drogi, ja znam wartość życia i ludzi, umiem wybaczać błędy, kochać ich wysiłki. Ileż to razy przychodzi ktoś płacić procent, a ja myślę wówczas: „biedaku, po co się łudzisz, po co się oszukujesz? Nie wykupisz, nie wykupisz, biedoto”. I pan nie wykupisz ani zegarka, który otrzymałeś w jakiejś uroczystej chwili swego życia, ani pierścionka pamiątkowego. I wiele — wiele zastawisz pan w lombardzie życia. Pan jesteś Polakiem.

— Pan skąd wiesz to wszystko? — zapytałem, zdumiony do najwyższego stopnia.

Uśmiechnął się łagodnie.

Ktoś wszedł. Podał mi rękę na pożegnanie...

Umyślnie teraz dopiero nadmieniam, że mieszkałem wówczas w Paryżu, a co zatem idzie — taksator ten był Francuzem.

Wróciłem do kraju.

Widziałem wielu techników, adwokatów, lekarzy, nauczycieli, kupców, literatów — każdy niemal przeklinał swój zawód, zawodził, biadał, skarżył się i ubolewał.

Zrazu nie zwracałem uwagi na dziwne zjawisko. Ale potem zacząłem ich porównywać z taksatorem lombardu paryskiego.

Ludzie zawodów tak zwanych wyzwolonych, ludzie o szerokim zakresie działalności — nie umieli skrzesać z siebie bodaj iskry zapału dla swego zawodu — martwe maszyny, bo za wrzuceniem honorarium — wyrzucali ze siebie, wprawdzie nie pudełko landrynek, jak automat, ale receptę, powieść, poradę prawną, plan — szemat<sup>111</sup> domu. I ani skry natchnienia, tfu! bodaj zapału, tfu! bodaj uczciwego zadowolenia, tfu! bodaj uczciwości zawodowej!... Oj, czy nie za daleko się posunąłem... Nieprzejednanie w formie zadzierania z całym światem i robienia sobie wrogów już zastawiłem w lombardzie życia, choć jeszcze płacę procenty — może wykupię.

---

<sup>111</sup>szemat (z fr. *schéma*) — dziś popr.: schemat. [przypis edytorski]

Nie chcę twierdzić, by u nas postęp dlatego takim nadwiślańskim (kolejowym) krokiem się posuwał, że nie ma w nas umiłowania zawodu lub chęci do pracy w ogóle — bo ja zastawiłem w lombardzie życia chęć wszelkiego twierdzenia kategorycznego. Bądź co bądź, podejrzliwie patrzę na tych pracowników licznych, którzy z westchnieniem mówią o swej pracy. Choć to nikogo do niczego nie obowiązują.

Nota bene — znam bardzo zamiłowanego w swym zawodzie roznosiciela gazet: jest szczęśliwy. Wolałbym być nim, niż sobą.

## LIST OTWARTY

Biedna panno Pcipci!

(Pcipci — zdrobniale od — Irena).

— Więc nie bawią już pani wycieczki, teatry amatorskie ani reuniony<sup>112</sup>?

Uuu, to źle.

A pani dusza jest już jak koks?

---

<sup>112</sup>*reuniony* (z fr. *réunion*: zebranie; zjednoczenie) — zebrania towarzyskie, przyjęcia. [przypis edytorski]

Uuu, to bardzo źle.

I zadaje sobie pani pytania, dlaczego i po co to wszystko?

Oj, panno Pcipci, jak to źle!

Nudzi się pani, panno Pcipci, i pragnie pani, bym cię wyleczył?

Spróbuję:

Znam człowieka, który ma nieznośną żonę, czworo nieznośnych dzieci, nieznośne zajęcie i nieznośnych zwierzchników. (Co prawda, wszyscy *zwierzchnicy* są nieznośni, i dlatego wyraz sam ma źródłosłów: *zwierz*).

A człowiek ów, mimo to wszystko, żyje, pracuje, a nawet — śmieje się czasem.

Jak to być może?

Wszyscy ludzie całego świata, a więc: aptekarze, Chińczycy, hrabiowie, majtkowie okrętowi, panny na wydaniu, aktorzy, fabrykantki aniołków<sup>113</sup>, adwokaci, dyrektorowie filharmonii, głupcy, aeronauci<sup>114</sup>, ajenci od ubezpieczeń, karcjarze, emancypantki, właściciele ma-

---

<sup>113</sup>*fabrykantka aniołków* (daw. pot.) — położna zajmująca się zarobkowo nielegalnymi aborcjami. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>*aeronauta* (daw.) — pilot samolotu, lotnik. [przypis edytorski]

gazynów z gramofonami i cykliści — dzielą się na: zadowolonych z życia i niezadowolonych.

Co robić, aby należeć do grona ludzi, zadowolonych z życia?

Ów właśnie mój znajomy posiada ten rzadki dar, owoc rozumowań i pracy myślowej.

Gdy dzieciśka darły się wniebogłosy, uniemożliwiając panu Michałowi ulubioną poobiednią drzemkę, pan Michał uśmiechał się błogo i szeptał:

— Jak to dobrze, że mam czworo dzieci, a nie — ośmioro.

Gdy żona narobiła panu Michałowi piekła: uśmiechał się pobłaźliwie i myślał:

— A cobym ja robił, gdyby mi tak nagle zmartwychwstała teściowa?

Gdy żona wołała:

— Patrz, w jakich ja chodzę bucikach; patrz, jaki mam kapelusz nędzny; patrz, do czego podobny zakiet Mani i spodnie Kazia?!

Pan Michał uśmiechał się filuternie i prawił:

— Szczęście, że kobiety mają tylko dwie, a nie cztery nogi, że kapelusz nosi się tylko jeden na głowie, że ludzie nie wymyślili, by na zakiecie jeszcze nosić jakiś kosztowny dodatek.

Miał słuszość pan Michał: gdyby natura obdarzyła wszystkie kobiety czterema nogami (dwie pary trzewików), to dwunoga uważaną by była za kalekę. A gdyby dnia pewnego król Edward ukazał się na wyścigach ze specjalnym kapelusikiem na nosie, to wszyscy mężczyźni, a zapewne i kobiety, prócz kapeluszków na głowie, nosiliby mniejsze kapelusiki na nosach. I wówczas śmieliby się z dzikusów, którzy kapeluszy na nosach nie noszą, a dziwaków, nie chcących się poddać zwyczajowi, nie wpuszczalibyśmy do salonów; a może nawet aresztowali za obrazę przyzwoitości publicznej. Rzecz naturalna, wszystko to działałoby się powoli, w ciągu dziesiątków lat.

Pan Michał cieszył się, że rok ma 365 dni, a nie 183, gdyż miałby dwa razy więcej imienin, święconych i choinek; że człowiek ma dwie dziurki w nosie, gdyż osiem dziurek wymagałoby



cztery razy więcej tabaki; że siedzi w biurze tylko dwanaście godzin, a nie — dwadzieścia trzy i trzy kwadranse; że w mieszkaniu jego są tylko karaluchy, pluskwy, pchły i myszy, bo mogłyby być jeszcze szczury, żaby, pająki, aligatory, fortepianistki i śpiewacy.

— Jeżeli mały słowik ma taki duży głos, toć mogłoby być i tak, że jakiś mały robaczek mógłby mieć głos Gasińskiego<sup>115</sup>, albo specjalny aparat, pozwalający w nocy wygrywać gamy, jak Mania na pianinie.

Rozumie pani, Panno Pcipci?

Kiedy panią ogarnie owa beznadziejna nuda, pomyśl sobie pani:

— A gdyby mi tak koń odgryzł mój zgrabny nosek?

Nie ma w tym nic niemożliwego. Toż są na świecie konie. Toć niektóre konie są bardzo złośliwe. Ot, przechodzi pani obok konia. Koń odwraca się, nagle — mach! — krew, krzyk, zemdlenie, pomoc, korespondencja: „Niezmier-

---

<sup>115</sup>*Gasiński, Edmund* (1860–1924) — aktor teatralny i kabaretowy (a od 1916 r. także filmowy), śpiewak, tancerz, reżyser teatralny. [przypis edytorski]

nie smutny wypadek, lub: straszny cios dotknął rodzinę ogólnie szanowanego pana Z. Z. Córce jego, uroczej pannie Pcipci, królowej sezonu, koń odgryzł nos”. I nie ma nosa.

Co pani na to, panno Pcipci?

Żali się pani na niewyrozumiałość ojca i gderliwość mamy?

Złośliwa natura mogłaby tak urządzić akt przynoszenia dzieci przez bociany, że panny Pcipcie mogłyby mieć po trzy — co mówię — po dwanaście par rodziców.

Żali się pani, że tak mało jest książek, które warto czytać?

Wiadomo pani, że mężczyźni, po dojściu do pełnoletności, muszą służyć w wojsku? A co by było, gdyby prawo nakazywało pannom czytać wszystkie powieści i poezje, pisane przez płodne nasze autorki?

Pani się zdaje, panno Pcipci, że jesteś egoistką, to znowu — że jesteś czułą i wrażliwą na wszelką niedolę i niesprawiedliwość?

Dusza ludzka, panno Pcipci, składa się z przedpokoju, buduaru, sypialni, salonu, stołowego

pokoju, kuchni, spiżarni i tego wszystkiego, co nosi miano — wygod. Dusza ludzka, panno Pcipci, to mieszkanie z wszelkimi wygodami. W buduarze się bawi, albo szuka wrażeń, w salonie się okazuje wdzięki ciała i umysłu, jedno i drugie w specjalnym oświetleniu i pod pudrem — a nie ma jeszcze ani w mieszkaniu, ani w duszy współczesnego człowieka — kącika dla myśli i uczuć. Czyż nie? Jest jadalnia, palarnia, sypialnia, czemu nie ma myślarni lub czuciarni?

Ma pani słuszość, panno Pcipci, że pani nie ma zaufania do współczesnej cywilizacji. Można ją lubić, tę naszą współczesną cywilizację, jak się lubi „cudowne” dziecko, można pokładać w niej duże nadzieje w przyszłości. Dobrze, że choć epileptyków nie palą już na stosach.

Tak, panno Pcipci.

Może z czasem panny Pcipcie nie będą pannami Pcipciami. Nie będą potrzebowały uśmiechać się do poważnie myślących kawalerów i dobrze postawionych wdowców bezdzietnych.

Jest praca, panno Pcipci, ale o takich rzeczach do młodej panny pisać mi nie wypada. Więc nie myśl pani o pracy, tylko pociesz się myślą, że takich panien Pcipć jest bardzo wiele na świecie.

Łączę ukłony dla Mniamni (zdrobniale od — Janina) i dla Bdziubdzia (zdrobniale od Bolesław). Rodzicom rączki całuję.

## CYRKOWY

Biegł szybko małym kroczeniem, potrącając przechodniów.

Zastąpiłem mu drogę.

Witam szanownego profesora. Dokąd to profesor tak spieszy? Zapewne po jakiś niezna-ny a ciekawy dokumencik — zgadłem?

I patrzyłem na niego z góry, z pobłażliwym uśmiechem, jaki zazwyczaj gości na ustach zwykłego śmiertelnika, gdy spogląda na marzyciela, ideowca lub w ogóle maniaka.

— Dokąd spieszę?... A właśnie, że nie zgadłeś!... Idę do cyrku.

— Do cyyyrku?

— No do cyrku, do cyrku. Nie zatrzymuj mnie, bo się spóźnię.

— Profesor idzie do cyrku? Ależ ja tego zgoła nie rozumiem.

Ażeby usprawiedliwić moje zdziwienie, muszę zaznaczyć, że spotkany przeze mnie jego-  
mość jest historykiem, mólem<sup>116</sup> książkowym, szperaczem — czym chcecie, tylko nie światowcem. W życiu swym ani razu nie był na operetce; nie wypił ani jednej filiżanki kawy ani w Nadświdrzańskiej, ani w Udziałowej, ani w Brystolu; nie widział nigdy w życiu ani Cavalieri<sup>117</sup>, ani Battistiniego<sup>118</sup>, ani Bellincioni<sup>119</sup>; nie wie o istnieniu w Warszawie Filharmonii. Za to pierwszy przychodzi do sali biblioteki publicznej i ostatni siłą zmuszany bywa do jej

---

<sup>116</sup>*mólem* — dziś popr. forma N. lp: molem. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>*Cavalieri, Lina* (1874–1944) — włoska sopranistka, popularna zarówno w zachodniej Europie i Ameryce, jak i w carskiej Rosji, uważana za jedną z najpiękniejszych kobiet swojego czasu. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>*Battistini, Mattia* (1856–1928) — sławny włoski śpiewak, zwany królem barytonów, był częstym gościem w Warszawie na początku XX w. w czasie swoich licznych *tournées* po Rosji. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>*Bellincioni, Gemma* (1864–1950) — włoska sopranistka światowej sławy. [przypis edytorski]

opuszczenia. Prawdziwe piekło z nim mają zarządy księżnic prywatnych. Poza tym gotów jest dziesięć mil tłuc się zimą boczną drogą — w poszukiwaniu jakiegoś nieznanego ogółowi świstka, spleśniałego na strychu jakiegoś dworka<sup>120</sup> zapadłego lub plebanii.

I taki oto człowiek powiada mi, że idzie do cyrku.

— Idziemy razem — postanowiłem nagle, widząc jego zniecierpliwienie.

— No dobrze: jak chcesz, to chodź. Ale może się wstydzisz? Bo u nas istnieje przesądne przekonanie, że cyrk — to zabawa dla dzieci i pospółstwa. Szanujący się ludzie nie chodzą do cyrku, tylko — do teatru. O, teatr, to szlachetna rozrywka — skończył z ironią.

— Więc profesor, jak widzę, przekłada cyrk nad teatr?

— A rzecz naturalna... Bo co to jest teatr, co? Najpospolitsze łgarstwo, obliczone na łatwowierność widza. Jakiś pan, neurastenik, erotoman, zgryźliwy żółciowiec, albo kazno-

---

<sup>120</sup>*dworka* — dziś popr. forma D. lp: *dworku*. [przypis edytorski]

dzieja sceniczny, wybiera sobie jakiś fakt, rozkrusza go między pewną liczbę osób, i tak nimi kręci, tak manipuluje, że wreszcie dowiedzie, że jest tak, jak on to sobie uroił. Aktorzy gadają tak, jak on chce, żeby gadali; a jak który z nich czegoś zapomni, to mu podpowiadają, żeby, broń Boże, jakiejś własnej myśli nie powiedział. I żeby tylko gadali — ba, oni udają, że to są wszystko ich myśli, że oni tak czują właśnie. Oni śmieją się, jęczą, płaczą, bluźnią, są natchnieni i umierają, i powtarzają to co dzień o jednej godzinie. A ty, widzu, masz wierzyć, że to wszystko jest prawda. Oni najoczywiściej kpią sobie z ciebie: umarli przed chwilą — spuszczone gałgan, potem podniesiono gałgan, i nieboszczycy kłaniają się, uśmiechają, strzelają oczami ku krytykom, lożom i galerii. I trzymają się przy tym za ręce — i znów tym bratnim splotem kłamią bezwstydnie: bo jeden drugiego utopiłby w łyżce rycynowego oleju. To jest oburzające! Nawet się nie zarumienią!

Mój jegomość przystanął, wytarł nos w kra-  
ciastą chustkę i dalej perorował:

— Albo te dekoracje. Postawią zielony ba-  
dyl, i to ma być drzewo; zawieszą na niebiesko  
pomalowaną szmatę, i to ma być niebo. I to  
ustawianie dekoracji odbywa się w tajemnicy,  
za kurtyną, bo ciebie, widza, mają za bałwana,  
który temu wszystkiemu uwierzy.

— No, a cyrk?

— Cyrk — to zupełnie co innego. W cyr-  
ku jak linoskoczka spada z trapezu, to sobie na-  
prawdę kark kręci i nie idzie na kolację, a jak  
wychodzi na arenę koń — to to jest koń, a nie  
przyjaciółka jakiegoś plutokraty. Jak ci się bła-  
zen przebierze za pana, albo za podlotka — to  
nie ma w tym chęci ocyganienia widza, ale jest  
satyra. Bo iluż to mamy błaznów między pa-  
nami. Tak tak. Sam się przekonasz. Nauczę cię  
rozumieć cyrk, mój kochany.

Weszliśmy do cyrku.

Przedstawienie się rozpoczęło.

— A teraz uważaj... Powiedz mi przede wszyst-  
kim: jak ci się zdaje, ile ten koń może kosztować?

— Tysiąc rubli.



— Kosztuje dwa tysiące, ale mniejsza. Ile może kosztować rocznie jego utrzymanie?

— Dwieście rubli.

— Kosztuje więcej niż trzysta, ale mniejsza. Co ten koń umie?

— Umie się kręcić w kółko w takt muzyki i wykonywać na skinienie bata zręczne obroty.

— Otóż to właśnie. Koń, który poza zręcznością nie posiada nic innego, przedstawia wartość czterdziestu koni roboczych. I cały byt zawdzięcza temu, że umie się stosować do skinienia bata. No, nie warto iść do cyrku — co?

Po skończonym numerze rozsypała się po arenie czereda służby z grabiami. Między nimi kręci się zawzięcie nieśmiertelny „głupi August”.

August wydaje rozporządzenia, których nikt nie wykonywa<sup>121</sup>; zachęca lub gromi, na co nikt nie zwraca uwagi; wydziera grabie, chcąc sam pokazać, jak należy wykonywać daną czynność, ale rzuca je natychmiast i biegnie w inną stro-

---

<sup>121</sup>*wykonywa* — dziś częstsza forma 3 os. lp. cz.ter.: wykonuje. [przypis edytorski]

nę; płacze się, przeszkadza, psuje — wreszcie, dostaje tu w bok, tam w kark, gdzie indziej w oblicze. Nic to: on pracuje dla dobra ogółu. Robota skończona. August staje na środku areny i ociera pot z czoła. Daje mu brawo jeden tylko profesor.

— Widzisz, widzisz, ja tylko jeden zachwy-  
cam się tu tym starym, ale wiecznie nowym  
jego kawałem. Ten August — to dziesiątki ty-  
sięcy ludzi — na wszelkich polach życia i szan-  
cach pracy. Ha! ha! ha! Brawo, August!

Zadowolony byłem, że rozpoczął się nowy  
numer programu, gdyż zaczęto już na nas zwracać  
uwagę...

Po cienkim drucie chodzi kobieta. Potem  
podnosi chustkę, tańczy, siada na krześle usta-  
wionym na drucie. Istne czary. Publiczności  
dech zamiera w piersiach. Jeden tylko August  
stoi niewzruszony i uśmiecha się pogardliwie:  
„co to za sztuka, ja bym także potrafił”.

— Patrz na Augusta, na jego minę. *Nil admirari*<sup>122</sup>. Nie należy się niczym zachwycać! Głupca niczym nie zadziwisz. Wiesz, kto się prawdziwie zachwycił wieżą Eiffla? Technicy, matematycy, inżynierowie. Luluś stanął przed wieżą i powiada: „To ci dopiero — tyle o tym pisali, myślałem, że wyższa...” Poczekaj tylko: to jeszcze nie koniec.

Rozległy się oklaski: August ze zdumieniem rozgląda się, wzrusza ramionami. Nie rozumie, za co jej biją brawo. Zbliża się do gimnastyczki, patrzy, patrzy, znów spogląda na zebraną publiczność, dotyka kobiety palcem, odsuwa się o kilka kroków. Aż, porwany ogólnym zapalem, zaczyna namiętnie bić brawo, aż mu ręce puchną, aż się chwieje na nogach, aż z sił opada. Wreszcie gimnastyczka znikła za kulisami, a August siada na środku areny, chwilę odpoczywa, wreszcie dumny, napuszony — wychodzi.

---

<sup>122</sup>*nil admirari* (łac.) — nie ma czego podziwiać; nic wielkiego. [przypis edytorski]

Patrzałem na przemian to na Augusta, to na profesora: połykał oczami najdrobniejszy ruch błazna.

— Widziałeś? To znakomite, nieporównane, to jest ogólnoludzkie i charakterystyczne dla wszystkich epok — to tłumaczy cały szereg historycznych wypadków, całe okresy dziejowe, to mi daje możliwość rozwiązania wielu ciemnych, zawiłych zagadek. Ten błazen będzie najgłośniej krzyczał i najszerzej obnosił sławę tego, kogo lub czego nie rozumie: on — on, a nie garstka znawców, przyczyni się do spopularyzowania tego, co mu imponuje, bo tego nie rozumie. I oto zawsze wokoło wielkiej idei grupują się z podziwem jednostki wybrane, dalej — banda Augustów — naganiaczy, wreszcie — tłum, przez Augustów zwabiony... Ja muszę z tym błaznem się poznać.

Nowy numer zwrócił uwagę mego towarzysza w inną stronę.

Tu znów ośm<sup>123</sup> koni na dane hasło zmienia w biegu miejsca, zmienia takt i rytm biegu, kierunek i porządek.

— No, patrz, co może tresura zrobić z bydłęcia. Ośm koni z zadziwiającą spójnią pracuje wspólnie, by napchać swemu przedsiębiorcy pewną liczbę rubli do kieszeni, aby same dobrze na tym wyszły. A ludziom od wieków wytłumaczyć nie można, że dobrobyt jednostki jest związany z dobrobytem ogółu, i każdy coś winien złożyć do ogólnego dobra społecznego.

Machnął ręką i zbudził się z zadumy dopiero wówczas, gdy zongler balansował kulą armatnią.

Ciężka kula stalowa spadała mu z wysokości kilku łokci na kark, nie czyniąc mu żadnej krzywdy.

— Widzisz, co to znaczy zręczność i wyrobienie! Ale on nad tą sztuką lata całe pracował. To samo z siebie mu nie przyszło. A nasze wychowanie domowe dąży do wszystkiego, tylko

---

<sup>123</sup>ośm — dziś popr.: osiem. [przypis edytorski]

nie do tego, by kulą życia kierować. Dlatego mamy tylu ludzi, co z kulą u nogi żywot wiodą... No chodźmy... Pantomin nie lubię, bo to dla dzieci, to mi zanadto teatr przypomina.

Wyszliśmy z cyrku.

— No i cóż? Może jeszcze zechcesz twierdzić, że cyrk jest bezmyślną rozrywką?

## Z WYWIADÓW

Spotkałem go o późnej godzinie na odludnej ulicy.

Zbliżył się i zapytał:

— A która to, panie ładny, godzina — na pańskiej cebuli<sup>124</sup>?

— Zapewne nie o godzinę panu idzie, ale o zegarek? — odparłem wymijająco, z lekka uchylając kapelusza.

— *Sie wi*<sup>125</sup>. Pan, panie ładny — spryciarz.

— Nie z jednego pieca człowiek chleb spożywał, mój panie.

---

<sup>124</sup>*cebula* (tu daw. pot.) — zegarek kieszonkowy na łańcuszku. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>*sie wi* (gw.) — *się wie*, tj.: wiadomo. [przypis edytorski]

— *Sie rozumi.* Ale dosyć bo tego gadania. Dawaj, brachu, cebulę i ligaj sobie drogą na złamanie.

Mój przygodny znajomy miał postawę o tyle imponującą, że dzielnych jego kształtów nawet mrok wieczorny zatrzeć nie zdołał w zupełności. Postanowiłem tedy być o ile możności ujmującym, tym bardziej, że głos jego zdradzał stanowczość, spoza której wyzierały pierwsze błyski zniecierpliwienia.

— Mój panie kochany i szanowny... — zacząłem.

— Szanowność pan schowaj do pularesu<sup>126</sup>; mnie jej nie potrzeba — przerwał porywczo.

— Ależ pozwól pan dokończyć — poprosiłem go uprzejmie — chcę, aby stało się dla pana jasnym, że zegarka nie posiadam. Nie taję, że nawet w razie idealnego zbiegu okoliczności, to znaczy — gdybym wypadkowo był posiadaczem podobnie szacownego sprzętu, za jaki powszechnie zegarek uchodzi — i wówczas pozostawiłbym go w domu, a nie nosił

---

<sup>126</sup>*pulares* a. *pugilares* (daw.) — portfel, portmonetka. [przypis edytorski]

przy sobie, wybierając się na wycieczkę w te właśnie strony, gdzie oto mamy przyjemność w tej chwili tak mile rozmawiać.

Kształtna postać wydała z siebie coś w rodzaju mruknięcia. Skorzystałem z chwilowego niezdecydowania kształtnej postaci i ciągnąłem:

— Dla ścisłości wyznać muszę, że posiadam w prawej kieszeni miedzianą dziesiątkę, której przeznaczeniem jest przejść w ręce stróża, jako opłata za otworzenie bramy. Sądzę, że nie zechce pan pozbawić człowieka ciężkiej pracy — słusznie należnego mu honorarium; a przy tym pozyskanie sumy tak drobnej poniżyłoby pana we własnym pojęciu, przyniosłoby ujmę szlachetnemu zawodowi, który pan uprawiasz, jak sądzę.

— *Sie wi.* Pan masz mnie za złodzieja — co?

— O panie — przerwałem wzburzony — nie nazywajmy rzeczy tak dosadnie. Język nasz jest już dostatecznie giętki, by można było mówić to, co z tych lub innych powodów może być drażliwym. Ja mam pana za indywiduali-



stę, zapewne cokolwiek neurastenika<sup>127</sup>, i tak jest z pewnością. Czyż nie? — sam pan osądź.

— *Sie wi.* Bo widzi pan, niech panu się znowu nie zdaje, że ja to tak sobie tylko. Ho, ho!

— Ależ rzecz naturalna. Często okoliczności życia tak się dziwnie złożą, że człowiek sam z trudem wielkim orientuje się w tym labiryncie kolizji, jakie wciągają go w tłocznię życiowej widowni. Człowiek z wyższymi aspiracjami zawsze jest narażony na wielką mnogość różnych ewentualności.

— A bo nie? Ja na ten sposób to właśnie tak, jak pan mówi. Staralem się, jak mogłem. Ale byłem słabego zdrowia, bez znajomości i pieniędzy. A *piniondz* jak *piniondz*; bez niego ani ruchu, ani ducha. Robiłem, bo robiłem. Aż przyszła choroba. Idę do jednego doktora — zapisał krople. Nic nie pomaga. Idę do drugiego — zapisał pigułki. Znów nic. Idę do trzeciego. Ludzki był człowiek. Powiada tak: „mój

---

<sup>127</sup>*neurastenik* — człowiek cierpiący na neurastenię, nadpobudliwość układu nerwowego, który łatwo się wzbudza i szybko popada w wyczerpanie. [przypis edytorski]

kochany, tobie potrzebne takie zajęcie, żebyś miał dużo świeżego powietrza i dużo ruchu”. Do Merangi ani do Jabajcy<sup>128</sup> nie pojedę, bo nie mam; więc sobie wynalazłem taką robotę, co mi nie szkodzi. Zdrowie każdemu miłe.

— Och, panie drogi, zdrowie — to skarb. (Wziąłem go po przyjacielsku pod ramię, i szliśmy wolnym kroczkiem). Właśnie to cenię w panu ogromnie, że pan to rozumiesz. Panie, ruch i czyste powietrze — to skarby nieocenione.

— *Sie wi.* Nie ma, panie, jak we szpitalu leżeć. Żeby to u nas we warsztatach było takie powietrze i światło, tobym ja nie potrzebował się teraz leczyć.

I nagle odsunął się ode mnie, spojrzął przenikliwie i zapytał ostro:

— A pan gadaj, co pan chcesz: pan mnie masz za złodzieja.

— Ach, jeśli panu już tak bardzo o to idzie, niech i tak będzie. Ale przecież sama nazwa ni-

---

<sup>128</sup>*Jabajca* — zniekształcona nazwa Abacji (wł. Abazzio, chorw. Opatija), kurortu na półwyspie Istria, wówczas (1814–1918) na terytorium Monarchii Austro-Węgierskiej, dziś w płn. części Chorwacji. [przypis edytorski]

czego jeszcze nie dowodzi. W każdym rzemiośle czy zawodzie istnieją różni ludzie: źli, gorsi, najgorsi; dobrzy, lepsi i najlepsi.

— *Sie rozumie.*

— A czymże fach pański ma być gorszy od innych? I tu potrzebna fatyga, spryt, zdolności, wprawa, a nawet duże wykształcenie, i tu jest ryzyko.

— O, rezyka bo jest.

— Rzecz naturalna. Powiem nawet, że wyższość pańskiego zawodu nad innymi polega na tym, że tu o powodzeniu rozstrzygają tylko osobiste kwalifikacje, a nie stosunki i protekcje.

— *Sie wi.*

— Powie kto może, że powodzenie pańskie ściśle jest związane ze stratą dla innych. I tu jednakże można się nie zgodzić. Jeśli zajmuję w tramwaju ostatnie miejsce za pięć kop.<sup>129</sup>, tym samym zmuszam tego, kto po mnie przyszedł, by zapłacił o dwie kopiejki więcej lub stał na platformie na chłodzie, czyli, innymi słowy,

---

<sup>129</sup>*kopiejka*, w skrócie *kop.* — rosyjska jednostka monetarna, jedna setna rubla.  
[przypis edytorski]

okradam go z dwóch kopiejek lub wygodnego siedzenia. Jeżeli jestem adwokatem i podejmuję się prowadzenia sprawy, tym samym okradam tego kogoś, do kogo by się zwrócił mój klient, gdyby mnie nie było. Jeżeli jestem doktorem, kradnę moim kolegom chorych i ich rubelki. Jeżeli jestem dziennikarzem, okradam innych współtowarzyszów<sup>130</sup> o liczbę kopiejek, która przypada za moje artykuły. I dlatego właśnie ludzie, pracujący na jednym polu zarobkowym, zwykli patrzeć na siebie wzajemnie, jak na rzezimieszków. To trudno: człowiek człowiekowi przeszkadza zawsze.

— A nie? Jak mój przyjaciel jeden założył sklepik spożywczy, to mu się obok dwóch innych zaraz sprowadziło.

— Więc widzi pan sam. Nie mówię w tej chwili o sobie, ale ilu to jest uczciwych dlatego tylko, że się boją.

— *Sie wi.*

---

<sup>130</sup>współtowarzyszów — dziś popr. forma D. lm: współtowarzyszy. [przypis edytorski]

— Człowiek go się pyta: „cobyś zrobił, gdybyś znalazł na ulicy tysiąc rubli w akcjach?” — „Oddałbym natychmiast” — odpowiada bez wahania. — „A gdybyś pan znalazł pięć tysięcy rubli w papierkach sturublowych?” — „Oddałbym, rozumie się” — mówi smutnie; a w duchu myśli: „bo może właściciel pamiętał numery i zrobił zastrzeżenie”. — „A gdybyś tak znalazł 10,000 i w złocie?” — A ów poczciwiec na pewno odpowie: „co tu gadać o nieprawdopodobieństwach?” — „No, ale przypuśćmy jednak...” — Uczciwiec poczuje, że mu pot na czole osiada gęsto — i milczy.

Uszliśmy już kawał drogi. W dali poczęła majaczyć latarnia. Mój towarzysz tak był zajęty rozmową, że zdawał się nie zauważyć, iż mam na sobie względnie przyzwoite palto i całe buty.

— Powiem nawet więcej. Złodzieje niezaprzeczenie sprawiają ludziom cokolwiek przykrości, choć od braku zegarka nikt nie umarł, a w wyjątkowych tylko wypadkach strata portmonetki czyni niepowetowaną lukę w budżecie

danej rodziny. Jednakże przynoszą oni i dużą korzyść, oddają niezaprzeczone usługi.

— *Sie rozumi* — potwierdził mój towarzysz. — No, gadaj, brachu, jaki to my pożytek przynosimy?

— Uczycie ludzi uwagi, zastanowienia, pilniejszego strzeżenia i większego poszanowania swego dobra. Gdyby nie wy, człowiek chodziłby w tłumie zamyślony i narażony byłby na przejechanie, podeptanie, lub inne nie mniej ciężkie obrażenia. Zostawiałby mieszkanie otwarte, co mogłoby ujemnie oddziaływać na moralność kobiet. Wreszcie cały przemysł ślusarski, wielkie fabryki kas, zamków, ostrzegaczy — nie istniałyby wcale.

W tej chwili zatrzymaliśmy się w odległości kilkunastu kroków od posterunku policyjnego.

— Cóż? odprowadzi mnie pan dalej? — zagadnąłem go nagle.

— *Sie wi*, że nie.

Spojrzał z żalem na moje palto, podejrzliwie zmierzył objętość moich kieszeni i rzekł na poły ze smutkiem, na poły z podziwem.

— Ej, cygan z ciebie brachu. Ale niech tam!

I znikł w cieniu odludnego zakątka.

A dla mnie jasnym się stało, że nawet łotr spod najciemniejszej gwiazdy pragnie czuć się usprawiedliwionym ze swych najbardziej łotrowskich postępków, że usprawiedliwia się zawsze myślą, iż są łotry spod jeszcze ciemniejszych gwiazd na szerokim świecie, że wreszcie gotów jest nie wyciągnąć ci zegarka, byleś umiał weń wmówić, że obrzydlistwa jego czynów nie dostrzegasz lub je usprawiedliwiasz.

## POSADA

Od czterech miesięcy nie miałem posady.

— A co mnie to może obchodzić? — zapyta obojętny czytelnik.

Wiem, że ten tylko współczuć może ze mną po przeczytaniu tego wyznania, kto w rok po

ślubie był ojcem dwojga dzieci — bliźniąt (całe szczęście, że nie trojaczków); kto sprzedał wszystko, co, nie będąc drogą pamiątką, posiadało pewną wartość; kto w życiu swoim zmuszony był ze sto razy zawołać w biurze stręczenia posad: „złodzieje jesteście, bierzecie pieniądze, a nie dajecie żadnej gwarancji, że po zapisie klient wasz otrzyma jakąkolwiek, najmniejszą choćby posadę”; komu odpowiadało w podobnym biurze: „proszę się uspokoić, bo poproszę pana o usunięcie się z naszego biura”; kto odpowiadał: „to nie biuro, tylko jaskinia, nora, pieczara”; do kogo wreszcie zbliżał się szwajcar i mówił: „proszę, niech pan będzie łaskaw wyjść”. Ten tylko współczuć ze mną może, kto codziennie trzy godziny wystawał przed szafką kuriera, notował adresy, aby potem piętnaście razy słyszeć: „już zajęte miejsce”, albo „będziesz pan otrzymywał sto rubli rocznie, jeżeli znasz siedm języków europejskich, trzy azjatyckie i dwa afrykańskie, jeżeli posiadasz pan stenografię, buchalterię podwójną z haczykami, albo potrójną z kruczka-



mi itd.”. Ten tylko współczuć ze mną może, kto przeklął po trzykroć, czterokroć wszystkie lombardy, kantory mamek<sup>131</sup>, biura komiso-  
we, tanie kuchnie, wszystkie te instytucje, które udzielają pożyczek z „zapewnieniami, poręczeniami i zabezpieczeniami”, kto powiedział sobie „nie ma na świecie przyjaźni; nie ma przy-  
sług, dobroci, nic, tylko wilki”.

Tak właśnie ja mówiłem i już miałem zamiar założyć coś „na własną rękę”, na przykład biuro stręczenia posad, już nawet maczałem pióro w kałamarzu, aby zacząć pisać podanie, gdy wpadł do mego pokoiku Władek rozpromieniony, z butelką w ręku.

— Dzień dobry państwu!

— Ciszej do licha, bo dzieciaki pobudzisz. Wściekły byłem na jego humor.

— Ci-ci-szej — szepnęła żona.

---

<sup>131</sup>*kantory mamek* — mowa o pośrednikach, u których bogata dama mogła dla swojego nowo narodzonego dziecka wynająć mamkę, aby ta karmiła niemowlę piersią. Mamki rekrutowały się z biednych rodzin, często musiały oddać lub zaniechywać własne dzieci. [przypis edytorski]

— Ci-cho! — syknęła mamka<sup>132</sup> dwojga bliźniąt.

— Więc widzisz, rzecz się tak przedstawia, mam dla ciebie posadę.

— Cieszy mnie to — odparłem niechętnie.

Pocziwy Władek jeden tylko szczerze zajmował się moim losem, poza godzinami pracy biegał z wywieszonym językiem po mieście, każdemu opowiadał o „fatalnym położeniu swego przyjaciela ze szkolnej ławy”, i regularnie co dwa dni wpadał do mnie z krzykiem:

— Mam dla ciebie świetną posadę: 1500 rocznie, mieszkanie, opał, światło. Mówię ci: cud.

Rezultat był taki, że budził mi dzieci, a nas wyprowadzał z równowagi i pogrążał w jeszcze większe zniechęcenie. Z początku rzucałem mu się na szyję, potem tylko dziękowałem serdecznie, potem mówiłem:

— Zobaczymy.

A dziś oto miałem serdeczną chęć powiedzieć:

---

<sup>132</sup>*mamka* — w tekście źródłowym mylnie: matka. [przypis edytorski]

— Idź sobie do diabła, mój kochany, i nie budź bachorów.

Bo wszystkie sto dwadzieścia rekomendacji Władka na diabła się nawet nie zdały.

— Ja wiem, że ty mi nie wierzysz — odparł smutnie — ale zobaczysz, przekonasz się.

Rozwinął butelkę z papieru, poprosił o grajcarek<sup>133</sup>. Otworzył. Poprosił o kieliszek, a ponieważ kieliszka nie miałem, wziął szklankę i do połowy napełnił wódką, zwaną monopolem.

— Masz, pij!

— Zwariowałaś?

— Proszę cię, pij.

— Władek, nie drażnij mnie! — krzyknęłam wściekły.

— Błagam cię, pij; przysięgam ci na wszystko, co mi święte, że od tego zależy przyszłość twojej rodziny.

— Ależ ja wódki nie pijam.

— Musisz ten jeden raz tylko.

— Ale o co ci idzie?

---

<sup>133</sup>grajcarek — tu: korkociąg. [przypis edytorski]

— Zobaczysz: słuchaj, przecież znasz mnie, wiesz, że ci jestem życzliwy.

— Dobrze więc, niech się upiję: może pijacy mają słuszość, że piją, kiedy życie takie marne.

Duszkciem wychyliłem szklanke, aż mi łzy z oczu popłynęły.

— Doskonale! — uściskał mnie, wyciąłwał, jakbym nie wiem co mądrego zrobił. — A teraz ubieraj się. Weź to stare palto i podarte buty, i chodź.

Żona z załamanymi rękami patrzyła na całą scenę.

Wyszliśmy. Wyglądałem strasznie w spadających z nóg butach, podartych spodniach, pogniecionym kapeluszu.

Władek skinął na dorożkę. Wsiedliśmy.

— Kręci się w głowie?

— Kręci.

— To ślicznie.

Po kilku minutach jazdy zatrzymaliśmy się przed ogromnym gmachem, weszliśmy po wysokich marmurowych schodach na piętro, nie

pamiętam które, potem coś jeszcze było, czego nie pamiętam, potem usiadłem na fotelu miękkim i jak przez sen słyszałem, że Władek opowiadał:

— Oto jest, panie dyrektorze. Wyciągnąłem go z szynku, gdzie pił z kolegami. Niech pan patrzy, panie dyrektorze, co to nieszczęścia z człowieka mogą zrobić. Jeszcze tydzień, dwa, takiego życia, toć to będzie już człowiek zgubiony bezpowrotnie. On ma żonę, dzieci!

Otworzyłem szeroko oczy.

— Ja nie jestem pijak — zawołałem, wstając nagle — ja mam żonę i dzieci.

I zacząłem okropnie płakać.

— Ależ, panie — uspakajał<sup>134</sup> mnie dyrektor — toż pan Władysław przedstawił mi pana papiery i rekomendacje. Ale jak człowiek inteligentny, rozumny, może się tak zapomnieć?

— To kłamstwo! — próbowałem się bronić.

---

<sup>134</sup>*uspakajał* — popr.: *uspokajał*. [przypis edytorski]

— Jak to, pan, mężczyzna, zamiast stanąć w obronie zagrożonej rodziny — pan zaczyna pić? Przecież to straszne, karygodne.

— Ja nigdy nie piłem.

— Ależ wiem, że ten nałóg straszny opanował pana niedawno, wskutek nieszczęść, które na pana spadły. Ale to może przejść w stan chroniczny.

— Ja nie piję! — zawołałem z rozpaczą, pragnąc wyjaśnić dyrektorowi, że winien jest wszystkiemu Władek, ale język mi się plątał i słowa wypowiedzieć więcej nie mogłem.

— Patrz pan, jak pan wyglądasz, przecież pan ma dzieci!

— Dwoje! — dorzuciłem.

— Więc dobrze, przyjmuję pana; pojutrze może pański przyjaciel objąć posadę — zwrócił się do Władka — warunki wiadome. Ale gdyby się okazało, że nałóg tak się już zakorzenił, że ten pan zapanować nad nim nie może, to będę zmuszony, acz z przykrością, usunąć go po miesiącu.

Wyszliśmy. Siedliśmy do dorożki. Co potem było, nie pamiętam wcale...

Kiedym się obudził z bólem głowy, słońce było już wysoko. Nad łóżkiem stał Władek.

— No co, dobrze się czujesz?

— Tak sobie.

Żona dała mi herbatę z cytryną.

— Jutro o dziewiątej idziesz na posadę.

— Dokąd?

— Razem ze mną, w tym samym wydziale.  
1200 rubli na początek i gratyfikacja.

Przypomniałem sobie wszystko.

— Powiedz mi, co to wszystko miało znaczyć?

— Widzisz, rzecz się ma tak: na to miejsce było dwunastu kandydatów, każdy z nich miał większą lub mniejszą protekcję. Ty miałeś między nimi zginąć bez protekcji. Otóż postarałem się wysunąć ciebie na pierwszy plan, wyzyskawszy jedną<sup>135</sup> ze słabostek ludzkich. Widzisz, taki nasz dyrektor pojęcia nie ma o nędzy, zna ją z powieści i teatru. Więc powiedzieć

---

<sup>135</sup>jedną — dziś popr. forma B. lp: jedną. [przypis edytorski]

mu, że ktoś ma żonę i dwoje dzieci i nie ma posady, to on to puści mimo ucha. „Co dwoje dzieci? z dwojgiem dzieci każdy może sobie poradzić; gdyby choć miał piętnaścioro...” I oddałby posadę jednemu z protegowanych. Ale kiedym mu sprowadził<sup>136</sup> ciebie i powiedział: „rozpił się z nieszczęścia”, to było efektowne, sumienie go ruszyło. — I dodał cicho: — Ludzie nie są tak źli, jak głupi. Rozumiesz?

Zrozumiałem to lepiej jeszcze.

Dyrektor co tydzień zbliżał się do mego stolika, wypytywał, czy mnie „nie ciągnie” do szynku. Nie kłamałem, mówiąc, że „wstręt czuję do wódki”, bo tak jest w samej rzeczy i tak było zawsze.

Ma słuszność Władek:

1) Nieszczęście ludzkie tylko wtedy wzrusza, kiedy pachnie teatrem, dramatem, a ciche niedole przechodzą mimo uszu.

2) Ludzie okropnie lubią poprawiać, podnosić, a mniej znacznie — chronić od upadku.

---

<sup>136</sup>kiedym sprowadził — dziś częstsza forma: kiedy sprowadziłem. [przypis edytorski]



3) Ludzie lubią efekty, hm! jak dzieci, bo nie są może tyle źli, ile... nie lubią myśleć.

Bądź co bądź, mam posadę, a dyrektor jest bardzo zadowolony, że wyrwał z otchłani zdolnego człowieka, który byłby zginął.

## KONIEC ŚWIATA

*(Trochę fantazja).*

W pewnej cukierni pan Adam — polityk, pożeracz depeesz<sup>137</sup> — rzekł do pana Feliksa:

— Patrz pan: ciekawa wiadomość!

Po czym nasunął na oczy okulary i odczytał:

„Londyn. Telegram własny. Sekcja statystyczna magistratu miasta Londynu zanotowała, że na 3714 urodzeń w ubiegłym tygodniu nie było ani jednego noworodka płci pięknej”.

---

<sup>137</sup>polityk, pożeracz depeesz — pan Adam nie był zapewne politykiem z zawodu, tylko miał zamiłowanie do czytania doniesień prasowych i śledzenia sytuacji politycznej na świecie. [przypis edytorski]

— To znaczy, że nie było ani jednej dziewczyny, tylko same chłopaki — wyjaśnił.

— Hm, to ciekawe — potwierdził pan Feliks.

Gdy dnia następnego podobne wiadomości spłynęły po drutach telegraficznych z Wiednia, Berlina i Paryża — zainteresowanie ciekawym wypadkiem wzrosło.

Wiadomość z rubryki depeesz przedostała się do rubryki „ze świata”, pod nagłówkiem: „Tydzień chłopców”, gdzie dowcipny referent tego działu — pisał:

„Więc widmo staropanieństwa, dzięki łaskawości nieba, nie będzie w przyszłości groziło szykownym paryżankom, rozanielonym berlin-kom, walcowatym wiedenkom i energicznym londyniankom”.

I tak dalej...

Gdy zaś dnia dziesiątego po ukazaniu się pierwszej wiadomości z Londynu jeden z zabiegliwszych<sup>138</sup> dziennikarzy wykrył wypadkiem, że i w Warszawie od dni siedemnastu rodzą się

---

<sup>138</sup>*zabiegliwy* (daw.) — tu: energiczny, czynny, sprytny. [przypis edytorski]

sami chłopcy, wiadomość stała się wypadkiem dnia.

Śmiechu było dużo. Humoryści, wierszykarze, kupleciści, rysownicy — w ciągu kilku dni tak wyzyskiwali komiczną stronę sprawy, że stała się wreszcie bardzo nudną, jakkolwiek nie przestawała bawić szerokich mas ludności.

Rozeszła się nawet pogłoska, że pewien marny aktor, natomiast lichego komediopisarza, pisze komedię na wiadomy temat. Powodzenie było zapewnione.

Brakło dokładnych wiadomości, jak sprawa się przedstawia w miastach, gdzie niemieckie pisma — dostawcy naszych prywatnych depesz — nie mają korespondentów. Jednakże „klęska chłopięca dotknęła Rzym, New York, Kopenhagę, Madryt i wiele innych miast”.

Fakt ten nie ulegał wątpliwości.

Wtedy właśnie, kiedy Morozowicz<sup>139</sup> zbierał zasłużone oklaski za śpiewkę: „Nie ma kobiet”, ilustrowaną najwspanialszymi ruchami,

---

<sup>139</sup>*Morozowicz* — aktorska rodzina z Warszawy, w opisywanym czasie popularni byli bracia Rufin Morozowicz (1851–1931) i Henryk Morozowicz, a także syn Rufina, Leopold Morozowicz (ok. 1876–1945). [przypis edytorski]

ściśle do treści słów zastosowanymi — wtedy właśnie w Berlinie ukazało się pierwsze dwutomowe dzieło naukowe, napisane zbiorowymi siłami stu czterdziestu uczonych, a dążące do wyświeślenia zawilego zjawiska.

Szereg najsprzeczniejszych, już nie tylko teorii i dowodzeń naukowych, ale nawet danych faktycznych, dziwaczność wywodów i chwiejność poglądów — wszystko to przekonywało, że uczeni przyłapani zostali znieścacka, że sami jasno sprawy sobie zdać jeszcze nie mogą z niebywałego w dziejach ludzkości — wypadku.

Anglicy znacznym nakładem gotówki wysłali dwadzieścia naukowych komisji do różnych części świata, by zbierać dane co do „jakości” urodzeń w najbardziej zapadłych kątach globu.

Francuzi wyasygnowali dwa miliony franków dla matki, która pierwsza wyda na świat dziecko płci żeńskiej.

Po dwóch miesiącach, które ostatecznie stwierdziły ciągłość i ogólność *katastrofy* (gdyż za granicą tym mianem zaczęto nazywać teraz wy-

padek), zaniepokojenie wzrosło bardzo silnie. Przekonano się bowiem, że i wśród zwierząt zjawisko to występuje w całej rozciągłości.

W Warszawie cieszył się wówczas ogromną popularnością obraz, wystawiony w Zachęcie, o treści zaczerpniętej z bieżących wypadków — coś w rodzaju apoteozy kobiety, bo dokładnie nie pamiętam.

Wśród teorii, walczących zajadle, trudno się było na razie dokładnie rozpatrzyć. Jednakże dwa kierunki silnie się zaznaczyły: teologiczny i naukowy, a te znów rozpadły się na cały szereg niezliczony odłamów.

„Jest to kara za grzechy!” — wołali jedni.

„To być nie może — twierdzili inni — podobny koniec świata nie jest przewidziany”.

„Jest to zemsta natury nad egoizmem samców — rozlegał się donośny głos z obozu emancypantek. — Czyż nie wy, mężczyźni, trzymacie nas w niewoli, krzywdzicie i poniżacie? Czyż widzieliście w nas kiedy człowieka, czy rozumieście powagę naszego stanowiska w społeczeństwie?”

Pewien astronom dowodził stanowczo, że fakt rodzenia się samych chłopców jest w związku z oddaleniem się ziemi od pewnej komety, i że za trzy lata wszystko skończy się szczęśliwie. A jeden z embriologów przypuszczenie to dopełnił hipotezą, że komety mogą wpływać drogą przyciągania na obieg krwi w organizmie kobiecym, co wpływa na taki, a nie inny rozwój płodu.

Stanowczo sprzeciwiali się temu twierdzeniu stronnicy zwyrodnienia. „Nie należy w żadnym razie oczekiwać szczęśliwego zakończenia katastrofy”. Natura wyczerpała się i tworzy mniej doskonałe organizacje.

I z tej teorii drwiono niemiłosiernie. Po pierwsze, dlaczego to kobiety mają być wyższymi organizacjami? A po drugie, proces odbywałby się stopniowo, a nie tak nagle.

Liczni uczeni znajdowali specjalne bakterie, które jakoby były powodem zaburzenia. Szczepienia dawały wyniki dodatnie, co jednak nikogo nie przekonywało, gdyż niezależnie od szczepień, i tak rodzili się tylko chłopcy.

Historycy znaleźli podobno jakiś wiersz w dziewiętej pieśni Iliady, który w związku z jakimś urywkiem z Herodota i maksymą Konfucjusza — miał niezbitnie dowodzić, że ludzkość raz już okres podobny przeżywała.

Nie będę wspominał o różnych teoriach kabalistycznych, frenologicznych<sup>140</sup>, magnetycznych<sup>141</sup> i innych. Dość powiedzieć, że znaleźli się w Krakowie stronnicy teorii, jakoby „44” miało oznaczać dwoje bliźniąt — dziewcząt, które miały się urodzić w Galicji i dać początek nowej ludzkości.

Już następnego roku nowa nauka, „pedologia”<sup>142</sup>, wprowadzoną<sup>143</sup> została do wszystkich wszechnic, a sam skrót nowej nauki za-

---

<sup>140</sup>frenologiczny (z gr. φρήν, *phrēn*: rozum, umysł) — związany z frenologią, daw. pseudonauką, szukającą związków między cechami psychicznymi człowieka a fizyczną budową czaszki i mózgu. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>magnetyczny — tu: związany z magnetyzmem; zjawiska, które dzisiaj znane są pod nazwą hipnozy, w XIX w. określano jako mesmeryzm (od nazwiska Franza Antona Mesmera, 1734–1815) lub magnetyzm. [przypis edytorski]

<sup>142</sup>pedologia (od gr. παις, *país*, D. lp. παιδός, *paídos*: dziecko) — nauka o dzieciach. [przypis edytorski]

<sup>143</sup>wprowadzoną została — dziś popr. forma z imiesłowem w mianowniku: została wprowadzona (a. wprowadzona została). [przypis edytorski]

wierał trzydzieści siedm pisanych na maszynie arkuszy.

Naprężenie było ogólne. Donośnym echem rozeszła się po świecie wiadomość o bójce, stoczonej przez przedstawicieli dwóch kierunków w młodej i obiecującej nauce. Nic dziwnego: wobec bezprzykładnego rozdrażnienia, fakt podobny zupełnie był zrozumiały i usprawiedliwiony.

Na początku drugiego roku ukazała się i w Warszawie broszura dwudziestokopiejkowa, napisana przez jednego ze znanych higienistów, działacza i lekarza. Prócz tego, dwanaście zbiorków poezji, sonetów, nowel, z których jedna tłumaczona była na język czeski. Wreszcie odbył się i odczyt na cel dobroczynny — na temat ostatnich wypadków.

Taki był ruch naukowy.

Co się zaś tyczy życia społecznego, to już na początku trzeciego roku trwania katastrofy — zauważyć można było wpływ silny nowego zjawiska.



Liczba urodzin w ciągu pierwszych dwóch lat olbrzymio wzrosła, a liczba noworodków martwych nieskończenie zmalała. Nic dziwnego: milionowe i miliardowe zapisy budziły niezdrowe apetyty, a opieka i pomoc lekarska były bez zarzutu. Każdy bowiem lekarz gorąco wierzył, że on to będzie zwiastunem szczęśliwej nowiny.

Rozeszła się wprawdzie raz pogłoska, że żona stajennego w folwarku Durniewo — powiła córkę. Wyjechało wielu korespondentów z różnych stron świata; nawet z Warszawy wyruszył w drogę jeden korespondent z fotografem, jednakże wieść okazała się fałszywą, a redakcja omal że nie została rozniesiona przez rozgoryczoną ludność miasta.

Stosunek mężczyzn względem kobiet zmienił się do gruntu: stał się poważny i głęboki. Wielka tajemnica, niebywała zagadka, tajemnicze pytanie — wszystko to nakazywało szacunek i obawę. Już w czwartym roku wszystkie prawodawstwa jednogłośnie zabroniły wy-

zyskiwać pracę kobiet; każde przestępstwo względem kobiety było surowo karane.

Życie polityczne w ciągu pierwszych lat sześciu nie uległo wyraźnej zmianie. Pisano i o nowych rynkach zbytu, i o polityce kolonialnej, parlamenty radziły po dawnemu nad różnymi sprawami. Liczne apteki wśród huku reklamy puszczały coraz to nowe środki niezawodne, mające zapewnić rodzenie się dziewcząt.

Środki te polecane były przez licznych zagranicznych profesorów, a jako nieszkodliwe — dopuszczone zostały do sprzedaży i u nas. Kupowano je chętnie, przyjmowali je na przemian to mężczyźni, to kobiety — naturalnie bezskutecznie.

Nieco później jednak wpływ nowych wypadków stał się wybitniejszy. Nizsze klasy szkół dla dziewcząt zostały zamknięte. Wyginęło wiele gatunków owadów i ptaków. Po okresie podniecenia nastąpił okres przygnębienia. Obliczono, że ród ludzki istnieć będzie najwyżej lat sto. Nie tracono jednak wiary, że wszystko skoń-

czy się szczęśliwie, że równie nagle rozejdzie się wiadomość, iż na nowo rodzić się zaczęły i dziewczęta.

Złudne nadzieje!

Najboleśniejszym dla dumy ludzkiej był fakt, że wytężona praca najznakomitszych umysłów nie tylko nie znalazła środka, który by zapobiegł straszному kataklizmowi, ale nawet nie znalazła mniej lub więcej prawdopodobnej przyczyny. Nowa nauka — pedologia — rozpadła się na dwanaście gałęzi, których wykład rozciągnął się na cztery lata.

Dalej przygnębienie przeszło w drugi okres rozdrażnienia. Bogacze na wspólkę z synami starali się stracić majątki, których nie mieli nadziei zostawić przyszłym pokoleniom. Pracować przestała pewna część ludzkości, bo nie było celu się trudzić. O wojnach nikt nie myślał, a armaty i naboje kupowali ludzie prywatni, posiadający dorastające córki, gdyż mówiono powszechnie o spodziewanych zaburzeniach, napadach i wojnach domowych.

Religijność mas na ogół wzrosła.

Pisma podawały teraz codzienną tabelę urodzeń w wybitniejszych punktach globu. Liczba urodzeń zmniejszyła się.

Dziwnie wyglądały ulice wielkich miast, gdzie najmłodsze pokolenie składało się wyłącznie z chłopców. Dodawać nie trzeba, że krawcy robili ubranka wyłącznie dla chłopców, jakkolwiek niektórzy wystawiali dla reklamy sukienki, które jednakże policja nakazała usunąć, aby nie drażnić nieszczęśliwych mieszkańców miast.

Cóż było dalej?

Pragnąłbym opowiedzieć dokładnie, jak powoli, pod wpływem klęski — przeobrażała się ludzkość, jak stopniowo wymierały ostatnie kobiety, jaki wreszcie był bieg myśli owych ostatnich z najdoskonalszych. Jest to temat ładny, z którego Wells<sup>144</sup> ułożyłby obszerną powieść i za otrzymane honorarium kupiłby sobie domek przy ulicy Tarczyńskiej.

---

<sup>144</sup>Wells, Herbert George (1866–1946) — słynny pisarz brytyjski, uważany za prekursora fantastyki naukowej, autor takich dzieł jak *Wojna światów* (1898), *Węhikół czasu* (1895), *Niewidzialny człowiek* (1897). [przypis edytorski]

Pragnąłbym opowiedzieć, jak świat roślinny, uwolniony z żelaznych uścisków opieki ludzkiej, począł się pysznie rozrastać i doskonalić, jak drogą ewolucji wytworzył nowe społeczeństwo roślinne z jego odrębną cywilizacją. Miałbym temat do wielu pięknych obrazów, mądrych uwag i psychologicznych dociekań.

Ale...

## ZASŁUGA

Przez lat piętnaście byłem cichym pracownikiem jednej z poważnych instytucji — z pensją czterdziestu, a potem pięćdziesięciu rubli miesięcznie. Od urodzenia byłem kaleką: nie miałem sprytu. Rozumiałem, że kalece niewiele się od życia należy, toteż byłem skromny: marnie mieszkałem, lichy się ubierałem, ożeniłem się z brzydką, bez posagu, anemiczną panienką, pracowałem wiele, paliłem szwarcowane<sup>145</sup>

---

<sup>145</sup>szwarcowany (pot.) — z przemytu. [przypis edytorski]

papierosy po trzydzieści pięć kop.<sup>146</sup> za setkę i miałem jedno dziecko.

I stało się, że biuro nasze otrzymało nowego dyrektora.

Drżałem, jak drży listek — by nie być usuniętym z zajmowanego stanowiska: bo nowy dyrektor począł zaprowadzać nowe porządki. A gdy wezwano i mnie z kolei do jego gabinetu, stałem się tak blady, jak działalność komitetu, czuwającego na straży cen węgla<sup>147</sup> kamiennych.

— Panie — rzekł dyrektor — rozpatrzywszy się w składzie biura, doszedłem do wniosku, że jesteś pan wyzyskiwany, od dziś otrzymywać pan będzie sto dwadzieścia rubli miesięcznie. A oto pański awans.

Gdybym się nagle dowiedział, że Melcer<sup>148</sup> został zaangażowany na szereg gościnnych występów do Filharmonii, lub towarzystwo mu-

---

<sup>146</sup>*kopiejka*, w skrócie *kop.* — rosyjska jednostka monetarna, jedna setna rubla. [przypis edytorski]

<sup>147</sup>*węgle kamienne* — dziś popr.: węgiel kamienny. [przypis edytorski]

<sup>148</sup>*Melcer-Szczawiński, Henryk* (1869–1928) — kompozytor neoromatyczny, pianista i dyrygent, autor m.in. opery *Maria* (1904 r.), napisanej na podstawie poematu Antoniego Malmczewskiego. [przypis edytorski]

zyczne zaczęło wydawać dziennik, poświęcony grze na flecie — nie przeraziłbym się tak srodze i nie zdziwił.

— Dziękuję — szepnąłem cicho i chwiejąc się, jak byt naszych pism naukowych, wyszedłem z gabinetu dyrektora.

O chaosie, jaki powstał w mej głowie, słabe mieć może wyobrażenie jeden tylko Nowaczyński<sup>149</sup>, autor *Małpiego zwierciadła*.

— Co się w tym może ukrywać? — po sto razy zadawałem sobie pytanie. — Co on chce ze mną zrobić?

Na szczęście przypomniałem sobie, że w jakiejś powieści dyrektor faworyzuje pracownika, zdradzając go z żoną. Zacząłem więc śledzić żonę: jej gesty, uśmiechy, pocałunki. Zadawałem jej dwuznaczne pytania. Nie spuszczałem też oka i z pana dyrektora. Starąłem się przeniknąć, czy znali się poprzednio, czy nie pochodzą z jednych stron wypadkiem?

---

<sup>149</sup>Nowaczyński, Adolf (1876–1944) — dramaturg, publicysta i poeta, w młodości związany z krakowskim otoczeniem Stanisława Przybyszewskiego i kabaretem Zielony Balonik, a także działacz polityczny i społeczny. [przypis edytorski]

Po miesiącu bezskutecznych poszukiwań, doszedłem do niezbitego wniosku, że „nie tu pies zakopany”, jak mówią Niemcy w zdaniu, którego tu w oryginale nie przytoczę w myśl bojkotu handlu germańskiego i nauki. Podobnie robią kupcy, kładąc na niemieckich wyrobach stempel: Paris, London lub Honolulu, byle nie Berlin; boć<sup>150</sup> stempla: Warszawa — położyć również nie wypada.

— Gdzież się więc kryje tajemnica?

Brnąc dalej w fantastycznych urojeniach, przeszedłem od niemożliwego, że dyrektor uganiania się za moją brzydką żoną — do jeszcze mniej prawdopodobnego przypuszczenia. I w tym podobny byłem do pewnego grona ludzi, stawiających coraz to nowe fantastyczne wnioski w sprawie higieny, która, jak wiadomo, jest kwiatem, że się tak wyrażę — ekonomicznego bytu narodu.

Rzekłem:

---

<sup>150</sup>boć (daw.) — bo; bo przecież. [przypis edytorski]



— Zapewne jakiś milionowy krewny zapisał mi cały majątek. Dyrektor wie o tym i chce mnie dobrze ku swej osobie usposobić.

Wolne od zajęć biurowych godziny poświęcałem teraz szperaniu w ogłoszeniach o wakujących spadkach, zasięgałem informacji w biurach zagranicznych, nachodziłem adwokatów i rejentów.

I tu spotkał mnie zawód.

Pomyślałem wówczas, że dyrektor pragnie uczynić mnie współnikiem jakiegoś wielkiego oszustwa. Że też najprostsza myśl najpóźniej zawsze przychodzi człowiekowi do głowy. Może dlatego wcześniej zyskała Warszawa drewniane bruki, europejskie cukiernie i kobiety-ajentki, niż możliwe pomieszczenia dla szkół początkowych<sup>151</sup>.

— Tak jest — rzekłem — pan dyrektor obrał sobie moją osobę za wygodny parawan, poza którym będzie przeprowadzał swe nieczyste sprawy. Potem całą winę zwali na mnie, i ja pójdę do kozy... Ale nic z tego. Nie mnie sta-

---

<sup>151</sup>*szkoła początkowa* — dziś: szkoła podstawowa. [przypis edytorski]

rego wróbla brać na premia bezpłatne lub wydawnictwa, bardzo kosztowne dla cudzych, a za psie pieniądze, prawie za darmo — dla prenumeratorów... W sam czas się spostrzegłem.

Wszystkie dostępne mi księgi po sto razy przeglądałem. Sprawdzałem podpisy, sumowałem kolumny od góry do dołu i odwrotnie, odczytywałem kwitariusze, przepisywałem ukradkiem ważniejsze dokumenty.

Po raz drugi wezwany zostałem do gabinetu.

Tym razem wszedłem śmiało, z podniesioną głową. Byłem przygotowany do walki na śmierć i życie.

— Okazuje się, że przeczucie mnie nie omyliło — rzekł dyrektor miękkim głosem. — Podwyżka zachęciła pana do tym usilniejszej pracy. Prawdziwie wzorową nazwać mogę pańską sumienność, akuratność i porządek. Podwyższam więc panu pensję do stu pięćdziesięciu rubli.

Teraz już najdrobniejszy cień wątpliwości nie oszarzał promienności mych podejrzeń. Ale gdzież się kryje tajemnica, na czym polega cała

malwersacja? Czułem się wplątany w niewidzialną sieć wielkiej intrygi.

— Choćbym był niewinnym<sup>152</sup>, jak rzeźnicy warszawscy, nikt mi nie uwierzy: te dwie nagłe podwyżki w tak krótkim czasie — będą przeciw mnie świadczyły.

Powróciłem do domu zgnębiony.

A ona? — moja żona ogromnie się ucieszyła i nie rozumiała mej rozpacz. Już to kobiety nigdy nie odznaczały się zdolnościami w przewidywaniach przyszłości, i dlatego może wśród kobiet wyłącznie znajdujemy kabalarki i matki, którym się zdaje, że ich synowie aż do ślubu wierzyć będą w bajkę o bocianach. I dlatego zapewne trupie główki, zwane przez grzeszność ćmami nocnymi — takie zbierają zerowisko z sił, zdrowia i pieniędzy młodzieży... ale to już stanowczo jest za poważne.

Wpadłem tedy w czarną rozpacz.

---

<sup>152</sup>był *niewinnym* — dziś popr. forma z imiesłowem w mianowniku: był niewinny. [przypis edytorski]

— Co mam czynić, by uniknąć nieszczęścia, ochronić niewinne dziecko moje i bezbronną kobietę od niesławy?

Postanowiłem rozmówić się z dyrektorem. Zaskoczę go znienacka i wydobędę całą nagą prawdę.

I tak uczyniłem.

— Panie dyrektorze — rzekłem bez drżenia w głosie. — Czemu pan mnie wybrałeś, jako ofiarę swą? Czy dlatego, że byłem cichy, że nie wchodziłem w drogę nikomu, że pracowałem, jak wół, za marne wynagrodzenie? Nie, panie dyrektorze, choćbym nawet wiedział, że to się nie wyda, choćbym dostawał jeszcze wyższą pensję — ja się na to nie zgodzę... Nigdy, przenigdy!

Nikczemnik chciał pokryć udanym zdziwieniem swe zakłopotanie.

— Ja nie rozumiem pana — rzekł. — Więc pan mnie posądzasz?

— Mam pewność.

— Gdzie... jak... Na jakiej podstawie? Szatańsko się roześmiałem.

— Na jakiej podstawie? Na tej, że mi pan podwyższył pensję z 50 rubli do 150, jakkolwiek nie mam żadnej protekcji.

Teraz on śmiać się zaczął, ale potem spoważniał nagle:

— Żal mi pana serdecznie. Więc życie uczyniło pana tak nieufnym? Więc pan nie wierzy, by ktoś mógł wynagrodzić prawdziwą zasługę?

Czy mnie przekonał? — Nie! — Niby to był szczery, ale czy człowiek wykształcony nie umie udawać? — Może w ten sposób chciał rozwiązać moje wątpliwości?

Przez kilka następnych miesięcy nic podejrzanego w działalności nowego dyrektora nie zauważyłem, jednakże czułem niechęć ku niewyraźnemu, podejrzanemu człowiekowi i, skorzystawszy z pierwszej nadarzającej się sposobności, przyjąłem posadę w innym biurze, z pensją sześćdziesięciu rubli miesięcznie.

Teraz przynajmniej odzyskałem spokój, sen i apetyt.

# POWOŁANIE

Zwykło się mówić tak:

— Pan Władysław jest adwokatem, pan Piotr jest chemikiem, pan Kazimierz jest nauczycielem, pan Jan jest lekarzem.

Powinno się zaś mówić w znakomitej większości wypadków:

— Okoliczności życiowe zrobiły pana Władysława adwokatem; okoliczności życiowe uczyniły pana Piotra chemikiem; wskutek zbiegu okoliczności życiowych pan Kazimierz stał się nauczycielem itd.

Niby to jest jedno i to samo, a przecież nie. I zaraz sprawę tę należycie wyświetlę...

Nie wiem, czym jesteś, czytelniku, przypuśćmy jednakże, że jesteś, a raczej uważasz się — za adwokata.

A teraz pomyśl, zastanów się i odpowiedz mi:

Czy ty *musiałeś* stać się adwokatem, i jakie okoliczności złożyły się na to, by zrobić z ciebie adwokata?

Czy nie mógłbyś tak samo zwać się dziś mianem telegrafisty, nauczyciela muzyki, przedsiębiorcy pogrzebowego, inspektora podatkowego, taksatora lombardu akcyjnego, dentysty, agronoma, hodowcy truflి lub wołów stepowych, akuszera, kontrolera tramwajowego, fabrykanta piwa, garbarza lub zarządzającego sklepem monopolowym lub hotelem?

Czy bez względu na stanowisko i zamożność rodziców, szerokość geograficzną i okoliczności życiowe — byłbyś się stał tym, czym jakoby jesteś?

Czy, gdybyś urodził się nad morzem w ubogiej rybackiej rodzinie, czy nie byłbyś teraz majtkiem, nie hasał po morzach w połowie za wielorybami, miast stawać w sądach, pisać pozwy, prośby, biegać po rejentach i komornikach?

Czy, gdyby ojciec twój miał sklepik spożywczy na rogu Tamki i Solca, lub warsztacik szewcki<sup>153</sup> przy ulicy Wroniej — czy wówczas nie byłbyś raczej właścicielem magli przy uli-

---

<sup>153</sup>*szewcki* — dziś popr. forma przymiotnika od rzecz. *szewc*: szewski. [przypis edytorski]

cy Nowogrodzkiej, kelnerem w restauracji lub monterem w fabryce żelaznej?

Czytelniku-doktorze! Gdyby mama twoja była w swoim czasie pierwszą naiwną na scenie *Rozmaitości*, czy nie skakałbyś teraz w balecie, zamiast opukiwać brzuchy, nie śpiewał: „Szumią jodły” — zamiast pisać „oleum ricini”?

— Czytelniku-literacie! Gdyby papa twój miał ongi farbiarnię, fabrykę pomadki do czyszczenia srebra lub zakład wód gazowych — czy nie byłbyś teraz panem chemikiem i preparował emskiej<sup>154</sup>, sodowej i maści na odciski, zamiast pisać powieści lub artykuły?

Czy pod skwarnym niebem włoskim nie bylibyście raczej plantatorami ananasów, lub eksporterami pomarańczy i cytryn na daleką północ?

Gdybyście urodzili się w pobliżu kościoła, bylibyście może organistami; wychowani między kolejarzami — bylibyście dozorcami, na-

---

<sup>154</sup>*emaska* — wysokozmineralizowana woda pochodząca ze źródeł w kurorcie Ems (Bad Ems) w płd.-zach. Niemczech, stosowana w leczeniu astmy i innych chorób dróg oddechowych, a. sól emska, rozpuszczalny w wodzie proszek, produkt farmaceutyczny o zbliżonym działaniu. [przypis edytorski]



czelnikami stacji lub starszymi maszynistami pociągów pasażerskich...

Gdyby bezdzietna ciotka zapisała ci w swoim czasie dom przy ulicy Siennej, byłbyś może, panie kasjerze, fabrykantem samochodów, doktorem filozofii, lub krupierem w Monte-Carlo.

Więc tylko okoliczności życia uczyniły was tym, za co się uważacie, a nie — jesteście nimi w istocie...

Zaniosłem kiedyś do Szmula Igły moje palto.

— Co pan chce mieć z te dziurawe worek?  
— zapytał.

— Chcę, Szmulku, żebyś mi z niego zrobił nowe palto.

— Ny, ny — niech pan przyjdzie za trzy dni.

A oczy paliły mu się, jak główne, gdy patrzył na dziury, naddarcia i płowiznę mego nieszczęsnego przyodziewku.

Przychodzę po trzech dniach.

— Oj, stało mi się nieszczęście — mówi Żyd (ale bardzo porządny człowiek) — ten Icek, ten łobuz, wziął pana palto do wytrzepania i zgubił.

— A to, czy nie moje palto? — pytam, spoglądając łakomie na wiszące na ścianie palto.

— Jak to: „moje”? Czy to palto jest podobne do pański odrapaniec? To przecież jest nowe całkiem.

— No, nie — rzekłem z rezygnacją — niepodobne, wcale niepodobne.

Blado-żółty Szmul zrobił się szmaragdowo-czerwony.

— No, to niech pan wie, że to jest właśnie pana palto. Tylko ja chciałem wiedzieć, czy pan pozna.

Pił każdą pochwałę, jak wino rodzinne.

— Widzi pan, tu, to ja dałem łatkę. A skąd ja wziąłem tę łatkę? Z kieszeni. No, a co ja zrobiłem z kieszenią? Ja wykroilem kawałek z kołnierza. A co ja zrobiłem z kołnierzem? Ja znowu dałem łatkę z drugiej kieszeni. A co ja zrobiłem z drugą kieszenią? Ja ją zaszyłem. Przy

całkiem nowe palto są dwie kieszenie, a pan będzie miał jedną. Cooo?

Mówcie, co chcecie, w pracy tej było natchnienie, a w opowieści — zapał.

Bo Szmul Igła *był* łaciarzem. Bo gdyby Szmul Igła był się urodził w gorących piaskach Sahary, czy nad lodami Grenlandii, on byłby łaciarzem także. Gdyby ojciec Igły był bankierem, Igła byłby także łaciarzem: łatałby swoją heraldykę, łatałby swój brak obycia się w sferach arystokratycznych, łatałby swoją kiepską wymowę modnymi francuskimi zwrotami, ale by łatał. Bo jego nie okoliczności życia zrobiły łaciarzem, ale on nim był. Gdyby Szmulowi Igle powiedział ktoś: „Zrób mi garnitur frakowy” — on by z pogardą odrzekł: „Ja ze sztuki nie robię, ja ze sztuki nie chcę robić, bo ja nie jestem żaden Sandecki...”

Prawda, że trochę rozumiecie już, co mam na myśli.

Oto jeszcze jeden przykład — ten już nie z życia, lecz z wyobraźni:

Wyobraźcie sobie, że znakomity kompozytor Grieg, Paderewski, Reszke<sup>155</sup> lub Ibsen — ma syna.

— Czym chcesz być? — pyta ojciec Grieg, Reszke lub Ibsen syna swego.

— Chcę być kominiarzem.

— Dziecko, zastanów się — powiada sławny ojciec. — Dzięki memu nazwisku, wpływom, majątkowi, możesz zupełnie inną zająć w świecie pozycję.

— Ojczulku, albo pozwolisz mi, bym został kominiarzem, albo rozpiję się i w łeb sobie strzełę.

I wyobraźcie sobie, że ojciec pozwala zostać synowi kominiarzem. Mam głębokie przeświadczenie, że ów młodzieniec stałby się jednym z najszcześniejszych ludzi pod słońcem. Całą odziedziczoną po ojcu inteligencję włożyłby w czyszczenie kominów; wymyśliłby nowy gatunek mioteł, nowy sposób opuszczania się

---

<sup>155</sup>*Reszke a. de Reszke* — rodzeństwo śpiewaków: Jan (1850–1925, tenor), Edward (1853–1917, bas) i Józefina (1855–1891, sopran). Urodzeni w Warszawie. Koncertowali w całej Europie. [przypis edytorski]

w kominy, wynalazłby specjalną materię na ubranie dla kominiarzy; urządziłby orkiestrę i re-sursę kominiarską, zostałby prezesem kasy dla wdów i sierot po kominiarzach, podniósłby kominiarstwo na całym obszarze ziemskiego globu; wielbiliby go koledzy, z czcią wspominali potomni.

Co by się jednak stało, gdyby młodzian, z wrzącymi w piersi jego ideałami kominiarskimi, uległ woli rodzica? Jeśliby został kompozytorem, chwalono by go półgębkiem, aż by ktoś śmielszej natury — nie wykrzyknął: „kominiarzem ci być raczej”. On szarpałby odzież na sobie w bezsilnym bólu, złamany, nieszczęśliwy. A ileż by czekało go zawodów, gdyby wstąpił na drogę finansową lub dyplomatyczną — po trzykroć, czterykroć nieszczęsny!...

Teraz już lepiej rozumiesz myśl moją, czytelniku: szczęśliwym i pożytecznym ten tylko być może, kto *jest* czymś, a nie — zrobionym został przez okoliczności.

Szczepanik<sup>156</sup> *jest* technikiem, Biegas<sup>157</sup> *jest* rzeźbiarzem, Bonaparte *był* oficerem, Virchow<sup>158</sup> (Saksończyk, a nie Prusak) *był* lekarzem.

Rozumiecie teraz już zupełnie, dlaczego razi mnie, gdy ktoś twierdzi, że jest tym lub owym, gdy pod biletym wizytowym, na szyldziku lub nekrologu znajduję napis: jest lub był tym i tym, przyjmuje lub przyjmował od tej godziny i bierze lub brał tyle i tyle, za to i owo.

Ja na pytanie:

— Czym się szanowny pan zajmuje?

Odpowiadam zawsze:

— Okoliczności życiowe uwikłały mnie w matnię felietonową.

A nigdy nie mówię:

— Jestem humorystą...

Zwracam się teraz do rodziców:

---

<sup>156</sup>*Szczepanik, Jan* (1872–1926) — sławny technik-samouk, zwany „polskim (lub austriackim) Edisonem”, autor kilkudziesięciu wynalazków, głównie w dziedzinie przemysłu włókienniczego oraz fotografii i filmu. [przypis edytorski]

<sup>157</sup>*Biegas, Bolesław* (1877–1954) — pochodzący z biednej rodziny chłopskiej rzeźbiarz, malarz i dramaturg. [przypis edytorski]

<sup>158</sup>*Virchow* — wspomniany Prusak to Rudolf Virchow (1821–1902), uważany za jednego z twórców współczesnej medycyny opartej na podstawach naukowych. [przypis edytorski]

Rodzice!

Jeżeli macie małe dzieci, starajcie się dowiedzieć, czym chcą być, starajcie się rozwinąć w nich jakieś dążenie.

Rodzice!

Jeżeli macie duże dzieci, nie przeszkadzajcie im w ich zamiarach.

Jeżeli wasz Janek od lat najmłodszych nie będzie leczył much, rybek złotych, kotów; jeżeli nie będzie krajał swych majteczek, karaluchów i książek; jeżeli ani razu nie zatruje grzybami, wilczymi jagodami lub innym specjałem swego młodszego rodzeństwa — nie pchajcie go na medycynę.

Jeżeli wasz Wacio nie broni przed karą swego pudła, siostrzyczki, służącej, która zbiła wazon pamiątkowy po ciotecznej babce — nie pozwólcie mu być obrońcą sądowym — tym bardziej, gdy jest prawdomówny.

Inaczej sobie i potomstwu waszemu nie-szczęście zgotujecie!...

# NIESZCZĘŚLIWI

Czego ty, chłopcze, tak źle wyglądasz? — zapytałem.

Westchnął, ziewnął, spojrział na mnie ponuro i rzekł:

— Bo mi źle na świecie.

Poruszyłem się niecierpliwie.

— Źle ci?... No proszę... Papa nie daje tyle, ileby synuś chciał, co?

— Myli się stryj; papa daje mi więcej, niż chcę — odparł.

— Więc może jakaś sprawa sercowa?... Zakochałeś się?

— Nie zakochałem się; nie zgadł stryj.

— Powiedz, nie obawiaj się... Jeżeli ci nie pomogę, to w każdym razie — nie zaszkodzę.

— Ależ nie: nie zakochałem się i nie zakocham nigdy i w nikim.

— Ho, ho. Aż tak? Może jesteś chory?

— Najzdrowszy w świecie.

— Więc może się nudzisz tylko?



Milczenie.

— Karnawał nie dopisuje?

— Pluję na karnawał... A czy się nudzę?...

Wie stryj, że największym nieszczęściem jest to obrzydliwe, oślizgłe, zakurzone, brudne szczęście!

— Jak?... Jakiś powiedział?... Brudne szczęście?... Więc wplątałeś się w jakąś awanturę, i tego tam — wyrzuty sumienia... co?

— Stryj mnie nie rozumie; nikt mnie nie rozumie. Dla was dusza jest chustką do nosa, która może być brudna albo czysta, cała albo podarta, którą można smolić, prać, perfumować, gnieść, prasować i znaczyć „do tuzina”<sup>159</sup>. Wy dopiero wówczas poczniecie się zastanawiać nad moją jaźnią, gdy z roztrzaskaną czaszką i kulą, tkwiącą w zwojach potarganego mózgu, gdy z ociekającym krwią cielskiem, pod wasze stopy chłodne padnę bez życia.

---

<sup>159</sup>znaczyć „do tuzina” — dawniej chustki do nosa były wielokrotnego użytku, robiono je z tkaniny i wyszywano na nich znaczki rozpoznawcze, najczęściej inicjały właściciela, aby praczka wiedziała, komu je oddać po upraniu (podobnie postępowano z bielizną, pościelą, ręcznikami itp.). Komplet chusteczek do nosa, jak naczynia stołowe, zwyczajowo liczyły po 12 sztuk, czyli tuzin. [przypis edytorski]

— Moje dziecko. Powtórz no to jeszcze raz, tylko powoli. Może się jakoś połapię.

Roześmiał się, prawdopodobnie sarkastycznie, pochwycił czapkę, palto i uciekł...

Nałożyłem na nos okulary, potarłem wskazującym palcem łysinę i wziąłem się do pracy. Rzecz bajecznie ciekawa: wpływ azotu na utlenianie się komórek wątroby u pierwotniaków.

Nagle drzwi się otwierają z hałasem, i wpada moja ulubienica — milutkie, wesołe dziewczątko.

Oczki i nosek — czerwone, włosy potargane.

— A to co znowu?

— Stryju, ja już nie mogę. Mój drogi, mój złoty, poradź mi, bo się otruję...

— Bój się Boga, dziewczyno! A tobie znowu co się stało?

A ona, panie, w bek.

— Nic mi się nie stało... Zupełnie mi się nic nie stało... A ja właśnie tak nie chcę... Ja właśnie chcę, żeby mi się coś stało... Ja właśnie tylko jeszcze żyję nadzieją, że mi się stanie ja-

kieś nieszczęście, bo inaczej ja nie wytrzymam dłużej.

— Masz, diable, makagigę<sup>160</sup> — Ale co ci się ma stać, utrapiona dziewczyno?

— Wszystko jedno co, byle jakieś nieszczęście.

— Co ty pleciesz, co też ty pleciesz?

— Ja chcę być bez dachu, ja chcę być głodna, chcę spać na zgniłej słomie, jeść zgniłe ogórki, chodzić boso, być biedną, poniewieraną nauczycielką, być uwiedzioną, mieć suchoty, szyć za dziesiątkę na dzień, mieć ośmioro dzieci sierot, męża w szpitalu, i matkę-pijaczkę... Rozumie stryj?

— Rozumiem, wszystko rozumiem. Tylko przestań płakać, napij się wody i zdejm żakiet.

A ona jeszcze w większy bek.

---

<sup>160</sup>*Masz, diable, makagigę* — powiedzonko o tym samym znaczeniu, co bardziej popularne *Masz, babo, placek*; wyraża zaskoczenie nagłym kłopotem, niespodziewanym w sytuacji pozornie komfortowej; *makagigi* a. *makagiga* — ciasteczko z cukru, miodu, maku i orzechów; tu w znaczeniu przen.: deser; to, co najlepsze. [przypis edytorski]

— Stryj tak tylko mówi... Stryj myśli, że ja jestem głupia i nie wiem, co gadam... A ja wiem, co mówię.

— Ależ nie: ty jesteś mądra.

— Widzi stryj: rano wstaję i jem, potem czytam, gram i znowu jem, potem czytam i idę z wizytą albo gdzie, i znowu jem, a potem idę do teatru, albo gdzie, i znowu jem. I potem kładę się spać i śpię... I wszyscy są dla mnie tacy dobrzy, że się mało nie wścieknę ze złości... A jak zrobię awanturę, to oni są jeszcze lepsi, że już wytrzymać wcale nie mogę... Nazłoszczę się, nazłoszczę, a potem mama się pyta, czybym czego nie zjadła, a tatuś kupuje bilety na koncert, albo jakąś niespodziankę, albo coś... Ach, żeby już raz umrzeć i skończyć z tym wszystkim.

Zdjąłem okulary, podrapałem się wskazującym palcem w łysinę, i mówię:

— Moje dziecko, powinnaś iść do doktora.

A ona łap, cap! — wyleciała z pokoju, jak opętana...

Nie zdążyłem się jeszcze wykichać po zażytym niuchu tabaki, a tu ci wali do mojego gabinetu pani bratowa.

— Ciebie tylko mam — powiada — ale ty jesteś stary egoista, samolub. Poza twoją bibułą nic cię nie obchodzi, cały świat może ci się zawalić, aby ci tylko twoja bibuła nie uciekła. To jest brak uczuć rodzinnych. To jest egoizm. To jest samolubstwo. Ciebie nic nie obchodzi. Ty jesteś egoista.

Jak żyję, nic podobnego nie słyszałem.

— Co się stało?

— Ja wiem. Ty nic nie wiesz, co się stało, bo to cię nie obchodzi, bo ty jesteś egoista. To jest samolubstwo.

— Moja pani — powiadam. — Jak mi przyjdzie jeden, drugi pędrak i gada od rzeczy, to mu się wybacza, bo młody. Ale żeby staczna kobieta, matka dzieciom, tak jakoś bez sensu, to już do niczego nie podobne.

— Ja wiem; bo pan jest samolub. Pana nic nie obchodzi.

Podrapałem się wskazującym palcem w łysinę i nic już nie mówię.

No i co myślicie? — Może jej szło o córkę? — Nie. — Powiada tak:

— Że tam czasem pokaprysi, to nic ważnego. Panny przed zamążpójściem mają swój taki okres. Znajdzie porządnego człowieka, który ją będzie szanował i kochał, to się uspokoi... A syn — powiada — także nie mam mu nic do zarzucenia: nie karciarz, nie utracjusz...

— Więc może mąż?

— I to nie.

— Znudziło mi się — powiada — gospodarstwo. Ciebie cały świat nie obchodzi, ciebie tylko bibuła obchodzi — powiada. — Wczoraj przypaliła mi się pieczeń — powiada. — Ty jesteś egoista. Froter zrobił mi — powiada — zawód. Antosia — powiada — stłukła przy sprzątanii wazon. Ty jesteś samolub. Żebym ja nie pilnowała, toby cały dom się do góry nogami przewrócił. Ja wiem, że ciebie to wszystko nie obchodzi. Kurz można by było motykami kopać. Ty jesteś kawaler, to tobie wybaczą, ale

mnie, toby obgadali, gdyby był nieporządek. A tu na obiad wczoraj się mąż spóźnił o kwadrans, i pieczeni nie można było ugryźć wcale... Ty jesteś egoista. Ja jestem śmieszna, że do ciebie przyszedłam po radę. Ty zawsze byłeś samolubem.

I poszła.

Włożyłem na nos okulary i już chciałem się podrapać w łysinę wskazującym palcem, gdy drzwi się otworzyły, i wszedł brat.

— No, choć teraz dowiem się czegoś nareszcie.

— Oooch — jęknął. — Oooooch, żeby piekło porwało to wszystko.

— Bo co?

— Bo nic. Powiadam ci, koniec świata.

— Powiadasz: koniec świata?

— Tak powiadam.

I nuż rozwodzić się nad tym, że życie nic a nic niewarte, że majątek nie daje nic, ani szczęścia, ani nic, że nie warto było przez tyle lat pracować, mozolić się, oszczędzać, żeby potem, kiedy się już ma wszystko — nic nie mieć.

— Wiesz, czasem to bym wolał, żeby się te moje domy pozawalały, fabryka spaliła, a ogniotrwała kasa wyfrunęła przez komin. Przynajmniej miałbym jakieś kłopoty, miałbym o czym myśleć. A tu jak na złość wszystko mi idzie, jak chleb z masłem. Aż człowieka irytuje... Bo to jeden udaje, że go bawi polityka, a drugi udaje, że go bawią karty, a trzeci udaje, że go bawi zabawa, a naprawdę to oni chcą tylko oszukać się, żeby nie myśleć, że nie mają kłopotów... Wierzaj mi, że bez kłopotów człowiek może się na śmierć zanudzić.

— No, widzisz, a gdybyś ty tak wziął się do filantropii — to podobno dobra zabawa.

— Ba, kiedy nie wiem, jak się wziąć do tego.

— Mhm... Albo tak może do nauki — co?

— Za stary już jestem.

Ja się tam nie znam na tym, ale chyba są ludzie, którzy się znają na tym. Więc, kiedym zdjął okulary i stuknąłem się wskazującym palcem w łysinę, to przyszła mi taka myśl:



Może by jakie grono ludzi założyło towarzystwo opieki nad nieszczęśliwymi, którzy nie mają kłopotów.

Powiedziałbym nawet tak: żeby owo grono ludzi założyło szkołę miłości ludzi i nauki.

Ale to jakoś dziwnie brzmi w naszym dwudziestym stuleciu.

## PO CO?

A powiedz mi pan, panie Janie, dlaczego pan żyjesz?

Pan Jan spojrzał na mnie dziecięco-naiwnie.

— Bo się urodziłem — odparł.

— Ślicznie. Mogłeś pan jednak umrzeć, mając rok, dwa, trzy, cztery lata...

— No, ale nie umarłem.

— Więc żyjesz pan nie tylko dlatego, żeś się urodził, ale i dlatego, żeś jeszcze nie umarł?

— Ano tak. Żyję dlatego, że się urodziłem i jeszcze nie umarłem.

— Doskonale, a z jakiego powodu ludzie umierają?

— Z różnych... Ale po co to?

— Z różnych, powiadasz pan. Słusznie! Mogła pana piastunka upuścić na ziemię, mogły pana konie na śmierć przejechać, mogłeś pan się spalić benzyną, wylecieć oknem, mógł się nad panem sufit oberwać, pociąg wykoleić, mogłeś pan się zarazić błonicą, płonicą, tyfusem, ospą — wreszcie i od odry dzieci umierają.

— A ja przechodziłem odrę.

— Ano widzisz pan. Więc dlaczego pan nie umarłeś?

— Nie umarłem, bo mnie piastunka nie upuściła, konie nie przejechały, nie utonąłem w rzece, nie spaliłem się benzyną... Ale po co to?

— Zaraz zobaczymy... Dlaczego pana piastunka nie upuściła na ziemię?

— Widocznie była uważna i silna.

— Bez wątpienia. A te jej przymioty zależne były od bardzo wielu przyczyn: od dziedzicznie przekazanego jej charakteru wrodzo-

nego i wpływów wychowawczych, którym ulegała aż do chwili, kiedy została pańską piastunką; od sił fizycznych, odziedziczonych od jej rodziców; od ilości i jakości pokarmów, które otrzymywała, aż do chwili, kiedy została pańską piastunką. Ale dlaczego ona była pana piastunką?

— Rodzice jej za to płacili.

— Bardzo trafna uwaga. Rodzice jej płacili, a więc mogli płacić, a więc mieli pieniądze. A na ten fakt, że rodzice pańscy mieli pieniądze, złożyło się znów bardzo wiele przyczyn.

— No tak, tak, ja rozumiem... Ale po co to?

— Teraz zechciej pan wyjaśnić, dlaczego pańska maszynka benzynowa nie eksplodowała nigdy?

— Umiałem się z nią obchodzić.

— Tak, nie można jednak zaprzeczyć, że przy największej nawet ostrożności stać się mogło nieszczęście.

— Rezerwuar mógł pęknąć.

— Dlaczego więc nie pękł?

Tu pan Jan spojrział na mnie wzrokiem tak pełnym przerażenia, że się aż zdziwił, i rzekł drżącym głosem:

— Czy pan w ten sam sposób chce rozważać wszystkie przyczyny, z powodu których konie mnie nie przejechały, sufit się nie obierał, pociąg nie wykoleił?

— Rozumie się, panie Janie.

— Ależ ja zmysły stracę.

Spojrział na mnie błagalnie. Poczuję współczucie dla swej ofiary.

— Niech więc i tak będzie. Poprzestaniemy na tym, co już powiedziane. Musi mi pan jednak przyznać, że istnieje nieskończona ilość przyczyn, które złożyły się na to, że pan nie umarłeś.

— Zgadzam się: w rzeczy samej — nieskończona ilość.

— A pan rozumiesz, co znaczy: nieskończoność?

— Rozumiem. To znaczy: więcej niż sto.

— I więcej, niż sto tysięcy.

— Panie! Już mi się w głowie kręci.

— To nic...

Pozwoliłem mu odpocząć trochę.

— A teraz powiedz mi pan, dlaczego pan się urodził?

— To przecież jasne: bo mój ojciec ożenił się z moją matką.

— I tylko? Przecież ojciec pana mógł się ożenić, a matka pańska mogła wyjść za mąż za kogoś innego?

— No tak. Ale nie wyszła.

— Bo ojciec pana podobał się matce pańskiej i odwrotnie. Bo była ładna, zapewne zamożna, bo się z tych lub innych powodów spotkali po raz pierwszy, po raz drugi — zbliżyli ku sobie, zaprzyjaźnili. Tu wchodzi w grę i kolor włosów pana mamy, może krój sukni, ładny taniec, pośrednictwo innych osób, wyznanie, stanowisko, nazwisko, wąsy, wykształcenie.

— Ale po co to wszystko? Tak wszystko zaraz obmyśleć, zastanawiać się nad wszystkim...

— Więc pana nie zajmuje wcale zagadnienie tak ważne: dlaczego pan żyjesz?

— Owszem, zajmuje... No, więc kończ pan prędeż.

— Skończę, owszem. Rozpatrzmy tylko przyczyny, którym zawdzięczają swe istnienie: pański ojciec, panie Janie, i pańska matka.

— Ależ tak, to wcale końca nie będzie.

— Więc rozumie pan teraz, co znaczy nieskończoność?

— Rozumiem: dwie babki, ze strony ojca i matki, i dwaj dziadkowie, a potem już cztery prababki i czterej pradziadowie, potem po osiem prapradziadków i praprababek, potem trzydzieści dwa praprapr... Daj mi pan szklaniczkę wody.

— Służę panu, panie Janie... kochany panie Janie... To przejdzie.

— No już... Ale przestań pan.

— Już skończyłem... Przejdziemy teraz do innej dziedziny... Gdybyś pan nie oddychał przez kilka minut, czy mógłbyś pan żyć?

— Udusiłbym się.

— A gdyby pan nie jadł przez tydzień, lub dwa tygodnie?

— Bój się pan Boga: po dwóch dniach umarłbym z głodu.

— Więc pan, pański ojciec i matka, babka i dziadek, oddychali, jedli. Więc żyjesz pan dlatego, że pan oddychasz i jesz.

— Żyję dlatego, że oddycham i jem.

— A czym pan oddychasz?

— Powietrzem... płucami, bo ja wiem wreszcie.

— A czym pan jesz?

— Zębami, językiem... gardłem... żołądkiem... No, nie wiem wreszcie.

Pan Jan był zupełnie wyczerpany. Oczy mu przygasły, nos się wydłużył, spiekłe wargi leniwie się poruszały, kąty ust opuściły jak do płaczu.

— Czy przyznaje mi pan teraz, że pan nie wiedziałeś, dlaczego pan żyjesz? Czy pan przyznaje mi, panie Janie, że moje pytanie, pozornie tak proste, okazało się niezmiernie złożone i zawile?

— Przyznaję.

— Czy pan przyznaje, że każdy człowiek, który żyje, powinien choć trochę wiedzieć, dlaczego on żyje?

— No tak... Ale widzi pan: jak się już tak wszystko wie, to potem człowiekowi tak jakoś dziwnie, bo mu się zdaje, że on nic nie znaczy na świecie. Przedtem to mi się zdawało, że ja rzeczywiście jestem czymś bardzo ważnym, a teraz...

— Myli się pan. Gdy się wie — nie wszystko, bo wszystkiego się nie wie, ale trochę tylko, to dla człowieka jasnym się wówczas staje, po co on żyje. Rozważyliśmy pokrótce, panie Janie, dlaczego pan żyjesz; czy chcesz pan teraz przyjrzeć się temu, po co pan żyjesz?

Pan Jan zerwał się z krzesła i wyskoczył oknem. Pogotowie udzieliło mu pierwszej pomocy.

## JESTEM ZRUJNOWANY

Tak, tak: jestem zrujnowany doszczętnie.



Majątek, praca lat dziesiątków, imię bez ska-  
zy, stosunki — wszystko przepadło; rodzina,  
przyjaciele, znajomi — wszyscy mnie opuścili.

Pozostałem sam, przedwcześnie osiwiały, zła-  
many na duchu i ciele, z sercem, posiekanym  
jak klops.

A przecież myśl była piękna, intencje czy-  
ste.

Chciałem uczynić Warszawę najbogatszym  
w świecie miastem, a na kraj cały miał spłynąć  
złoty deszcz dobrobytu, ba, nawet bogactwa.

Dzięki niebywałemu zaufaniu, które zdo-  
byłem sobie wśród wszystkich fabrykantów i prze-  
mysłowców mamy — Europy, junaka — Ame-  
ryki, żółtej Azji, czarnej Afryki i niemowlęcia  
— Australii; dzięki kredytowi wszystkich fi-  
nansowych instytucji globu naszego — posta-  
nowiłem założyć w Warszawie wszechświatowe  
biuro i najwszechświatowszy rynek wszelkich  
wyrobów i produktów — wszystkiego, co da-  
ją wnętrza gór, głębie oceanów, zawrotny ruch  
maszyn i geniusz ludzki — na całym wielkim  
świecie.

Czy widzicie obraz?

Olbrzymie składy ciągną się na dziesiątki mil; wyrastają biura potworne, jak za dotknięciem laski czarodzieja; pieni się zwarta rzesza pracowników; płyną rzeki wezbrane towarów ze wszystkich krańców świata; zjeżdżają kupcy wszyscy, od sztywnego Anglika, buńczucznego Niemca, zwinnego Francuza — do dzikiego Kirgiza, kędzierzawego Negra, bladego Beduina.

Każdy łokieć płótna lub sukna, każdy rower, samochód, tuzin guzików, zegarek, brylant, węgiel, jajko, szklanka, fijołek, strusie pióro, daktyl czy księga mędrca, zanim dobiegnie do mety, musi przejść przez Warszawę — centralny punkt wszechświatowego handlu.

Piędź<sup>161</sup> po piędzi zbliżałem się w mozo-  
le do upragnionego celu. Podpisałem umowy z kolonistami, miliarderami, kacykami, murzami, fabrykantami, właścicielami kopalni, Dalaj-Lamą tybetańskim, a wszędzie za pierw-

---

<sup>161</sup>piędź — dawna miara długości, ok. 20 cm; tu: małymi krokami; powoli i z trudem. [przypis edytorski]

szy stawiałem warunek, by cała administracja niebywałego, bajecznego przedsiębiorstwa, cały personel, od dyrektorów poszczególnych wydziałów aż do zwyczajnych tragarzy — by spoczywało to wszystko w rękach sił krajowych.

Pomyślcie, co za olbrzymie zapotrzebowanie pracowników. Każda para rąk zdrowych zużytkowana, każda iskra zdolności rozdmuchana w płomień, wszystkie siły fachowe w pracy nateżonej; nawet ludzie ułomni, bez nóg, rąk, głuchoniemi byliby woźnymi, markierami, szwajcarami.

Awanse, gratyfikacje, urlopy, nagrody za sumienność i zdolności.

Korespondenci, buchalterzy i buchalterki, kasjerzy, kasjerki, wojażerowie, komisjonerzy, technicy, chemicy, inżynierowie — a więc szkoły, oświata, dobrobyt — szczęście!...

Nie chciałem was łudzić przedwczesną nadzieją. Trzymałem projekt swój w największej tajemnicy. Tymczasem wypatrywałem zdolnych pracowników, układałem listy przyszłego personelu, nie wątpiąc, że na pierwsze wezwanie

opuszczą niewdzięczne pole dotychczasowych posad, by przejść do mego biura, gdzie ukazały im się cudne widoki owocnej rywalizacji, niebywałej przyszłości. Tymczasem, ślęcząc nocami, wypatrywałem place pod przyszłe budowle, oznaczałem czerwonym atramentem cegielnie, fabryki i przedsiębiorstwa; którym miałem powierzyć budowę.

Za krótkie lat pięć, wszystko od razu byłoby w ruch poszło. Bm wszystko obmyślałem dokładnie, rozumnie, powoli, z zastanowieniem.

I oto przyszła klęska: dowiedziano się nagle o moich górnych projektach. I od tej chwili przeklętej nie zaznałem już spokoju, a czoło moje bruzdami się głębokimi pokryło.

Zaczął się protegowanie mi pracowników.

Wszystkie osoby możliwe i wpływowe zaczęły polecać mi swoich kandydatów: jedni piśmiennie, inni ustnie, przez żony, krewnych, przyjaciół i znajomych.

Jedni przemawiali do mego serca, inni do rozumu, inni żądali, jeszcze inni grozili, prosili, nalegali, błagali.

W ciągu trzech dni znalazło się ośmiuset kandydatów na posady dyrektorów — z pensją 15 000 rubli rocznie. Śród nich pięciuset ze złotej młodzieży, kuzynów, braci, brataników i siostrzeńców hrabiów, baronów i księząt; dwustu krewnych warszawskiej plutokracji i stu protegowanych prasy.

Na wicedyrektorów stawiało swe kandydatury dwa tysiące srebrnej młodzieży.

Polecano mi sieroty, ludzi ściganych przez los, niewinnie pokrzywdzonych, niewinnych bankrutów, pożartych przez lichwę byłych obywateli, neurasteników, wykolejeńców, zbłąkane owieczki.

Obiecywano poparcie mojego przedsięwzięcia w razie zgody, bojkotowanie w razie odmowy.

— Ależ ja mam już listę fachowców, pracowników zdolnych — wołałem, targając włosy — ja nie mogę obsadzać odpowiedzialnych posad ludźmi może bardzo zacnymi i nieszczęśliwymi, ale dla mnie bezużytecznymi zupełnie.

— Wolne żarty — odpowiadano mi z iro-  
nicznym, czarującym lub bolesnym uśmiechem  
— toć nie święci garnki lepią.

Piękne kobiety chwyciły nerwowo moją rękę,  
mówiąc:

— Nie wyjdę, dopóki mi pan nie przyrzek-  
nie.

Niektórzy twierdzili:

— Jedno miejsce przecież się chyba znaj-  
dzie.

Inni:

— Pan musi to dla mnie uczynić. Nie pro-  
siłbym, gdyby mi na tym nie zależało.

Jeszcze inni:

— Ależ, panie, dla starego przyjaciela. Taka  
bagatelka. Aż wstyd, że pan tak daje się prosić.

Wreszcie:

— Gotów jestem odwzajemnić się panu.  
Toż może się zdarzyć, że pan będzie i mnie po-  
trzebował.

Anim się spostrzegł, jak wyznaczono mi  
i place, i budowniczych, i fabryki, i przedsię-  
biorców, i pracowników.

Uciekłem na tydzień z Warszawy, raz jeszcze przyjrzałem się stanowi rzeczy i doszedłem do wniosku:

— Jeżeli zbiorę taką zgraję błaznów lub nieużytków, zamiast ludzi pożytecznych mi i niezbędnych, których sam upatrzyłem, to przedsięwzięcie moje, zamiast spodziewanego zysku rocznego w kwocie 45 000 000 rubli, musi dać mi straty w pierwszym zaraz roku 17 000 000.

Wolałem stracić wszystko, i biura nie zakładać.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony:  
<http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/korczak-koszalki-opalki/>

Tekst opracowany na podstawie: Janusz Korczak, *Koszalki Opalki*, wyd. drugie, nakł. Księgarni Powszechniej, Warszawa 1910.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska, Biuro Rzecznika Praw Dziecka

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) we współpracy z Biurem Rzecznika Praw Dziecka.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Dorota Kowalska, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

Publikację wsparli i wsparły: Tony, Jan Domański, J. Pszenicyń, Daria, Dudaj, M.Karasinska, Joanna Rudniańska, Anna Zagala, Ludwik Trammer, Milupa, krst, Marcin Gryszkalis, Ewa i Karol Jalochowscy, Tomasz Żukowski, Paweł Leszczyński, pani kazia, Krystyna Kolwas, Angelika Reszczyk, Adam W., Jacek Markowicz, Linka, Ścibi, Mikołaj, Bożena Michalska, Monika, Anonim, Wodarek, Wojtek, Robert Anton Wilson, Katarzyna Kijanka, harc, Elżbieta Płaskowska, Darek Dzida, ms, Monia, Michał Damski, lud\_las, Dominik Kozaczko, anonim, Grzegorz Siergowicki, Analfabeta, Marek W, Dawid Reinhold, Ewa Bakiera, rs, Wikiradio, Judasz - ile mam, to dam.

Okładka na podstawie: A Scattered Crowd, Riccardo Cambiassi, CC BY-SA 2.0

ISBN 978-83-288-0385-5

JANUSZ KORCZAK, *Koszalki Opalki*  
*Wesprzyj Wolne Lektury!*

288

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury